www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 29 (1071)
13-19.07.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Jacek Wysocki
Szczepienia to polisa na życie

Agnieszka Grochowska
Tak się odmawia Spielbergowi

Emigracja chciała się pozbyć premiera Sikorskiego

Zakopane – zabytki kontra deweloperka

No i co z tobą, Polsko

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
29 >
9 771509 311003

TRAGIKOMICZNA SATYRA RODZINNA
ZE SŁODKĄ GŁĘBIĄ

CMKФ SIFF
MFF na Sachalinie
Nagroda Publiczności
Nagroda za reżyserię

Karlovy Vary
International Film Festival
Kryształowy Globus

tiff
Toronto International
Film Festival 2019
Konkurs Główny

OJCIEC

NOWY FILM TWÓRCÓW „SŁAWY" ORAZ „LEKCJI"

W KINACH OD 17 LIPCA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

CYTATY

JERZY OWSIAK, szef Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy
Wywiesiłem na balkonie flagę z hasłem „Wygramy i pójdziemy na spacer”. Ktoś inny napisał „Razem damy radę”.
„Twój Styl”

FRANS TIMMERMANS, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej
Unijna solidarność to nie altruizm, bo zawsze ma też w sobie element światłej dbałości o własny interes.
„Tygodnik Powszechny”

PROF. JADWIGA STANISZKIS, socjolożka
Andrzej Duda jest mieszanką zadowolenia z samego siebie i kompleksów.
„Polska The Times”

JAN NOWICKI, aktor
Kobiety są tak tajemnicze, że same siebie nie potrafią zdefiniować.
„Rzeczpospolita”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Ciąg dalszy nastąpi

Pisanie przed finałem tak ważnych wyborów to prawdziwa tortura. Do ciszy wyborczej brakuje kilka godzin. Ale drukarnia czeka. Gdziekolwiek spojrzeć, tam łamigłówka. Tak niedawno wydawało się, że Duda ma drugą kadencję w kieszeni. Wejście Trzaskowskiego i jego oferta sprawiły, że zaczęło się wielkie budzenie – nadziei i wiary, że Polska nie musi być w rękach pazernego dziadostwa. Dla zmyłki obwieszonego biało-czerwonymi flagami i przy każdej okazji, choć bez większego sensu, wyśpiewującego hymn narodowy. Oglądałem wiece Dudy, by zrozumieć, co sprawia, że z taką desperacją jeździ z tym samym tekstem po kraju. I żebrze o poparcie, bo potrzebuje jeszcze pięciu lat. Do czego? By było, jak było. Bo gdyby wygrał rywal, to wszystko zabierze. Co jest taką samą prawdą jak to, że Duda miał jakiś wpływ na decyzje niejawnego ośrodka władzy. Zbudowanego na całkowitej lojalności wobec Kaczyńskiego i przydatności w jego planach.

Z występów Dudy, jego okrzyków i megalomanii można się śmiać. Ale skutkiem jego prezydentury jest ośmieszenie urzędu. Dopóki nie miał poważnego rywala, mógł się ukrywać za osłoną oficjałek i ustawek w rządowych mediach. W zderzeniu z Trzaskowskim zaczął maleć nawet w oczach własnego elektoratu. Porównanie tych, których widzieliśmy na wiecach Dudy, z tymi, co przychodzili na spotkania z Trzaskowskim, pokazuje, że podziały są głębokie.

Gdzie jest większa dynamika? Chęć zmiany? Atrakcyjniejsza oferta? Odpowiedź nie jest dla Dudy pozytywna. To polityk schodzący. Ciąży na nim odpowiedzialność za formację, która potraktowała całe państwo jako należny jej łup wyborczy, od premiera po koło gospodyń wiejskich i ochotniczą straż pożarną. Formację, w której każdy może zostać każdym. Bez ograniczeń. Bez kompetencji. Byle był swój.

PiS deklaruje, że wszystko, co robi, jest działaniem na rzecz ludu, tych, którzy gorzej zarabiają, są słabiej wykształceni, mają niskie emerytury. Trudno temu nie przyklasnąć. Ale też trudno się nie dziwić, że na czele tej walki o lud idą milionerzy pod wodzą Morawieckiego. Z daleka pachnie to instrumentalnym traktowaniem ludu. I oszustwem. Bo przekazując ludziom trochę pieniędzy do ręki, zrujnowano edukację i publiczną służbę zdrowia. Za dobrą szkołę i leczenie trzeba słono płacić. 500 zł na to nie wystarcza.

Władzy udaje się utrzymać poparcie, bo wyborcy PiS są na nią skazani. Nie widzę innej partii, która by rzeczywiście, poważnie i konsekwentnie, chciała tych ludzi wspierać. Tylko część polityków lewicy to rozumie. Reszta chce po prostu korzystać z uroków życia i przywilejów poselskich. Pasują do lewicowych wyborców jak siodło krowie.

Czas na wakacyjny prezent!
Jeśli do 17 lipca zamówisz **PÓŁROCZNĄ LUB ROCZNĄ** elektroniczną prenumeratę PRZEGLĄDU, otrzymasz **gratis e-book** (pdf, epub, mobi) naszej najnowszej książki o wartości **19,90 zł!**

Przegląd
www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 5d1cf814c4

W NUMERZE

KRAJ

8 **Trza celu i perspektywy**
Co z tobą, Polsko

12 **Narkokierowcy w natarciu**
Groźniejsi niż po alkoholu

16 **Polska murem podzielona**
Powyborcze podsumowania

20 **Apetyt na Równię Krupową**
O co toczy się gra w Zakopanem

23 **Sklepowa jak psycholog**
Centrum życia w małych sklepikach

38 **We Wspólnocie nasza przyszłość**
– rozmowa z prof. Adamem Gierkiem

41 **Granica, która łączy**
Między Polską a Niemcami

ZAGRANICA

26 **Węzeł izraelsko-palestyński**
Po co Bibiemu Zachodni Brzeg

30 **Zapłata za wieki niewolnictwa**
Potomkowie niewolników czekają na sprawiedliwość

32 **Czas skończyć z kulturą gwałtu**
Nigeryjki mówią: stop przemocy

KULTURA

34 **Jak zagrać szklankę z gorącą wodą**
– rozmowa z Agnieszką Grochowską

37 **Qulturalia**

66 **Percepcja koła**

HISTORIA

44 **Pozbyć się Sikorskiego**
Bunt przeciwko premierowi

PSYCHOLOGIA

48 **Warto popatrzeć na siebie ze współczuciem**
– rozmowa z dr Bogną Szymańską-Kotwicą

ZDROWIE

52 **Szczepienia – polisa na zdrowie**
– rozmowa z prof. Jackiem Wysockim

EKOLOGIA

54 **Cicha śmierć jaguarów**
Globalizacja wyniszcza wielkie koty

OBSERWACJE

56 **Jacenty Dędek. Portretprowincji.pl**

58 **Życie to bar**
Hiszpan wie, co dobre

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Ciąg dalszy nastąpi

14 **Andrzej Romanowski**
Mamy dość!

19 **Jan Widacki**
Skumbrie w tomacie

29 **Roman Kurkiewicz**
Niepotrzebne skreślić

47 **Tomasz Jastrun**
Gorycz porażki i nędza zwycięstwa

51 **Wojciech Kuczok**
Znikanie Polski

34
KULTURA

JAK ZAGRAĆ SZKLANKĘ Z GORĄCĄ WODĄ
– rozmowa z Agnieszką Grochowską

54
EKOLOGIA

CICHA ŚMIERĆ JAGUARÓW
Globalizacja wyniszcza wielkie koty

56
OBSERWACJE

JACENTY DĘDEK. Portretprowincji.pl

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ADOBESTOCK

eprasa.pl 5d1cf814c4

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Kościół po wyborczej bitwie

Naturyści: na plażach dominują mężczyźni

Maseczki: na ludzką odpowiedzialność trudno liczyć

Groźby Trumpa zawisły w próżni

Zamiast budować korpusy europejskie, Polska – jakby na przekór krajom Unii – sprowadza jankesów. To samo dotyczy zakupów zabawek militarnych – zamiast inwestować w rynki zbrojeniowe Unii (miejsca pracy m.in. dla Polaków), włodarze wolą pompować szmal w sprzęt wyprodukowany w USA, o zawyżonych cenach. Jestem ciekaw, jakie środki perswazji i wobec kogo zastosowali amerykańscy lobbyści zbrojeniowi.

Michał Czarnowski

Spóźniony żal lewicy

Pusty śmiech ogarnia na żałosne wywody i płacze za lewicą. Najwyższy czas, żeby działacze lewicy wyciągnęli wnioski, bo z uporem maniaka tego nie robią. Stąd kolejny raz zaskoczenie. Bojkot drugiej tury wyborów przez spłakanych żałobników lewicy i Szymona Hołowni utwierdza mnie w przekonaniu, że niczego nie rozumiecie i jawnie popieracie PiS. Nie głosowałam na PO. Ale Trzaskowskiego poparłam, bo jest dobrym prezydentem mojego miasta i znakomitym samorządowcem. Nie popieram PO, tylko głosuję na człowieka. Komentarze osób, które nie mieszkają w Warszawie, a chcą mi wmówić, że wiedzą lepiej, wypadają słabo.

Krystyna Hofmanowicz-Leszczyńska

Czy Duda zapłaci utratą stanowiska za ciągłe znieważanie ludzi pracujących w latach 1945-1989?

Nie zapłaci za ich znieważanie. Największym sukcesem kolejnych ekip posolidarnościowych jest to, że rzesze ludzi nie kojarzą tych obelg ze swoją pracą i rolą w tamtym systemie. Lecą za wodzem jak ćmy do ognia. Chichotem historii jest fakt, że robotnicy wywalczyli sobie kapitalizm.

Mirek Nap

•

Tego pewnym być nie można. Polacy bowiem, choć może nie wszyscy, mają to do siebie, że niestety nie rozumują logicznie. Często nazywają starsze pokolenie rodaków komuchami lub postkomuną, uważając, że obrażanie ich należy do dobrego tonu. Zapominają jednocześnie, że sami z tamtego okresu pochodzą.

Andrzej Szala

•

Za opluwanie dorobku PRL oraz jej budowniczych zapłacić powinien nie tylko Andrzej Duda, ale też cały PO-PiS i troglodyci nazywający się antykomunistami. Jak im się tak „komuna" nie podoba, to niech się wyprowadzą z bloków pobudowanych za PRL i oddadzą swoje dyplomy i tytuły, które w tamtych czasach uzyskali!

Wojciech E. Sadawa

ZDJĘCIE TYGODNIA

Gdy do Tarnowa Podgórnego zawitał poseł PiS, aby wręczyć czek na prawie 4 mln zł z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych, przywitał go wójt gminy Tadeusz Czajka z rachunkiem na 14 mln zł za dochody utracone przez gminę w wyniku decyzji rządu.

FOT. FACEBOOK/TADEUSZ CZAJKA

eprasa.pl 5d1cf814c4

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, nie musi przepraszać TVP za słowa o tym, że mowa nienawiści mogła mieć wpływ na nastawienie zabójcy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Wyrok sądowy jest prawomocny.

Edwin Bendyk, pisarz, wieloletni szef działu naukowego „Polityki", został nowym prezesem zarządu Fundacji Batorego. Zastąpił Aleksandra Smolara, który prezesował fundacji od 1991 r.

Prawie 700 rolniczych spółdzielni produkcyjnych, do których należy ok. 40 tys. osób, walczy o życie w czasie pandemii. Rząd PiS odmawia im subwencji w ramach tarczy finansowej, a wcześniej nie wypłacił odszkodowań suszowych.

Na 16 gmin, które miały dostać wozy strażackie za najwyższą frekwencję w wyborach prezydenckich, 10 zagłosowało za Rafałem Trzaskowskim.

Fundacja Malta dostanie wreszcie 300 tys. zł zaległej dotacji od ministra kultury i dziedzictwa narodowego na organizację Festiwalu Malta. Sprawa sądowa toczyła się od 2018 r. i została przez ministerstwo przegrana.

O 23% więcej urządzeń AGD sprzedano w maju w porównaniu z 2019 r. Najbardziej wzrosła sprzedaż zamrażarek, zmywarek i pralek.

Mateusz Morawiecki, premier, zawiesił obrady rządu i **ruszył w rajd po kraju, by rozdawać burmistrzom i wójtom propagandowe promesy.** Lobbując za Dudą, udaje, że jest ustawa i są na to pieniądze. **Obiecanych bonów turystycznych nie wręczał.**

Ponad 40% dorosłych Polaków, 2,4 mln w wieku 25-34 lata, wciąż mieszka z rodzicami. Przyczyny mają charakter ekonomiczny.

Tomasz Zdzikot, prezes Poczty Polskiej, nie został tam wysłany przez PiS bez zadań, które nijak się mają do tradycyjnych obowiązków tej firmy. Jak choćby **rozdawanie ulotek szkalujących Rafała Trzaskowskiego.**

Bartłomiej Sochański, wybrany przez PiS na sędziego Trybunału Konstytucyjnego były prezydent Szczecina, bez jakiegokolwiek dorobku naukowego, ale z zasługami dla PiS, **został członkiem komitetu poparcia Dudy. Wbrew konstytucji, która od sędziów TK wymaga apartyjności.**

Spółka Topmed Plus z Poznania została ukarana przez UOKiK za nieuczciwe praktyki i wprowadzanie konsumentów w błąd sugerowaniem, że kupują na pokazach zestawy produktów z dużym rabatem. **Musi za to zapłacić 614 tys. zł.**

PRZEBŁYSKI

Śmiszek z Bosakiem pod rękę

Polityka to rzemiosło. Mądry polityk to ktoś wiedzący, co chce powiedzieć. Tę mało oryginalną myśl dedykujemy Krzysztofowi Śmiszkowi, który pogwarzył sobie z Robertem Mazurkiem („DGP"). Klęskę Biedronia, także w Słupsku, Śmiszek ocenił tak: „Robert nie popełnił żadnego błędu, nasza formacja też nie popełniła poważniejszego błędu". Uczciwe to do bólu.

Śmiszek ocenił także działania Konfederacji. Bardzo krytycznie. By na końcu powiedzieć: „Z Krzyśkiem Bosakiem jestem na ty, traktuję go bardzo przyjaźnie, jest miły". Prawda, że i tu Śmiszek jest do bólu konsekwentny? Ale po tym, co powiedział o mediach lewicowych, my mili nie będziemy. Śmiszek uważa, że lewicowych mediów nie ma. Tak podsumował dwie okładki PRZEGLĄDU z Biedroniem. Przepraszamy czytelników za naszą ówczesną głupotę.

Jasnowidz Morawiecki

Szczepionkom Duda powiedział w Końskich twardo nie: „Nie jestem zwolennikiem jakichkolwiek szczepień obowiązkowych" (a pedofilom dał nadzieję, że mogą zostać ułaskawieni). Trumpa jednak prosił, by Polska mogła uczestniczyć w pracy nad szczepionką na COVID-19. Ale nie pochwalił się, jak państwo zarządzane przez dojną zmianę wsparło prace nad szczepionką. Myślicie, że Duda z Morawieckim mocno sypnęli naszą kasą? Skoro Macron zadeklarował 1,5 mld euro, Merkel – 525 mln, Brytyjczycy – 442 mln, Portugalia – 10 mln, Grecja – 3 mln, a Serbia – 2 mln, to ile mógł zaproponować polski rząd, który wstał z kolan? Nie uwierzycie. Morawiecki obiecał 750 tys. euro. Na zebrane dotąd 7,5 mld euro wkład Polski to 0,01% tej kwoty. Przecież tyle Morawiecki zarabiał w banku irlandzkim, a później hiszpańskim. Co roku. A może Morawiecki to jasnowidz, który przewidział, że Duda z PiS przejdą na stronę antyszczepionkowców?

Tropiciel na tropie

Przeokropny jest ten „terror lewicy na uniwersytetach", boleje prof. Zbigniew Lewicki. I to gdzie? Ten straszny terror jest w USA. A Lewicki boleje nad nim na łamach organu o. Rydzyka. Dyżurny amerykanista zawsze gotów tłumaczyć w prawicowych mediach słabnące mocarstwo, a zwłaszcza liczne kompromitacje Trumpa. Zajęcie niewdzięczne. Oby tylko profesor nie musiał do niego dokładać. Bolejący nad zaciekłością tropicieli czystości ideologicznej na uczelniach w USA Lewicki mocno nas rozbawił. Bo przecież sam jest znanym tropicielem wszystkiego, co lewicowe. Demaskuje, obnaża i chłoszcze lewicowego wroga. Tropiciel na tropie innych tropicieli. Pychotka.

Na deser mamy jeszcze lament Lewickiego nad „falą nienawiści do Trumpa". Czego ci Amerykanie chcą? Przecież powinni być dumni ze swojego prezydenta.

FOT. YOUTUBE(2), A-MEM

eprasa.pl 5d1cf814c4

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | A najpilniejsze po wyborach to...

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Sprawienie, żebyśmy obudzili się w jednej Polsce. Będziemy musieli, jako wspólnota, spróbować wziąć oddech i zabezpieczyć społeczeństwo przed całkowitym rozpadem, m.in. hamując triumfalizm obozu zwycięzców. Nie będzie to łatwe, gdyż w moim przekonaniu negatywne emocje towarzyszące tej kampanii są dużo silniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości. Wzajemna pogarda obu stron sporu politycznego osiągnęła taki poziom, że słowa zamieniają się w kamienie. Musimy pamiętać, że to aż wybory, ale i tylko wybory.

ANDRZEJ RADZIKOWSKI,
przewodniczący OPZZ

W mojej ocenie najpilniejszym zadaniem będzie przywrócenie rzeczywistego, trójstronnego dialogu pomiędzy organizacjami pracodawców, związkami zawodowymi i rządem. Niezbędne jest bowiem uczciwe podzielenie się skutkami kryzysu ekonomicznego i wspólne szukanie dróg poprawy sytuacji. Rzetelna dyskusja na ten temat jest nieodzowna, gdyż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że wiele branż silnie odczuje skutki przerw w produkcji wywołanych epidemią oraz zmniejszenia się popytu w związku ze spadkiem przychodów rodzin pracowniczych. Równie ważna z punktu widzenia odbudowy gospodarki jest kwestia dużej niepewności – zarówno po stronie przedsiębiorców, jak i pracowników – co nie skłania do inwestowania.

RYSZARD BAŃKOWICZ,
przewodniczący Rady Etyki Mediów

Najpilniejsze zadania dla państwa i społeczeństwa będą zależały od tego, kto z tych wyborów wyjdzie zwycięsko. Jeżeli prezydent się nie zmieni, czego w dniu, w którym rozmawiamy, jeszcze nie wiemy, i głowa państwa nadal będzie zależna od partii rządzącej, staniemy wszyscy przed pytaniami, na które nie sposób obecnie odpowiedzieć – a Polska będzie nadal traciła znaczenie w Europie i świecie. Jeśli natomiast wygra kontrkandydat Andrzeja Dudy, będzie to moim zdaniem, podobnie jak w ocenie politologów, nieomylny sygnał, że zmiany w społeczeństwie są na tyle istotne, że zbliża się koniec rządów PiS.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

MARIA ŁAKOMY

Nie ma co się ekscytować, bo prezydent ma ściśle określone prerogatywy. Nic nie stanie się światu, słońce wzejdzie tak samo i nadal będziemy słuchać bełkotu tych czy innych polityków oraz jazgotu sektora rozrywkowego (dawniej mediów).

PAWEŁ STRĄCZYK

Należy rozliczyć działania pana Sasina w zakresie bezprawnego druku kart wyborczych i zmarnotrawienia publicznych środków, a w następnej kolejności zbadać niejasne przetargi Ministerstwa Zdrowia. Pilną sprawą jest rzetelna ocena sytuacji epidemicznej w naszym kraju, w świetle planowanego otwarcia szkół i uczelni we wrześniu i październiku.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 5d1cf814c4

TRZA celu i perspektywy

Podziały, których politycy nie podsycają – obumierają

Robert Walenciak

Tak jest po każdych wyborach – jedni świętują, drudzy są w szoku, świat im się wali. Słychać też lament, że Polska jest podzielona, że taki podział jej nie służy, że to ją paraliżuje itd. Tym razem też tak się dzieje, tylko dużo bardziej niż poprzednio. Dlaczego dużo bardziej?

Dlatego, że te podziały sięgają głębiej, nakładają się jeden na drugi. Wystarczy spojrzeć na mapę wyborczych preferencji albo na pogłębione sondaże. Widać wtedy wyraźnie, że sympatie polityczne Polaków pokrywają się z podziałem klasowym, z podziałem terytorialnym, z miejscem zamieszkania, wykształceniem, poziomem zarobków, religijnością, wiekiem.

Wielkie dzieło Jarosława

Na wsi i w miastach do 20 tys. Andrzej Duda dostaje 65% poparcia, Rafał Trzaskowski – 31%. W miastach powyżej 20 tys. mieszkańców jest odwrotnie – Trzaskowski ma 62% popierających, Duda – 35% (wyniki nie sumują się do 100%, trzecia odpowiedź to trudno powiedzieć).

Wśród osób z wykształceniem podstawowym Duda ma 75% poparcia. A w grupie osób z wykształceniem średnim i wyższym – już tylko 35%. Na Trzaskowskiego głosują przedsiębiorcy i przedstawiciele wolnych zawodów, na Dudę – emeryci i robotnicy niewykwalifikowani.

Jeżeli prześledzimy badania z ostatnich kilku lat, zauważymy, że te podziały z wyborów na wybory są coraz bardziej wyraziste. Że kraj coraz bardziej się rozchodzi. Dlaczego tak się dzieje?

Teoretycznie powinno być odwrotnie, przecież Polska jest coraz zasobniejsza, coraz lepiej skomunikowana. A może to dlatego, że Jarosławowi Kaczyńskiemu udało się zaszczepić w różnych środowiskach własną wizję Polski? O tym zresztą mówią publicyści i naukowcy – że PiS potrafiło dotrzeć do ludzi, którzy byli do tej pory z boku wielkich przemian albo byli ich ofiarami. I, po pierwsze, skutecznie im wytłumaczyło, że winę za ten stan rzeczy ponoszą przeciwnicy Kaczyńskiego. A po drugie – dokonało tzw. redystrybucji godności. Ci ludzie, w III RP poniewierani i zapomniani, często wyśmiewani, poczuli swoją sprawczość, poczuli, że państwo jest ich i dla nich.

PiS nie osiągnęło tego w miesiąc ani w rok. Ta praca trwała wiele lat. Ilustruje ją świetnie pewna sonda, z czasów gdy premierem był Donald Tusk. Dziennikarze pytali w niej posłów PO i PiS, jak spędzili ostatni weekend. Ci z PO mówili, że z rodziną, bo to jedyna szansa, żeby pobyć z bliskimi. Ci z PiS recytowali: w sobotę byłem na festynie, potem na spotkaniu w gminie, w niedzielę na mszy, potem na spotkaniu z parafianami itd.

Po zdobyciu władzy w roku 2015 PiS nie spoczęło na laurach. Transfery pieniędzy do ochotniczych straży pożarnych, do kół gospodyń wiejskich, do bliskich prawicy organizacji pozarządowych – to wszystko procentuje.

Do tego dorzućmy wpływy telewizji publicznej, która dominuje w małych miejscowościach, prezentując prosty przekaz, kto jest dobry, a kto zły, i będziemy mieli obraz wpływów PiS.

Chociaż niepełny! Bo najważniejszym jego elementem jest polityczny obraz świata.

Wielką trampoliną dla PiS okazała się katastrofa smoleńska, mit zamachu, prezydenta „zdradzonego o świcie". Ten mit pozwolił zbudować wielką partię, zjednoczyć różne środowiska. A potem było już łatwiej. Wystarczyło umiejętnie naciskać te wszystkie guziki w polskiej duszy. Kaczyński to potrafił. Najpierw więc był Smoleńsk i wielki spisek. Potem Kaczyński grał na nastrojach nacjonalistycznych, klerykalnych, egalitarnych, napuszczał na mniejszości, na tych, którym lepiej się powodzi. I tłumaczył, że zbili majątki, bo pewnie kradli. Albo sprzedali się obcym.

Tak jest do dziś. Prezes woła, że jesteśmy dumnym i silnym narodem, i oskarża Niemcy o ingerowanie w polskie wybory. Przekonuje, że tylko Kościół jest depozytariuszem wartości i narodowej świadomości. Straszy LGBT, uchodźcami, sąsiadami. Przeciwstawia zepsute elity zdrowym siłom. Warszawka, krakówek, sędziowie, lekarze… Każdy, kto sprzeciwia się PiS, jest atakowany. Najpierw przez Kaczyńskiego, potem przez telewizję publiczną.

> Każdy, kto sprzeciwia się PiS, jest atakowany. Najpierw przez Kaczyńskiego, potem przez telewizję publiczną.

W tej wizji lud otrzymuje władzę oceniania, sądzenia, bycia suwerenem. Iluzoryczną, ale ta iluzja odzyskanej godności, własnej wartości, uczestniczenia w polityce, czyli własnej sprawczości, rewanżu, okazała się skuteczna.

Dziel i rządź

Pisząc o Kaczyńskim, który podzielił Polaków, miejmy świadomość, że nie on pierwszy. Pomysł uprawiania polityki poprzez wskazywanie dobrych i złych jest stary jak sama polityka. Przecież jeszcze zanim powstała II RP, dzielił Polskę konflikt między PPS a endecją, strzelano do siebie, Dmowski (poseł do carskiej Dumy!) oskarżał PPS, że reprezentuje interesy niemieckiej SPD. Strzelali też do siebie w niepodległej Polsce, ginęli partyjni działacze, w tej atmosferze zamordowany został prezydent Gabriel Narutowicz. A jeszcze długo po II wojnie światowej Jerzy Giedroyc mówił, że Polską rządzą dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Spotkanie Rafała Trzaskowskiego z mieszkańcami Kalisza, 4 lipca br.

W Polsce Ludowej władza wielokrotnie kreowała różnych wrogów i kampanie walki z nimi, wierząc, że w ten sposób zyska na popularności, ewentualnie odwróci uwagę od własnych kłopotów. Był więc wróg klasowy, był kułak, była stonka zrzucana przez Amerykanów… Byli rewizjoniści niemieccy, których przebierano w krzyżackie zbroje, była bananowa młodzież, „syjoniści", których wyrzucano z kraju, był KOR, były elementy antysocjalistyczne, był Wałęsa…

Choć tak naprawdę, jeżeli popatrzymy na te wszystkie kampanie z czasów PRL, to daleko im do skuteczności obecnych poczynań PiS. Mogły działać przez chwilę, być dokuczliwe, ale Polaków nie dzieliły.

Również w czasach III RP, gdy twardo walczono o władzę, tak dramatycznych podziałów nie było. Pierwszy podział, ten po roku 1989, nazywany podziałem postkomunistycznym, na post-Solidarność i postkomunę, okazał się niezbyt głęboki i sztuczny. Dziś już chyba zanikł, mimo że gdy PiS staje naprzeciw PO, jedni drugim wykrzykują w twarz to samo: precz z komuną!

Gdy w roku 1993 SLD razem z PSL zdobył władzę, a dwa lata później Aleksander Kwaśniewski wygrał wybory prezydenckie, zszokowane i obrażone na „niewdzięcznych Polaków" elity postsolidarnościowe długo nie chciały tego wyniku uznać. Sąd Najwyższy zalały protesty wyborcze, a gdy sędziowie orzekali, czy wybory były ważne, Warszawę blokowały tysiące demonstrantów, ogłaszano koniec Polski. Przy tej okazji ks. Józef Tischner ukuł termin *homo sovieticus*. Miał on egzemplifikować tych rodaków, którzy przesiąknięci „sowietyzmem" woleli SLD od Unii Demokratycznej i Porozumienia Centrum.

To czysto osobista wojna Tuska i Kaczyńskiego podzieliła Polaków.

Było to o tyle nietrafione, że lewica wygrywała na zachodzie kraju, a post-Solidarność na Podkarpaciu i wśród górali – czyli na terenach, na których dziś wygrywa PiS. Podział postkomunistyczny był więc raczej podziałem kulturowym, związanym z siłą religijności, i historycznym – partie postsolidarnościowe były szczególnie mocne w dawnych kolebkach Solidarności, np. w Gdańsku. Poza tym dość skutecznie rozbrajał go prezydent Aleksander Kwaśniewski – stając na czele sił dążących do zjednoczenia z Unią Europejską, do zakorzenienia Polski na Zachodzie.

To ważne – przez lata swojego istnienia PZPR miała dwie twarze. Tę pierwszą – otwartą, przychylną modernizacji kraju, jego liberalizacji. I tę drugą – autorytarną, chętnie odwołującą się do „ludu", piętnującą zepsuty Zachód, zepsute elity. To była twarz marcowych podżegaczy, potem widzieliśmy ją w czasach Solidarności. Kwaśniewski, budując SLD, postawił na tych z pierwszej grupy. A ci drudzy? Wygląda, jakby znaleźli swoje miejsce w dzisiejszym PiS.

Kolejnym epizodem sygnalizującym, że Polska się dzieli, była kariera Andrzeja Leppera. Jego popularność, deklaracja złożona w Sejmie, że koniec z Wersalem – to wszystko mogło zwiastować tworzenie się warunków do nowego podziału Polaków. Ale Lepper tego manewru nie przeprowadził. Nie chciał? Nie potrafił? Zabrakło mu czasu? Wydaje się, że najbliższa prawdzie jest odpowiedź pierwsza. Lepper nie chciał podziałów, symbolem tego

eprasa.pl 5d1cf814c4

Andrzej Duda szukał poparcia na pikniku w Tykocinie, 7 lipca br.

jest piosenka wyborcza Samoobrony z refrenem: „Ten kraj jest nasz i wasz". Nie chciał napuszczać ludzi skrzywdzonych przez III RP na elity, na beneficjentów zmian. Raczej chodziło mu o to, by ci, którym się udało, posunęli się. By dojrzeli tych, których nie chcieli zobaczyć.

A później? Później mieliśmy sytuację niecodzienną. Dwaj sojusznicy polityczni – szef PO Donald Tusk i szef PiS Jarosław Kaczyński – najpierw szli ramię w ramię do wyborów, zapowiadając wspólną koalicję po zdobyciu władzy, a potem się poróżnili. I dopiero ta ich czysto osobista wojna podzieliła Polaków. Od roku 2005 konflikt PO-PiS determinuje polską politykę.

Miał on zresztą kolejne etapy. Początkowo był to pojedynek o prezydenturę między Tuskiem a Lechem Kaczyńskim. Tusk go przegrał, pogrążył go brudny chwyt Jacka Kurskiego, czyli „dziadek z Wehrmachtu", pogrążyło hasło PiS – Polska solidarna kontra Polska liberalna. Tusk wyciągnął z tej porażki wnioski i zbudował sprawną machinę, skutecznie walczącą z Kaczyńskimi. Ich walka przyciągała uwagę – bo z jednej strony była furia Jarosława Kaczyńskiego, którą Tusk prowokował, z drugiej – jego zimna ironia i złośliwe uwagi.

Do podpalania Polski trzeba mieć i talent, i możliwości. Jarosław Kaczyński niewątpliwie ma jedno i drugie.

I to w wyniku tych kolejnych wojen, a także słabości lewicy, PiS zaczęło się przesuwać w stronę ludzi pokrzywdzonych przez III RP, z mniejszych miejscowości, oczekujących wsparcia państwa. Platforma stała się zaś partią establishmentu, beneficjentów przemian, otwartą na Europę. PiS wybrało drogę przeciwną. I tak już zostało.

Cel! Pal!

Dlaczego akurat Tuskowi i Kaczyńskiemu udało się zdominować scenę polityczną, dlaczego ich bitwa przyciąga uwagę? Odpowiedzi można pewnie podać wiele, ale najważniejsza jest chyba taka, że udało im się dobrze opisać cele, które mogli przedstawić społeczeństwu, i zdefiniować wroga.

W polskiej historii było bowiem tak, że rządzący, oprócz tego, że legitymizowała ich albo siła, albo kartka wyborcza, starali się przedstawiać inne dowody, że władza im się należy.

Andrzej Lepper nie chciał podziałów. Chodziło mu o to, by ci, którym się udało, posunęli się.

W II RP sanacja swoją legitymację budowała poprzez kult legionów Piłsudskiego, pierwszej kadrowej, wymarszu z krakowskich Oleandrów, czyli tych, którzy jako pierwsi rozpoczęli walkę o niepodległość Polski. Potem, po śmierci Piłsudskiego, budowany był kult marszałka – sypano jego kopiec, 11 listopada ogłoszono świętem państwowym.

PZPR z kolei legitymację do rządzenia miała różną w różnych okresach. Zaraz po wojnie legitymizowała się tym, że odbudowuje zniszczony kraj i zagospodarowuje Ziemie Zachodnie. Potem uzasadnieniem rządzenia była budowa socjalizmu. Władysław Gomułka z kolei legitymację czerpał z kilku źródeł – to była polska droga do socjalizmu. Z jednej strony, stawiał na to, że dokonuje się lewicowa przemiana, z drugiej – nie unikał wątków narodowych. Czyli pokazywania wroga, którym były Niemcy.

W ten sposób partia chciała wykorzystać polski nacjonalizm, na tej fali zyskiwać poparcie. Było to tym wygodniejsze, że budowało element zagrożenia: rewizjoniści niemieccy chcą nam odebrać Ziemie Zachodnie. Poza tym budowało pozycję PZPR jako gwaranta tych ziem. A także, pośrednio, pozycję ZSRR. Bo tłumaczyło, że w imię ich zachowania, ich obrony, Polska musi być w sojuszu z Moskwą.

Edward Gierek organizował społeczeństwo inaczej – hasłem, aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej. To była legitymacja

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

eprasa.pl 5d1cf814c4

jego rządów – otwarcie na Zachód, wzrost poziomu życia, unowocześnienie kraju. Wróg nie był mu więc potrzebny.

Polska Wojciecha Jaruzelskiego to już był okres schyłkowy, ona budowała swoją legitymację na opowieści o uniknięciu wojny domowej i interwencji wojsk Układu Warszawskiego.

Z kolei III RP miała jeden wielki cel. Przebudowę Polski na wzór państwa zachodniego. Z dobrze działającą gospodarką rynkową oraz uczestnictwem w NATO i w Unii Europejskiej. NATO i Unia – te dwa cele jednoczyły i Polaków, i zdecydowaną większość polskich polityków.

Przede wszystkim jednak to rządzenie polega na ciągłym wywoływaniu awantur, na atakowaniu kolejnych wrogów, na napuszczaniu na nich tłumu. W kampanii takim wrogiem stała się społeczność LGBT. Duda jak nakręcony opowiadał, że nie pozwoli na adopcję dzieci przez pary homoseksualne, że broni rodziny, dzieci itd. Potem wrogiem stały się Niemcy. Bo „Fakt" wypuścił okładkę informującą, że Duda ułaskawił pedofila.

Jarosław Kaczyński krzyczał o „bezprzykładnej agresji", wiceprezes PiS Joachim Brudziński nazwał dziennik „niemieckim szmatławcem". Andrzej Duda oskarżał, że „Niemcy chcą wybierać w Polsce prezydenta". Tak

Nienawiść podsyca telewizja publiczna. Gdy PiS straci władzę – straci i media publiczne.

To było wielkie marzenie, wielki mit. Gdy zatem w roku 2002, po grudniowych negocjacjach w Kopenhadze, premier Leszek Miller wkraczał na salę plenarną Sejmu, towarzyszyła mu burza oklasków, gratulował mu przed kamerami m.in. Jarosław Kaczyński.

1 maja 2004 r. Polska stała się członkiem Unii. I straciła swój cel. Cóż bowiem później mogło uwieść wyobraźnię Polaków? Pierwszy na to pytanie odpowiedział Donald Tusk. To była kapitulacja, bo oświadczył, że Polacy chcą spokoju, nie chcą żadnych poświęceń, nie chcą już o nic walczyć, że chcą ciepłej wody w kranie.

Ta idea długo nie przetrwała, bo przetrwać nie mogła. Zdystansowała ją ideologia PiS, dość podobna, ale przecież inna – że nadszedł czas, by z owoców przemian skorzystali też mniej zamożni Polacy. Ci, których to wszystko dotychczas omijało. I to okazało się strzałem w dziesiątkę. Tylko na ile tego paliwa wystarczy?

Pokaż złego

Na razie starcza. Mieszanina straszenia i pochlebstw, kija i marchewki, pozwala dość skutecznie rządzić. W sojuszu z Kościołem, w którym zwyciężyło skrzydło najbardziej obskuranckie, klerykalne, w sojuszu z organizacjami typu Ordo luris i różnymi koteriami, które wysysają miliony na podejrzane inicjatywy.

oto wróciliśmy do czasów Władysława Gomułki i plakatów z Krzyżakami. I do stawianego przez wszystkie reżimy świata pytania: jesteś z władzą, ze swoim państwem, które obcy atakują, czy z tymi obcymi, z wrogami ojczyzny?

Reżimy autorytarne bowiem inaczej nie potrafią. I zdaje się, że do tego etapu doszliśmy. Pozostaje więc zadać pytanie: czy Polacy są podzieleni na lata, czy da się to wszystko posklejać?

Myślę, że się da, i to łatwiej, niż nam się wydaje. Owszem, Polacy są dziś bardzo podzieleni, ale w podobnej sytuacji Polska była w historii wielokrotnie. Tak było po zabójstwie prezydenta Narutowicza, tak było po zamachu majowym, tak było po roku 1945, a także po roku 1989 czy po 10 kwietnia 2010 r. Te podziały po jakimś czasie stawały się mniej ostre, emocje stygły. Spójrzmy na Smoleńsk – jeszcze pięć lat temu było to niemal najważniejsze wydarzenie w historii Polski, główna oś podziału. Czy tak jest teraz?

Podziały, których politycy nie podsycają – obumierają. Oczywiście dzisiejszy podział PiS kontra PO jest o tyle niebezpieczny, że pokrywa się z podziałami klasowymi, kulturowymi, ma autonomiczne źródła.

Ale, po pierwsze, ten podział nie jest wieczny. Po drugie, chodzi nie o to, że Polacy są różni, ale o to, by potrafili w ramach demokratycznych procedur współpracować. Szanować się nawzajem. A tego w III RP nie było. I to jest zresztą konkretny zarzut wobec Tuska i jego Platformy – zamiast rozwiązywać konflikty, wolał je zamiatać pod dywan. I się doczekał.

Po trzecie wreszcie, do podpalania Polski trzeba mieć talent. I trzeba mieć możliwości. Jarosław Kaczyński niewątpliwie ma jedno i drugie, on zresztą inaczej nie potrafi prowadzić polityki, niż dzieląc, skłócając. Ale jego potencjalni następcy w podobnego typu działaniach są raczej nieporadni, nieautentyczni. A co do środków… Telewizja publiczna, która skutecznie podsyca nienawiść, to przecież element władzy. Gdy PiS straci władzę – straci i media publiczne, więc i możliwości podkręcania atmosfery.

Po czwarte – i chyba najważniejsze – podziały tracą ostrość, gdy przed społeczeństwem pojawiają się atrakcyjne perspektywy. Gdy jest cel. Tak przecież w historii Polski wielokrotnie bywało – to jest właśnie tajemnica wielkiej popularności np. Edwarda Gierka po grudniu 1970 r. A w czasach nam bliskich – Tadeusza Mazowieckiego w pierwszych miesiącach przemian.

Trzeba więc celu i twardego polityka, potrafiącego przekreślić etap partii postsolidarnościowych, który zresztą na naszych oczach się kończy.

Robert Walenciak

Ani i Robertowi
Banaszkom
oraz całej ich Rodzinie

serdecznie współczujemy po śmierci

TATY i TEŚCIA

Podziwialiśmy, jak wspieraliście Go w chorobie.

W tych trudnych chwilach jesteśmy z Wami

Przyjaciele z „Przeglądu"

eprasa.pl 5d1cf814c4

Narkokierowcy w natarciu

Nie było próby hamowania, skręcenia. Po prostu wjechał na barierki, jakby jego umysł był gdzie indziej

Anna Brzeska

Tym razem to nie alkohol, lecz narkotyki stały się „gwiazdą" nagłówków. 25 czerwca kierowca warszawskiego autobusu, będący pod wpływem amfetaminy, zjechał z mostu Grota-Roweckiego. Zginęła pasażerka, rannych zostało 17 osób. Niecałe dwa tygodnie później prowadzący autobus 25-latek staranował na warszawskich Bielanach cztery samochody i uszkodził latarnię. Kierowca przyznał się, że brał narkotyki kilka dni wcześniej.

Temat słabo zbadany

Dwa wypadki w tak krótkim czasie sprowokowały do pytania, czy narasta fala narkomanii wśród kierowców, nie tylko zawodowych. Problem w tym, że prowadzenie pojazdów pod wpływem substancji odurzających to w Polsce wciąż temat znacznie słabiej badany niż kierowanie po alkoholu.

Komisarz Robert Opas z biura prasowego Komendy Głównej Policji: – Nie mamy danych, czy coraz więcej odurzonych kierowców jeździ po naszych drogach. W dokumentacji sporządzanej przez policję notuje się jedynie liczbę przeprowadzonych badań u osób podejrzewanych o obecność substancji niedozwolonej w organizmie i wypadków spowodowanych pod wpływem substancji odurzających. Oceniamy, że ok. 10% kierowców miało pozytywny wynik testu na obecność tego typu środków. Ten współczynnik nie zmienia się od wielu lat. W zeszłym roku przeprowadzono niemal 16,5 tys. badań na obecność substancji odurzających.

Liczba wypadków spowodowanych przez narkotyzujących się kierowców nie jest duża, ale szybko rośnie. W 2019 r. było to 91 zdarzeń (zginęły w nich 23 osoby), rok wcześniej 62 wypadki (19 osób poniosło śmierć). 2017 r. przyniósł 52 wypadki (również 19 ofiar). Biorąc pod uwagę liczbę wszystkich wypadków, to wciąż nawet nie 1%. Nadal znacznie więcej zdarzeń jest winą osób pod wpływem alkoholu – w ubiegłym roku pijani byli sprawcami 2717 wypadków. Tu jednak wyraźna jest tendencja spadkowa. W 2010 r. było ich bowiem aż 4972 – na wykresie w policyjnym raporcie na temat wypadków drogowych możemy zobaczyć linię biegnącą w dół.

Co biorą i jak ich rozpoznać?

Jeśli chodzi o rodzaj najczęściej używanych przez kierowców narkotyków, tu znów brak statystyk. Według policjantów kierowcy najczęściej odurzają się amfetaminą i marihuaną, jako najtańszymi i najpopularniejszymi w Polsce. Na szczęście znacznie lepiej niż do zbierania danych funkcjonariusze są przygotowani do skutecznego wyłapywania kierowców pod wpływem nielegalnych substancji. Jak podkreśla policyjny ekspert, są dobrze przeszkoleni i wyposażeni w odpowiedni sprzęt. – Testy przeprowadza się na miejscu, podczas kontroli drogowej, niektóre narkotesty wyglądem przypominają trochę testy ciążowe – mówi kom. Opas. – Wykonuje się je na bazie próbek śliny. Wszystko trwa od kilku do kilkunastu minut. Ale trzeba zaznaczyć, że taki test pokazuje tylko to, czy substancja odurzająca jest obecna w organizmie, czy nie. Dopiero gdy wynik wychodzi pozytywny, kierowca jest przewożony do placówki ochrony zdrowia i badany na obecność narkotyków z wykorzystaniem próbek krwi lub moczu. Testy ślinowe nie pozwalają stwierdzić stężenia narkotyku czy innej substancji odurzającej w organizmie. To zaś jest bardzo ważną informacją przy postępowaniu prokuratorskim. Profilaktyczne, szybkie badania dużej grupy kierowców są w tej chwili technicznie niemożliwe – i jest to problem ogólnoświatowy.

Badanie narkotestem to nie wszystko, co może spotkać kierowcę. Podczas kontroli drogowej testowanie jest poprzedzone rozmową z kierowcą, oceną organoleptyczną i drobnymi testami psychofizycznymi typu ręka-nos. – Policjant ruchu drogowego bez wątpienia potrafi rozpoznać osobę, w której organizmie stężenie narkotyku jest już na tyle wysokie, by upośledzać zdolność kierowania pojazdem – zaznacza kom. Opas. – Funkcjonariusze drogówki od wielu lat są pod tym kątem szkoleni i mają duże doświadczenie, szczególnie jeśli chodzi o konopie indyjskie – dostępne u nas od lat – czy metamfetaminę, która stała się bardzo popularna ze względu na niską cenę. Dobrze więc znane są nam takie objawy jak rozszerzone źrenice, charakterystyczna otwartość i rozmowność po marihuanie oraz pobudzenie typowe dla osób pod wpływem amfetaminy. W przypadku tej pierwszej niezawodnym sygnałem jest też zapach. Tu szczególnie przydaje się również doświadczenie psów policyjnych. W tych kwestiach nigdy się nie mylą.

> Kierowcy po narkotykach mają jeszcze większe niż nietrzeźwi poczucie własnego „profesjonalizmu".

Wrażenie nieśmiertelności

Bez względu na to, jak skutecznie udaje się policjantom wykrywać odurzonych kierowców, w zapobieganiu wypadkom jeszcze istotniejsza wydaje się kwestia świadomości wpływu narkotyków na zdolność kierowania. Tu krąży wiele mitów o „wyższości" narkotyków nad alkoholem jako wręcz poprawiających szybkość

eprasa.pl 5d1cf814c4

Wypadek na moście Grota-Roweckiego w Warszawie spowodował kierowca, który był pod wpływem amfetaminy.

reakcji i koncentrację. Niestety, wiara w to może się okazać tragiczna.

– Charakterystyka osób pod wpływem narkotyków i pod wpływem alkoholu jest podobna, ale wiele zależy też m.in. od stężenia danej substancji – mówi Robert Opas. – Kierowcy po narkotykach, szczególnie takich jak amfetamina, mają jeszcze większe niż nietrzeźwi poczucie własnego „profesjonalizmu". To bardzo złudne – czas reakcji na niespodziewane zdarzenie u trzeźwej osoby to jedna sekunda, co przy prędkości 50 km/godz. oznacza ponad 17 przejechanych metrów. U osób po niewielkiej ilości narkotyków czas reakcji zdecydowanie się wydłuża – nawet o pół sekundy, a to kolejne kilka przejechanych metrów. Jednak kierowcy po amfetaminie czy droższych narkotykach czują się praktycznie nieśmiertelni.

Jeszcze groźniejszy wydaje się stan odrealnienia, w jakim może się znajdować osoba pod wpływem substancji odurzających. – Można obejrzeć nagranie z wypadku autobusu na moście Grota-Roweckiego. Tam naprawdę nie było widać żadnej reakcji kierowcy – podkreśla ekspert. – Nie było próby hamowania, skręcenia, żadnego mechanizmu obronnego. Po prostu wjechał na barierki, jakby jego umysł był zupełnie gdzie indziej.

Psycholog transportu i wykładowca Uniwersytetu SWPS, dr Wojciech Korchut: – Kierowców do sięgania po narkotyki zamiast alkoholu może zachęcać to, że łatwiej im ukryć swój stan. Jeśli ktoś się napije, jego mowa będzie bełkotliwa, ruchy nieskoordynowane. Natomiast środki narkotyczne w pierwszej fazie działania usprawniają naszą koncentrację, zwiększają wydajność i dopiero niektóre objawy fizjologiczne mogą sugerować zażycie środków psychoaktywnych. Zapominamy jednak o tym, że te substancje zaburzają zdolność krytycznej oceny sytuacji. Stajemy się euforyczni, podekscytowani, ze skłonnościami do brawury. To zaś powoduje, że przestajemy zachowywać się w sposób odpowiedzialny.

– Należy mieć świadomość, że kierowca, który wciągnął kreskę amfetaminy, to tylko koniec tej opowieści. O jej początku i środku mało się mówi – dodaje dr Korchut. – Po pierwsze, samochody stały się tanie i dostępne nawet dla młodych ludzi. Nabywają je więc osoby bez doświadczenia za kółkiem, ale także bez odpowiednich wzorców. Kiedyś, zanim dorośliśmy i mogliśmy kupić własny pojazd – na co czekaliśmy często wiele lat – wzrastaliśmy w pewnego rodzaju kulturze posiadania samochodu w rodzinie. Dzisiaj przeciętny 17-latek otrzymuje samochód, jeszcze zanim zyska bagaż doświadczenia i wiedzy, jak niebezpiecznym może on być narzędziem.

Psycholog zwraca też uwagę na kształcenie w ośrodkach szkolenia kierowców: – Tu nie nadąża się za zmianami dotyczącymi nie tylko prowadzenia pojazdów, które są coraz szybsze, ale również infrastruktury. Drogi są obecnie szerokie, wielopasmowe, ruch się zagęszcza. Poruszanie się po nich musi uwzględniać nie tylko zachowanie innych użytkowników, ale i pewien poziom tolerancji. Jednocześnie zwiększa się dostępność narkotyków i powszechność ich używania przez kierowców w najmłodszej grupie wiekowej (do 28. roku życia). Mimo to w szkołach jazdy zupełnie pomija się aspekt wpływu tego rodzaju środków na układ nerwowy, poznawczy, podzielność uwagi, koordynację i antycypację, czyli zdolność przewidywania skutków danego zachowania. Tymczasem to właśnie młodzi powodują najwięcej wypadków, choć są przecież najbardziej sprawni psychofizycznie. Niestety, są też najmniej doświadczeni i najmniej krytyczni wobec własnych umiejętności.

U osób po niewielkiej ilości narkotyków czas reakcji zdecydowanie się wydłuża.

Badać się nie chcą i nie muszą

Zapobieganiu wypadkom spowodowanym przez kierowców na haju nie sprzyja prawo. Sytuację poprawiła nieco zmiana przepisów dokonana przy okazji wojny z dopalaczami (zmiany w ustawie o przeciwdziałaniu narkomanii i rozporządzenie ministra zdrowia z 2018 r.). Możliwe stało się szybsze wpisywanie nowych substancji psychoaktywnych na listę zakazanych, łatwiej też wszczynać postępowania np. wobec osób, które spowodowały wypadek pod wpływem substancji psychoaktywnej spoza tej listy.

Zdaniem dr. Wojciecha Korchuta problem tkwi w braku powszechnych badań psychologicznych

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 5d1cf814c4

u osób, które zostają kierowcami. – Niepokojące jest, że ustawodawcy rozpatrują już nawet pomysł wycofania badań psychologicznych z pakietu badań dla kierowców pojazdów służbowych – mówi. – Chcą tę odpowiedzialność przerzucić na barki lekarza orzecznika, a nawet lekarza rodzinnego, czyli osób w tej kwestii mało kompetentnych. Tymczasem gdybyśmy prowadzili badania psychologiczne u wszystkich, którzy uzyskują uprawnienia do kierowania pojazdami, spora grupa ludzi nie przeszłaby tego sita. To jednak powinny być badania sprawdzające nie samą sprawność psychomotoryczną – bo ta akurat jest u młodych kierowców idealna – ale choćby skłonności do zachowań agresywnych. Poza tym psycholodzy powinni mieć okazję do zajęcia się istnieniem ewentualnych uzależnień u danej osoby – dla wytrawnego diagnosty nie są one trudne do zidentyfikowania. Niestety, powszechnie przeprowadza się u nas tylko badania lekarskie, które w przypadku młodych ludzi są zwykłą formalnością.

Wciąż istnieje też problem z kierowcami zawodowymi, których pracodawcy nie mogą zobligować do poddania się testom na obecność substancji odurzających czy narkotyków. W przypadku podejrzenia o bycie pod wpływem narkotyków nie ma bowiem zastosowania ustawa o przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Pewnym wyjściem dla pracodawców jest tu, zdaniem Roberta Opasa, regulamin pracy, który pozwoliłby na stosowanie kar dyscyplinarnych dla pracowników odmawiających wykonania badania.

Dr Wojciech Korchut: – U kierowców zawodowych, którzy narkotykami niwelują skutki zmęczenia podczas długich tras, powinno się przy okazji badań okresowych przeprowadzać badania biochemiczne i hepatologiczne pod kątem śladu tych substancji w organizmie. Nie wiem, jakie lobby przeciwdziała tym rozwiązaniom, choć przecież tyle się mówi o wypadkach na drogach. Dlaczego nie powoła się niezależnej grupy eksperckiej, która by takie rozwiązania opracowała?

To państwo powinno dbać o prewencję

– Statystyki pokazują, że kraje na zachód i północ od Polski mają zdecydowanie mniej wypadków – zwraca uwagę dr Korchut. – Czynnikami, które na to wpływają, są, prócz zdecydowanie większej świadomości społecznej, m.in. precyzyjne badania dopuszczające do ruchu. W Niemczech odpowiada za to mający status stowarzyszenia TÜV – zajmujący się bezpieczeństwem na drodze, zarówno jeśli chodzi o stan pojazdów, jak i bezpieczeństwo użytkowników dróg. Przeprowadza też kursy i szkolenia kierowców, w tym obowiązkowe badania psychologiczne dla osób, które popełniły przestępstwa lub powtarzające się wykroczenia na drodze.

Co więcej, jak tłumaczy ekspert, działalność i finansowanie stowarzyszenia jest pod kontrolą agendy rządowej, co zapewnia właściwą jakość wydawanych certyfikatów bez konieczności koncentrowania się na wypracowaniu zysku. – Gdyby w Polsce ta część ochrony zdrowia, która odpowiada za profilaktykę i bezpieczeństwo na drogach, przeszła pod skrzydła państwa, zamiast być w rękach konkurujących ze sobą korporacji medycznych i ośrodków szkolenia działających na zasadach wolnorynkowych, mielibyśmy zdecydowanie mniej tragedii na drogach. Dbałość o zdrowie, życie i bezpieczeństwo obywateli to obowiązek państwa, w którym żyjemy.

– Jeśli widzimy, że dana osoba zachowuje się na drodze nietypowo, jedzie niepewnie, dzwońmy na 112 – apeluje na koniec kom. Robert Opas. – Zawodowi, doświadczeni kierowcy sami proszą nas o takie apele, ponieważ również są zdania, że czarne owce trzeba eliminować. Podkreślają też, że sprawcy ostatnich wypadków autobusów w Warszawie nie byli jeszcze w pełni profesjonalnymi kierowcami i nie mieli zbyt wielkiego doświadczenia zawodowego.

Anna Brzeska

Kierowcy po amfetaminie czy droższych substancjach czują się praktycznie nieśmiertelni.

Każdy wiedział, że kampania przed drugą turą wyborów prezydenckich będzie brutalna. I każdy wiedział, z której strony będzie płynąć agresja. Rafał Trzaskowski był ostry i atakujący, ale do obelg się nie posuwał i na zniewagi nie odpowiadał. Natomiast z ust Andrzeja Dudy usłyszeliśmy już, że jego kontrkandydat jest „niezrównoważony", zaś Mateusz Morawiecki ogłosił, że to „niedziałacz" i „nieudacznik". Skądinąd miło było patrzyć na tę pisowską panikę. Ale istniały sprawy ważniejsze od wyzwisk.

Oto bowiem po raz kolejny okazało się, że na szali swej wygranej PiS położy wszystko. W tym również polską politykę zagraniczną oraz stosunki Polski z sąsiadami. Kiedyś, w czerwcu 2006 r., wobec prześmiewczego wobec siebie i brata artykułu w niemieckim „Die Tageszeitung", Jarosław Kaczyński położył na szali stosunki polsko-niemieckie. Dziś Adam Bielan, rzecznik sztabu Dudy, interweniuje brutalnie u ambasadora Niemiec. A sam Duda (prezydent Rzeczypospolitej) krzyczy: „Niemcy chcą nam wybierać prezydenta? To jest podłość!".

Nawet człowiek przyzwyczajony do pisowskich ekstrawagancji musiał ze zdumienia przecierać oczy. Wszak chodziło o to tylko, że dziennik „Fakt" opublikował – prawdziwą przecież i znaną już wcześniej mediom – informację o ułaskawieniu przez Dudę pedofila. „Fakt" jest wydawany w Warszawie przez koncern niemiecko-szwajcarski z siedzibą nawet nie w RFN, lecz w Zurychu. W dodatku kapitał koncernu jest prawie w połowie amerykański, i to „republikański", z otoczenia samego prezydenta Trumpa. Oj, rozbrykali się chłopcy pisowcy, rozbrykali. Na razie pani ambasador Mosbacher przywołała do porządku tylko Beatę Mazurek.

Jeżeli jednak powiemy, że po raz kolejny położono na szali polską rację stanu, to i tak powiemy za mało. Po raz kolejny przecież postawiono nas poza cywilizacją Zachodu – jej fundamentem jest wolność prasy – okryto Polskę śmiesznością. Ale i to stwierdzenie nie będzie wystarczające. Bo czy do moich rodaków wreszcie dotrze, że po raz kolejny położono też na szali ich zdrowie i życie? Już przecież w kwietniu PiS parło do wyborów dosłownie „po trupach"

eprasa.pl 5d1cf814c4

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Mamy dość!

i trzeba dopiero było buntu Jarosława Gowina, by inny Jarosław się opamiętał. Dziś zagrożenie nie zniknęło, ale w naszych zachowaniach jesteśmy chyba ostrożniejsi, a elementarne standardy demokratyczne (którymi w kwietniu PiS się nie przejmowało) zostały dochowane. Czy jednak można odwołać epidemię? I kto jest władny to zrobić? Słowa Mateusza Morawieckiego z Tomaszowa Lubelskiego: „Cieszę się, że coraz mniej obawiamy się tego wirusa (…) on jest w odwrocie. Już nie trzeba się go bać, trzeba pójść na wybory, tłumnie. (…) Wszyscy, zwłaszcza seniorzy, nie obawiajmy się. Idźmy na wybory" – otóż te słowa były okrutne i groźne.

Bo właśnie: „zwłaszcza seniorzy"! Sztabowcy PiS uznali, że sporo osób starszych, które zagłosowałyby w większości na Dudę, nie wzięło udziału w pierwszej turze w obawie przed koronawirusem. Dlatego obecne ich zmobilizowanie ma pomóc Dudzie w drugiej turze. Tymczasem – ostrzegają wirusolodzy – epidemia wcale nie ustąpiła, zarażenia utrzymują się na poziomie 250-400 dziennie, a ofiarami są przede wszystkim seniorzy. Co to oznacza? Ano to, że PiS – jak zawsze – „po trupach".

Wnioski z kampanii nie mogą więc ograniczyć się ani do wyzwisk padających z ust czołowych pisowców, ani nawet do pragnienia spalenia gejów w krematorium Majdanka, co tak ochoczo wyrażają pisowscy mieszkańcy Godziszowa na Lubelszczyźnie. Bo cóż się oto okazało? To, że dla PiS Polska nie istnieje. To znaczy: nie istnieje jej dobro („dobro wspólne"), jej racja stanu, jej pozycja na arenie międzynarodowej, jej powaga. Że – mówiąc słowami ulubionego pisowskiego autora – Polska to „postaw czerwonego sukna". Ale, ba! dla PiS również Polacy *de facto* nie istnieją. Polacy, ów osławiony „suweren" z pierwszych miesięcy pisowskich rządów, stali się teraz mięsem armatnim, *pardon*! mięsem wyborczym, którego jedynym zadaniem jest zagłosować, najlepiej słusznie. Okrzyki „ludzie gorszego sortu", „zdradzieckie mordy", „chamska hołota" nie były niewinne, znalazły potwierdzenie w wyborczych apelach Morawieckiego, narażających zdrowie i życie wszystkich, w tym także pisowskiego elektoratu. Trudno o większą pogardę dla własnego narodu.

W obliczu utraty władzy PiS nie zawaha się przed podpaleniem Polski.

Piszę te słowa, nie znając wyniku wyborów. Ale jakikolwiek będzie ten wynik, nie powinny nigdzie (może poza Konfederacją) strzelać korki od szampana. Wygrana (nie daj Boże) Dudy oznacza dalszą degradację Polski, dalszą destrukcję demokracji, dalsze – gdy będzie to korzystne – igranie ze zdrowiem i życiem Polaków. Wygrana (daj Boże) Trzaskowskiego oznacza jednak najpierw kwestię: czy PiS to w ogóle uzna? (*Sorry*, taki mamy ustrój). Bo jeśli PiS wyniku wyborów nie uzna – to ma do dyspozycji wystarczająco dużo narzędzi, w końcu „gdy w pierwszym akcie zawieszono na scenie strzelbę, to w akcie ostatnim musi ona wystrzelić". Ale jeśli PiS wyniki wyborów uzna…

Nie chodzi o to, że prezydent Rzeczypospolitej stanie się odtąd obiektem medialnej i politycznej nagonki. On musi się przeciw temu opancerzyć. (*Sorry*, taki mamy naród). Nie chodzi o to, że będzie to kohabitacja. Była taka i w czasach prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, i w czasach prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie chodzi nawet o to, że będzie dwuwładza. Tak czasem dzieje się w polityce i tak miało szansę się dziać po roku 1989, gdyby nie odpowiedzialność prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Chodzi o to, że w przypadku wygranej Trzaskowskiego PiS jak rozzłoszczony chłopczyk rozrzuci wszystkie zabawki, doprowadzi do chaosu w państwie, a o chaos oskarży prezydenta. A prezydenckie prerogatywy będzie wymijać, Pałac Prezydencki bojkotować… Wszak zapowiada to już teraz, lojalnie ostrzega. Więc gdy wreszcie na fali chaosu pojawi się powszechne już wołanie o rząd silnej ręki, PiS – pogodzone być może z Konfederacją – będzie miało większą niż kiedykolwiek szansę wygrania wyborów parlamentarnych.

Wszystko to jest możliwe, tylko – jaka teraz alternatywa? Wybory parlamentarne wygrane w przyszłości, i to w najlepszym razie, przez dzisiejszą opozycję – oraz blokujący wszystko pisowski prezydent (czy raczej pisowski prezes)? Oba scenariusze są złe i tak czy inaczej czeka nas długi marsz do wolności. Ale dziś możemy przynajmniej mieć jasność: w obliczu utraty władzy PiS nie zawaha się przed podpaleniem Polski. Tyle że istnieje już też inna jasność: to oddolny, skupiony wokół Trzaskowskiego, ruch obywatelski MAMY DOŚĆ.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d1cf814c4

Polska murem podzielona

Po kampanii prezydenckiej pozostały głębokie rany społeczne

Beata Igielska

Przez dwa tygodnie oglądaliśmy happening pod tytułem „Polityka". Widzieliśmy ludzi obrzucających się błotem. Główni performerzy – Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski, a na drugim planie dokazywali ich sztabowcy i wyborcy. Zwolennicy Dudy szarpali na wiecach zwolenników Trzaskowskiego, wyzywali się nawzajem w sieci. Poczta Polska do listów poleconych dorzucała ulotki straszące Trzaskowskim, z jego banerów wycinano twarz, mazano odchodami. Rodziny kłóciły się i kłócą przy stole.

Tak się kończy budowanie kapitału politycznego na wzajemnej niechęci wyborców. I na trwającej pandemii koronawirusa. Lęk o pracę, lęk o zdrowie. Łatwo wygrywać emocje, szczególnie agresję. – Już samo to pokazuje, że „Polska" i „Polak" to etykietki kryjące tylko pozorną jedność, naród to wspólnota wyobrażona, czasami nawet urojona, a w wersji nacjonalistycznej, połączonej z narodową megalomanią, jest wspólnotą przeciw komuś – mówi dr Łukasz Polowczyk, filozof, etyk. – Jesteśmy społeczeństwem rozmaitych klas ekonomicznych, warstw, grup interesu, różnych kultur i subkultur. Z genetycznej mapy Europy wynika, że nie ma czegoś takiego jak czysty genetycznie Polak, Francuz czy Niemiec. Jesteśmy mieszanką nawet bardziej niż nasze języki, zawierające wpływy łaciny, włoskiego, angielskiego.

„Polska" i „Polak" to etykietki kryjące tylko pozorną jedność, naród to wspólnota wyobrażona, czasami nawet urojona.

Naga pierś i różaniec

Esencją polaryzacji Polaków stały się dwie „debaty" prezydenckie – Andrzeja Dudy w Końskich w województwie świętokrzyskim i Rafała Trzaskowskiego w wielkopolskim Lesznie. Pewnie trafią do podręczników historii jako przykład niedorzeczności. Tak wydarzenie już w jego trakcie oceniali zagraniczni obserwatorzy. Przy czym Trzaskowski odpowiadał na pytania dziennikarzy 20 redakcji, nawet tych bardzo go nielubiących, a pytania nie były czytane z kartki, co stało się normą w wypadku Dudy. Prezydent zaraz po debacie zebrał cięgi, bo stwierdził, że nie jest za szczepieniami.

A zanim do „debat" doszło, obserwowaliśmy mnóstwo wydarzeń mniej lub bardziej absurdalnych i przerażających. „Trzaskowski? U mnie na Starych Budach? Wyp…ć! Do Warszawy!", krzyczał pijany mężczyzna, gdy zobaczył baner przed domem we wsi pod Żyrardowem. „Dzieci będziesz pedaliła?", zwrócił się do właścicielki płotu z banerem. Na koniec zagroził podpaleniem domu.

Walka z „pedaleniem", „niszczącą polskie rodziny ideologią LGBT", była obecna od początku kampanii w przemowach Andrzeja Dudy. Podobny jad sączy TVP. Zdeklarowany gej, Jacek Szawioła, uczestnik programu „Googlebox", były fryzjer Andrzeja Dudy, pobity na ulicy, w mediach społecznościowych pokazał zakrwawioną twarz z komentarzem: „Tak wygląda wolność w naszym kraju". Kibole napadają na ludzi wychodzących z klubów gejowskich. W Warszawie pod oknem mieszkania pary gejów ktoś nabazgrał: „J… LGBT" i dorysował strzałki, by wskazać właściwe okno. „Dzisiaj napisali, jutro podpalą, pojutrze zabiją. Czy są jeszcze ludzie, którzy nie rozumieją, do czego prowadzi takie szczucie? Ten problem nie jest gdzieś daleko. Jest tu i teraz", napisali napiętnowani.

Na wiecu Andrzeja Dudy w Białymstoku 70-letni mężczyzna podniósł koszulkę aktywistce Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, obnażając jej pierś. Na spotkanie w Puławach z premierem Mateuszem Morawieckim przyszli wyborcy urzędującego prezydenta i zwolennicy Rafała Trzaskowskiego. Gdy zwolenniczka Dudy wymachiwała różańcem nad głową kobiety trzymającej plakat Trzaskowskiego, ta jej powiedziała: „Powieś się na tym różańcu". „To jest różaniec świętego papieża. Diabła chcemy wygonić. Diabła!", odparła fanka Dudy.

Sławomir Nitras z PO złapał wpół wiceministra sprawiedliwości Sebastiana Kaletę, gdy ten chciał się dostać na dach zbiorników retencyjnych oczyszczalni ścieków Czajka, gdzie umieszczono mikrofony na konferencję prasową Rafała Trzaskowskiego. Doszło do przepychanki.

W mediach społecznościowych krążą zdjęcia zaniedbanych ludzi, siedzących na ławce z papierosami i piwami. Podpisy: „Tak wyglądają zwolennicy PiS", „Kupieni za 500+". W ten sposób przemówił podział na klasy społeczne.

– W społeczeństwach klasowych konflikty są nieuchronne, raz przyjmują formę łagodną, kiedy indziej ostrą – mówi dr Polowczyk. – Wybory prezydenckie, czy jakiekolwiek inne, reprezentują nie walki kandydatów, ale zmagania różnych grup społecznych o władzę, pieniądze i wpływy. Wyborcy niewiele z tego rozumieją, głosują na przystojnego, elokwentnego lub miłego polityka, często wbrew interesom własnej warstwy czy klasy społecznej. Propagandyści różnych obozów politycznych antagonizują ludzi, bo mają z tego korzyść, ale niekoniecznie tę korzyść odniosą zwykli ludzie.

Konflikt nierozwiązywalny?

Psycholog dr Tomasz Witkowski powiada, że umiarkowana polaryzacja społeczeństwa jest zdrowa. Inaczej wpadamy w pułapkę jednomyślności. Jedni są od tego, żeby patrzeć na ręce drugim. Ale w Polsce już dawno zjawisko polaryzacji przybrało niepokojące rozmiary, wykraczające nawet poza to, co dopuszczają mechanizmy biologiczne.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Wiec wyborczy Andrzeja Dudy we Wrocławiu, 4 lipca 2020 r.

– Osobniki w stadzie oszukują się i manipulują wyłącznie do granicy, poza którą następuje osłabienie całego stada, bo np. przyjdzie lampart i zje wszystkich. Nasze tzw. elity polityczne są więc mniej przewidujące niż zwierzęta; granice, do których dopuszczalne są manipulacje, zatarły się – wskazuje dr Witkowski. – Myślę tu nie tylko o wrogu z zewnątrz, ale również o takich zagrożeniach jak ocieplenie klimatu, które jest faktem i dotyczy nas wszystkich, nie ma więc najmniejszego sensu rozgrywanie tego dla interesu swojej partii, licząc na głosy górników.

Psychologia zna konflikty nierozwiązywalne, np. konflikt izraelsko-palestyński. Duża część obu społeczeństw zawdzięcza swoją pozycję konfliktowi – gwarantują ją np. stanowiska wojskowe. Wokół konfliktu buduje się całą strukturę społeczną. – W Polsce niestety też zaczyna się to dziać. Jeśli ktoś z PiS ostro atakuje PO, będzie miał wyższe notowania niż fachowiec z wiedzą i kompetencjami. I odwrotnie. W spółkach skarbu państwa, gdy zmienia się władza, zaczyna się czyszczenie do szczebla specjalisty. Robią to obie strony sceny politycznej, tylko metody są różne. Drugą cechą konfliktu nierozwiązywalnego są ofiary śmiertelne. W Polsce mamy już co najmniej dwie: zamordowanego działacza PiS w Łodzi i zamordowanego prezydenta Gdańska – mówi dr Witkowski. – Ilekroć nierozwiązywalny konflikt narasta, tylekroć odzywa się pamięć o ofiarach, żądanie zadośćuczynienia, a tym bardzo często staje się kolejna śmierć.

Prof. Janusz Czapiński: Po wyborach prezydenckich pozostanie nienawiść do sąsiada, który jest zwolennikiem innej opcji politycznej.

Czy podążamy zatem w kierunku Jugosławii, gdzie konflikt społeczny zakończył się wojną?

Co po wyborach?

– Obawiam się, że sytuacja w perspektywie długofalowej może doprowadzić do konfliktu nierozwiązywalnego. Góra wciąż podejmuje decyzje polityczne, ale nie dla dobra ogółu. Efekty tego już widzimy: Polska na zewnątrz jest postrzegana jako niestabilna i dlatego strach u nas inwestować. Poziom debaty politycznej jest tak niski, że nie można do niego zastosować wiedzy o psychologii człowieka – stwierdza dr Tomasz Witkowski. – Przykładem jest bulwersujący sposób potraktowania przez prezydenta Dudę i innych przedstawicieli ekipy rządzącej Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk. Wysłanie gratulacji zajęło mu sporo czasu, choć to było złamanie zasad dyplomacji. A jednak, paradoksalnie, zyskał na popularności. To pokazuje stan grupy, do której takie zachowania są kierowane.

Prof. Janusz Czapiński: – W czyim interesie jest tak głęboka polaryzacja społeczeństwa? A rozbiory Polski w czyim interesie były? Magnateria widziała tylko swój interes, jako społeczeństwo byliśmy skłóceni i skończyło się katastrofą. Po wyborach prezydenckich nikt Polski oczywiście nie będzie rozbierał, ale będziemy się kisić w atmosferze wzajemnych animozji, pretensji, emocje nie od razu odparują. Po dwóch, trzech tygodniach te największe opadną, nie będzie drugiej Jugosławii, bo tam konflikt etniczny był podsycany przez polityków. Raczej też nie będziemy sobie wymierzać policzków na ulicy. Ale pozostanie nienawiść do sąsiada, który jest zwolennikiem innej opcji politycznej. Nadal będą ataki na tle homofobicznym, choć na mniejszą

FOT. TOMASZ GOLLA/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 5d1cf814c4

skalę niż w kampanii. Nie staniemy się tolerancyjni jak Holendrzy, Norwegowie czy Szwedzi. Jest to swego rodzaju konflikt nierozwiązywalny, ale bez rzucania się na siebie na ulicy. Dla wielu Polaków te wybory to być albo nie być. Dlatego emocje są tak silne. Takiej atmosfery nie było nawet wtedy, kiedy był wybór między Aleksandrem Kwaśniewskim a Lechem Wałęsą. Gdy zwycięży Andrzej Duda, Jarosław Kaczyński bez przeszkód dokończy swój projekt, wielką reformę Polski, dla wielu już w tym momencie zbyt przerażającą. Gdy wygra Rafał Trzaskowski, Kaczyński raczej nie posunie się do unieważnienia wyborów, wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Prawda ekranu

Socjolog i medioznawca prof. Wiesław Godzic ubolewa, że w tej chwili obcujemy jedynie z przekazem medialnym. Nie ma faktów, są interpretacje, w które ludzie wierzą. Nie ma miejsca na dialog – podstawowe narzędzie demokracji. Nie ma naświetlania argumentów z różnych punktów widzenia. Są wyzwiska, chamskie odzywki. Gdy dziennikarz w telewizji robi z kimś wywiad, jedynie skreśla z kartki kolejne pytania, nie słucha odpowiedzi, nie rozmawia. – Źle to wszystko wygląda – ocenia prof. Godzic. – Te same fakty są skierowane do określonej grupy odbiorców, która ma w określony sposób reagować. Nawet jeśli nikt z nas nie był na wiecu jednego czy drugiego kandydata, wiemy, jak tam było, i nie chcemy wiedzieć nic innego. Mamy swoją bańkę informacyjną. Bańki nie powinny istnieć, ale istnieją i trudno je przekłuć. Chciałbym, aby młodzi ludzie je połączyli. Istnieje jeszcze superbańka: polskie i niepolskie. Już mamy zapowiedź, że po wygranych przez Andrzeja Dudę wyborach rząd zajmie się mediami niepolskimi. Z szabelką ruszamy na wyimaginowanego wroga – Unię Europejską, mimo że akceptuje ją 70% obywateli.

Przykład TVP obrazuje, jak telewizja może zrobić wszystko: z głupca – mędrca i na odwrót. W debacie prezydenckiej przed pierwszą turą przez kilkadziesiąt sekund Rafał Trzaskowski nie patrzył w tę kamerę, w którą patrzyli inni kandydaci, bo nie ten numer kamery mu wskazano. No i co? Jest nierozgarnięty.

– TVP jest telewizją partyjną, nie publiczną, bo taka powinna patrzeć rządowi na ręce. Za pieniądze obywateli należałoby produkować programy wyższej jakości. Tymczasem w TVP Jacka Kurskiego dzieje się dokładnie na odwrót – krytykuje prof. Godzic. – Propagandysta musi przekaz wykreować, założyć, że jest właściwy pod względem etycznym i estetycznym. Najbardziej boję się nocy powyborczej, kiedy może dojść do przepychanek, utarczek, bo poziom tłumionej agresji jest wysoki.

Na „Wiadomości" TVP do Rady Etyki Mediów wpłynęła skarga: „Domagam się ukarania stacji za wyprodukowanie i emisję materiału, który był nieoznaczonym prawidłowo i sfinansowanym ze środków publicznych spotem wyborczym". Mowa o tzw. reportażu przygotowanym przez Macieja Sawickiego, ocenionym przez ekspertów i dziennikarzy jako spot wyborczy Andrzeja Dudy. Było w nim nagranie z dzieckiem dziękującym Andrzejowi Dudzie za 500+ i nagranie ze starszą panią, która na wiecu wyborczym mówi, że dzięki prezydentowi ma za co żyć.

Prof. Wiesław Godzic: Najbardziej boję się nocy powyborczej, kiedy może dojść do przepychanek, utarczek, bo poziom tłumionej agresji jest wysoki.

Rada Etyki Mediów przyznała, że to niejedyna skarga na kampanijne materiały TVP. Zdaniem ekspertów Maciej Sawicki łamie wszystkie zasady etyki dziennikarskiej widoczne na stronach internetowych TVP. Jednak REM nie może ukarać TVP za emisję materiału, odpowiednimi narzędziami dysponuje za to Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, do której wpłynęło 21 podobnych skarg.

Jutro należy do…

Czy jest szansa, aby wyjść z tak silnych podziałów społecznych? Dr Tomasz Witkowski: – Kanada swego czasu postanowiła podejmować decyzje wyłącznie na podstawie dowodów naukowych, żeby ich skutki były korzystne dla całego społeczeństwa. Nie bali się tam, że stracą głosy jednej czy drugiej grupy społecznej. Ale to droga w Polsce nierealna. Drugim sposobem jest powszechna edukacja, a tej nie sprzyja mówienie o „wykształciuchach". Mieszkam przy czeskiej granicy. Tam pisarze są celebrytami, przeciętny Czech czyta średnio 17 książek rocznie, dzięki czemu w czytelnictwie zajmują najwyższą pozycję w Europie. Nie dziwi więc po czeskiej stronie widok grupy zakapturzonych dresiarzy wchodzących do knajpki, wyjmujących z siatki szachy i grających przy piwie.

Prof. Wiesław Godzic: – W szkole trzeba wrócić do zajęć z retoryki. Jeśli w klasie dwadzieścioro dzieci ma różne poglądy, rolą nauczyciela powinno być pytanie: dlaczego tak myślisz? Szkoła musi zacząć uczyć dochodzenia do prawdy. 20 lat temu w USA były lekcje poświęcone odczytywaniu newsów. Uczniowie zastanawiali się, co jest prawdą, co fałszem, co robotą dziennikarską. To było świetne.

Dr Łukasz Polowczyk: – Zamiast obrzucać się błotem, powinniśmy dążyć do rzeczywistej wspólnoty europejskiej, a nawet planetarnej, ponieważ globalne problemy, takie jak dewastacja środowiska naturalnego, ocieplenie klimatu czy pandemie, nie mogą być rozwiązywane lokalnie. Autorytarne i nacjonalistyczne rządy trzeba zastąpić głęboką demokracją, bardziej bezpośrednią, uczestniczącą i tolerancyjną dla rozmaitych ludzkich tożsamości.

A może alternatywą jest Krzysztof Bosak? Obserwując jego rosnącą popularność, trudno nie mieć skojarzenia z musicalem „Kabaret", pokazującym tło społeczne wzbierającej fali nazizmu. Młody, przystojny, uładzony, w garniturze, tak pięknie śpiewa „Jutro należy do mnie". Dodaje: przebiję wszystkie bańki informacyjne i stworzę własną. Młodzi ludzie z żoliborskiego podwórka jak jeden mąż oddali na niego głos w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Taki miły i merytoryczny chłopak. Nikt nie pamiętał, z jakiej formacji politycznej się wywodzi i co potrafi mówić. Jutro należy do niego? Nawet nie zdążymy się obejrzeć, a już będziemy mieli nakaz robienia tego czy tamtego. Taka nauka płynie z historii. *Historia magistra vitae est.*

Beata Igielska

eprasa.pl 5d1cf814c4

Z Galicji

Jan Widacki

Skumbrie w tomacie

Kiedy ten numer PRZEGLĄDU pojawi się w kioskach, już zapewne wszystko będzie wiadome. Będziemy wiedzieli, czy znów żyjemy w normalnej, demokratycznej Polsce, czy przeciwnie, polskiej demokracji wolą większości został zadany kolejny cios. Tym bardziej bolesny, że samobójczy. Czy dochowaliśmy zobowiązania z preambuły konstytucji, „by przekazać przyszłym pokoleniom wszystko, co cenne z ponad tysiącletniego dorobku", czy też przyszłemu pokoleniu przekażemy wszystko, co jest tego dorobku zaprzeczeniem: brak tolerancji, ksenofobię, rozbitą wspólnotę, zacofanie i ciemnotę?

Dziś już pewnie odpowiedź na te pytania jest znana. Wróćmy jednak do niedawno zakończonej kampanii wyborczej, w której te dwie wizje Polski były przez kandydatów na prezydenta przedstawiane.

Trzy dni przed drugą turą wyborów prezydenckich abp Marek Jędraszewski zwrócił się do wiernych archidiecezji krakowskiej z apelem, by „w imię miłości do Ojczyzny i w duchu wielkiej za nią odpowiedzialności" wzięli udział w wyborach. Aby jednak, spełniając swój patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny, owieczki nie zbłądziły i głupio nie zagłosowały, arcypasterz powiedział im, na kogo mają głosować. Poinstruował, by opowiedziały się za kandydatem, „którego polityczny program jest bliski nauce społecznej Kościoła ze względu na obronę fundamentalnej wartości życia oraz tradycyjnie pojmowaną instytucję małżeństwa i rodziny, a także troskę o zagwarantowanie rodzicom prawa do wychowywania ich dzieci". Jakby co, arcybiskup nie wskazał żadnego nazwiska. Arcybiskup jest przecież bezstronny, do polityki, jak zresztą cały Kościół w Polsce, się nie miesza. Faryzeizm w klasycznej postaci.

Przypomina mi się taki stary dowcip. Czterech panów gra w karty. Z tych czterech jeden ma okulary. W pewnym momencie jeden z graczy z finezją godną arcybiskupa mówi: „Ktoś tu chyba oszukuje. Nie mam pewności, więc nie powiem kto. Ale jak jeszcze raz to się zdarzy, to tak mu dam w pysk, że okulary spadną…".

Wielu ludzi ta rekomendacja arcybiskupa oburzyła. W internecie zawrzało. Nie wiem dlaczego. Przecież to nic nowego. Przed laty, gdy w wyborach kandydował Aleksander Kwaśniewski, też jeden z biskupów instruował wiernych, że „Żyd ma głosować na Żyda, katolik na katolika, komunista na komunistę".

Niewiele to pomogło. Nie wiem, jak głosowali Żydzi, ale większość głosów na „komunistę" oddali jednak katolicy. Najwyraźniej albo wbrew subtelnej sugestii biskupa nie uważali Kwaśniewskiego za komunistę, albo generalnie mieli wskazania owego biskupa i jego cenną myśl polityczną w, powiedzmy, nosie. Tak czy inaczej, Kwaśniewski wybory wygrał.

Na miejscu sztabu Trzaskowskiego na apel abp. Jędraszewskiego wcale bym się nie oburzał, tylko publicznie podziękowałbym arcybiskupowi za poparcie… Rafała Trzaskowskiego. I wyjaśnił, że dotąd nikt tak lapidarnie i precyzyjnie nie scharakteryzował jego programu. Bo zgodnie z nauką Kościoła trzeba kochać bliźniego, a nawet miłować wrogów. A konkurent Trzaskowskiego wciąż ludzi dzieli, sieje nienawiść. Trzaskowski tego nie robi. Zgodnie z nauką Kościoła grzechem ciężkim jest krzywoprzysięstwo. A to właśnie konkurent Trzaskowskiego ślubował stać na straży konstytucji i dobrowolnie do ślubowania dodał „tak mi dopomóż Bóg", po czym konstytucję bez skrupułów łamał. Trzaskowski tego nie robił. Trzaskowski nigdy i nigdzie nie atakował tradycyjnie pojmowanej rodziny; sam taką założył i w niej żyje (która to cnota obca jest wielu prominentnym działaczom PiS, co prezydentowi Dudzie jakoś nie przeszkadza). Można być otwartym na postulaty środowisk LGBT, a równocześnie uznawać tradycyjnie pojęte małżeństwo za wartość. I tak – zdaje się – uważa Trzaskowski. Uważa również, że rodzice powinni mieć prawo do wychowywania dzieci, i dlatego sam z tego prawa korzysta, nie posyłając syna do pierwszej komunii, narażając się na chamskie ataki ludzi, którzy – jak widać – rodzicom prawa do wychowywania dzieci wzbraniają.

Można sobie żartować, a sprawa jest poważna. Kościół w Polsce nie przyjął do wiadomości art. 25 konstytucji, wedle którego władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, a stosunki między państwem i Kościołem są kształtowane na zasadach ich „autonomii oraz wzajemnej niezależności każdego w swoim zakresie". Nie przyjął do wiadomości, że państwo jest świeckie.

Niewypowiedzianą szkodę uczyniono Polsce, wypowiadając konkordat z 1925 r., w którym Ojciec Święty zobowiązywał się przed mianowaniem biskupa zasięgać opinii prezydenta RP, a biskup po mianowaniu musiał składać przysięgę wierności, w której mówił: „Przed Bogiem i na Świętą Ewangelię przysięgam i obiecuję, jak przystoi biskupowi, wierność Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam i obiecuję, iż z zupełną lojalnością szanować będę rząd ustanowiony konstytucją i sprawię, aby go szanowało moje duchowieństwo".

Niczego takiego nie ma w obecnie obowiązującym konkordacie. Role się odwróciły. To rządy starają się dochować wierności i lojalności Kościołowi. Do II RP mam stosunek krytyczny. Ale dla polskiej prawicy II RP to wciąż wzór i ideał. No to przypominam te wzorcowe relacje między państwem a Kościołem w II RP. Może chociaż w tym zakresie zbliżmy się do tego ideału?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d1cf814c4

Apetyt na Równię Krupową

W Zakopanem toczy się gra, w której stawką są z jednej strony wielkie pieniądze, z drugiej – charakter miasta

Paweł Grocholski

Na spotkanie przyszło kilka osób, właśnie otrzymały niepokojącą wiadomość: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie podjęło decyzji o wpisaniu obrzeży Równi Krupowej w Zakopanem do obszarowego rejestru zabytków. Tak przynajmniej można rozumieć informację, że ministerstwo zwróciło sprawę do ponownego rozpatrzenia, bo w załączniku do wniosku pojawił się błąd formalny. W powietrzu wisi pytanie: czy ta decyzja faworyzuje deweloperów?

Od kilku lat mieszkańcy toczą bój o zachowanie unikatowego charakteru obramowujących Równię Krupową ulic Witkiewicza i Sienkiewicza. W dodatku – rzecz rzadka w Zakopanem – nie przegrali. Inwestorzy chcą postawić budynki określane mianem obiektów pensjonatowych, bo takie zgodnie z przepisami mogą być większe, najprawdopodobniej jednak nie będą to pensjonaty, tylko apartamenty na sprzedaż. Świadczyć o tym może próba reklamowania i sprzedaży nieistniejących jeszcze mieszkań.

– Problemem nie jest samo stawianie tutaj domów, problemem jest skala. Inwestorzy planują cztery ogromne obiekty, które zeszpecą krajobraz i naruszą panującą w naszej dzielnicy równowagę – mówi Michał Furmanek, prezes Stowarzyszenia Lepsze Zakopane (o działalności tego stowarzyszenia wspominaliśmy przed rokiem w tekście Leszka Konarskiego „Drogi widok na Tatry", PRZEGLĄD nr 25/2019).

Turysta chce spa i jacuzzi

W starciu z inwestorami ze spółki Top Tatry, jednej z tych, które chcą budować w rejonie Równi, bezradni są burmistrz i starosta, bezradny jest miejski konserwator zabytków. Chociaż nie chcą, muszą się stosować do uchwalonych wcześniej złych przepisów. Przykładem jest zabytkowa willa Chata. Miejski konserwator zabytków na podstawie analizy prawa pozwolił na jej rozbiórkę, ale konserwator wojewódzki, opierając się na podobnej analizie, już nie. Spółka Top Tatry zaskarżyła tę decyzję, sprawa oparła się o Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i została rozstrzygnięta na korzyść Chaty oraz Lepszego Zakopanego. – Zarówno miejski konserwator zabytków, jak i starostwo, analizując projekty deweloperów, niekiedy wybiórczo traktują zapisy miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, umożliwiając budowę obiektów, które zgodnie z planem nie powinny zostać zaakceptowane. Nie wiadomo, jaka jest tego przyczyna, czy

eprasa.pl 5d1cf814c4

Willa Maryśka przy ul. Makuszyńskiego była wpisana do gminnej ewidencji zabytków.

niekompetencja urzędników, czy inne powody – komentuje Michał Furmanek z Lepszego Zakopanego.

– Czytając prasę i oglądając telewizję, można odnieść wrażenie, że całe Zakopane walczy z deweloperami. To nieprawda – mówi Marzena Szczepek, która zainwestowała tu w stuletni drewniany dom, ale nie po to, żeby go rozebrać, tylko żeby z niego żyć. – Nikt w tej dyskusji nie zauważył, że większość turystów odwiedzających Zakopane chce nocować w obiektach z betonu, szkła i stali. Dla statystycznego gościa drewniane domy mogą być jakimś skansenem lub tłem, ale nie miejscem, gdzie można by się zatrzymać. Czymś, co wywołuje dreszcz pożądania u przeciętnego Polaka, jest spa, a symbolem luksusu stało się jacuzzi. Stary dom w lesie przegrywa z betonowym obiektem, w którego piwnicach jest mały basen lub wanna z bąbelkami, sauna i miejsce, gdzie można zażyć rozkoszy tajskiego masażu. Zostawiwszy wcześniej swoje ukochane auto w podziemnym garażu, gdzie żaden zły listek nie dotknie drogocennej karoserii.

Koparka załatwi sprawę

Zarówno starosta Piotr Bąk, jak i burmistrz Leszek Dorula publicznie deklarują, że w sporach mieszkańców z inwestorami stoją po stronie tych pierwszych. Mówią też, że robią wszystko, by blokować przeskalowane i szkodliwe inwestycje, ale nie są w stanie zmienić uchwalonego przez poprzednią ekipę miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, a właśnie ten plan pozwala na gigantyczne inwestycje. Obawiają się, że zmiana planu może spowodować wytaczanie przez deweloperów procesów o odszkodowania. Jednocześnie miasto sprzedaje inwestorom działki, co pozwala deweloperom kreślić nowe plany i ewentualnie formułować nowe roszczenia o odszkodowania. Tak się stało w przypadku najbliższego sąsiedztwa Chaty.

Zapytany o tę sprzeczność radny Tymoteusz Mróz odpowiada: – Jest to łatanie budżetu na skróty. Byłem przeciwny podjętej ostatnio decyzji o sprzedaży innej działki w centrum miasta, przy ulicy Makuszyńskiego. Na pewno powstanie tam kolejny betonowy klocek, sam borykam się z deweloperem, który chce budować w moim sąsiedztwie. Ale trzeba podkreślić, że nie każdy inwestor, architekt czy budowlaniec to ktoś zły.

Problemem nie jest samo stawianie domów w Zakopanem, problemem jest skala.

Nie jest dobrze, że słowo deweloper stało się u nas synonimem szkodnika społecznego. Są w Zakopanem realizowane inwestycje z klasą, lepiej wszystkiego nie krytykujmy.

Jak więc doszło do tego, że deweloper został utożsamiony ze szkodnikiem? W czerwcu, zanim którykolwiek konserwator zabytków zdążył dokończyć poranną kawę, inwestor pośpiesznie, przy użyciu koparki, rozebrał Lipowy Dwór. Nie zdążył nawet wyłączyć strony internetowej, na której wciąż (30 czerwca 2020 r.) można przeczytać: „Lipowy Dwór to odrestaurowany historyczny budynek w stylu zakopiańskim, usytuowany w centrum miasta, 500 m od Krupówek – najsłynniejszego deptaka Polski. Zlokalizowany jest przy urokliwej, mało ruchliwej, jednokierunkowej ulicy Modrzejewskiej".

Wytrychem pozwalającym na rozbiórkę cennych dla charakteru miasta budynków jest formułka „przebudowa i odbudowa konserwatorska".

Ten sam los spotkał wpisaną do gminnej ewidencji zabytków willę Maryśka przy ulicy Makuszyńskiego. Willa była w złym stanie technicznym i tu o zabytek również zatroszczyli się robotnicy wyposażeni w ciężki sprzęt wyburzeniowy.

Wytrychem pozwalającym na rozbiórkę cennych dla charakteru Zakopanego budynków jest formułka „przebudowa i odbudowa konserwatorska". Obecnie trwają już „odbudowy konserwatorskie" willi Stefa przy ulicy Jagiellońskiej oraz willi Mak przy Zamoyskiego. Stefa tajemniczym sposobem doznała rozdwojenia, natomiast Mak rozrósł się niewyobrażalnie, zajmując niemal całą, zieloną wcześniej działkę. Na stronie inwestora odbudowującego Mak czytamy: „Choć jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami rozbiórek zabytkowych budynków, to jednak w niektórych, skrajnych wypadkach trzeba się na to zgodzić, pod warunkiem że budynek zostanie odtworzony w swojej pierwotnej formie, z rekonstrukcją wszystkich charakterystycznych detali architektonicznych i stolarki, a jedynie wnętrza będą zaaranżowane na nowo i zaadaptowane do nowych potrzeb". Jeśli przez pierwotną formę rozumiemy obrys fundamentów, to ta notatka jest daleka od rzeczywistości.

Bezradni urzędnicy?

W dramatycznych losach ważnych dla Zakopanego budynków widać pewną prawidłowość – zwykle spadkobierca, często już w podeszłym wieku lub nieświadomy wartości tego, co otrzymał, sprzedaje nieruchomość, początkowo nikt nie jest zainteresowany kupnem, sąsiedzi powtarzają plotkę o rzekomo niezwykle wysokiej cenie obiektu. W końcu pojawia się kupiec i dom po transakcji natychmiast popada w ruinę, czasem płonie, ogród dziczeje, znikają stare drzewa, pojawiają się za to żółte tabliczki z informacją: „Teren prywatny, wstęp wzbroniony". Na ulicy Grunwaldzkiej przy jednej z takich nieruchomości nagle wyrosła góra śmieci i zalegała tam aż do rozpoczęcia prac budowlanych. W innym miejscu rozgoryczony przedłużającym się oczekiwaniem na decyzję urzędu inwestor stłoczył na małej działeczce kozy, żeby rozchodził się nieprzyjemny zapach.

Po kilku miesiącach lub po roku sąsiedzi zwykle otrzymują list ze starostwa z informacją, że nowy właściciel planuje inwestycję, projekt można obejrzeć w urzędzie. Jednocześnie okazuje się, że wydano już zgodę na rozbiórkę stojącego w ogrodzie obiektu. Drewniany dom może w świetle prawa

FOT. MARZENA SZCZEPEK

eprasa.pl 5d1cf814c4

i w oczach urzędników nie mieć żadnej wartości, a wpisana do rejestru zabytków willa może być w tak złym stanie technicznym, że trzeba ją rozebrać.

Wizyta sąsiadów w wydziale budownictwa starostwa powiatowego jest monitorowana przez inwestora. Po niej przychodzi czas na nieurzędowe negocjacje – deweloper proponuje spotkanie, na którym przekonuje do swoich racji. Nieoficjalne odszkodowania dla mogących protestować sąsiadów nie są żadną tajemnicą, chociaż umieszczenie ich w systemie podatkowo-prawnym wymagałoby pewnego wysiłku od negocjujących stron. Wymieniony wyżej list ze starostwa informuje o wszczęciu procesu starania się o pozwolenie na budowę. Następny list mówi o wydaniu pozwolenia. I tu sąsiedzi znów mogą się odwołać – tym razem do wojewody, potem mogą wejść na drogę sporów sądowych i wielu tak robi. Tak się dzieje w rejonie Równi Krupowej.

Niedawno obiegła Zakopane wieść, że wojewoda Piotr Ćwik uchylił decyzję zakopiańskich urzędników chcących zablokować budowę ośmiokondygnacyjnego obiektu w pobliżu wylotu Doliny Białego, w najbliższym sąsiedztwie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Po mieście rozeszła się plotka: wojewoda opowiedział się po stronie spółki Air Tours Poland chcącej postawić blok w Dolinie Białego.

Urząd wojewody te pogłoski dementuje: „Wojewoda może co najwyżej ocenić zgodność danej inwestycji z prawem, m.in. z planem miejscowym. Trudno zatem zrozumieć, na jakiej podstawie sformułował Pan swoje wnioski (chodzi o oskarżenie wojewody Ćwika, że sprzyja spółce Air Tours Poland – przyp. aut.).

Jako organ drugiej instancji możemy się wypowiedzieć wyłącznie w odniesieniu do tego, czy dana inwestycja mieści się w standardach określonych w planie miejscowym i spełnia wymogi przepisów budowlanych. Na tym nasza rola się kończy. Teza o udzielaniu poparcia jakiejkolwiek spółce jest kompletnie nieuprawniona i sprzeczna z faktami.

Jedyną kwestią, w której jako organ drugiej instancji zabieraliśmy głos, jest ocena zgodności danej inwestycji z planem miejscowym. Jeżeli dana inwestycja jest zgodna z planem miejscowym, trudno, abyśmy stwierdzali coś innego”. I tu koło się zamyka, bo – jak wiemy – plan został uchwalony przez poprzednią ekipę, a obecna nie może lub boi się go zmieniać ze względu na potencjalne procesy o odszkodowania.

Paweł Grocholski

Nieoficjalne odszkodowania dla mogących protestować sąsiadów nie są żadną tajemnicą.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Sklepowa jak psycholog

W lokalnym sklepiku da się rozwiązać każdy problem, załatwić wszystko, jest tu jak u mamy

Helena Leman

Niedzielne popołudnie. W przydrożnym sklepiku w Gardnie Małej kolejka oczekujących. Nastoletnia dziewczyna, pakując zakupy, nagle pyta, czy sklepowa nie zostałaby jej świadkową podczas bierzmowania. Tłumaczy, że jej chrzestni są po rozwodzie i świadkami być nie mogą. A ksiądz jest wymagający. Prośba wzbudza ogólne rozbawienie. – O tak, tak, to prawda, nasz proboszcz jest bardzo zasadniczy – potwierdzają mężczyźni, śmiejąc się pod nosem, a jedna z klientek dodaje, że z tego powodu swoje dzieci na przygotowanie do komunii wozi aż do Słupska. Gdy ekspedientka się zgadza, dziewczyna, cała szczęśliwa, choć nieco speszona, maszeruje do wyjścia, a wszyscy podsumowują, że w ich sklepiku da się rozwiązać każdy problem, załatwić wszystko, że jest tu jak u mamy.

W przedsionku małe centrum informacji. Na tablicy ogłoszeń oferty pracy dla sprzątaczek i dla opiekunów szkolnych z okolicznych miejscowości, których szuka Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej, ogłoszenie o zbieraniu pieniędzy dla chorej Nadii, zasady segregacji śmieci i harmonogram ich odbioru dla zapominalskich.

Kasjerka w dyskoncie nie zapyta o fryzurę

W sklepie spożywczo-przemysłowym w Cieciorce na skraju Borów Tucholskich z rana obsługuje mnie zażywna brunetka uśmiechnięta od ucha do ucha. – Już mnie głowa boli od ciągłego upominania klientów, żeby założyli maski. A kontrole jeżdżą, i to z policją. Klient za brak maski dostaje mandat 500 zł, a sklep karę 5 tys. Jak nie dopilnuję, szefowa mi z pensji potrąci – mówi. Jakby na potwierdzenie tych słów do środka wpada opalony 30-latek, oczywiście bez maski. – I sama pani widzi – sprzedawczyni rozkłada ręce. Lecz gdy zwraca mu uwagę, ten bez słowa sprzeciwu szybko naciąga koszulkę na brodę.

Gdy wracam po południu, za ladą króluje jej zmienniczka Katarzyna Kotlenga, równie ciepła i wesoła. Mieszka w pobliskiej wsi gminnej Kaliska, z której dojeżdża, a przepracowała w sklepiku w Cieciorce 24 lata. Zaczynała, gdy sklep należał jeszcze do Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska.

Katarzyna Kotlenga przepracowała w sklepiku w Cieciorce 24 lata.

– Przez te lata przychodzili do mnie ludzie z przeróżnymi problemami, czasem samo wysłuchanie wystarczyło, wsparcie dobrym słowem – mówi pani Katarzyna. – Jak coś się dzieje, wszyscy do sklepu pędzą. Jak ktoś coś znalazł, od razu do sklepu przynosi, jak zgubił, w sklepie pyta. Jak ktoś kogoś szuka, to najpierw tu zasięga języka. Nawet o tym, co się dzieje w mojej miejscowości, często dowiaduję się tutaj, w Cieciorce, od moich klientów.

Przed placówką tablica z ogłoszeniami, na niej szwarc, mydło i powidło. Ktoś ogłasza, że odkupi bursztyny, obok plakat kina letniego, komunikat dla właścicieli psów, zaproszenie na zabawę dla dzieci Fiesta Kids i na kurs tańca towarzyskiego. Mężczyzna na rowerze przystaje na chwilę przy ogłoszeniach, czyta nekrolog i wzdycha. – Szkoda chłopaka, za młody był – zaczyna, odczekując chwilkę, aż pociągnę temat. Inny, który odjeżdża właśnie spod sklepu na starej wuesce, z torbą piwa na kolanach, zagaja z uśmiechem: – Chyba ten ładunek na motorze dowiozę, pasek mi się nie zerwie? Debatujemy więc chwilę o życiu, o nadchodzących wyborach i upale, który dzisiaj daje się we znaki.

Sprzedawczyni też zauważa, że klienci małych sklepów, takich jak jej, zachowują się inaczej niż kupujący w dużych marketach. Mają czas, nie wyskakują z pretensjami, bo zwyczajnie nie wypada.

Stali amatorzy piwka pod chmurką, którzy rozsiedli się na trawie za sklepowym płotem, także przemykają cichutko z butelką w garści. Potem sączą napój leniwie, delektując się każdym łykiem i wtrącając od czasu do czasu filozoficznie parę słów. W tym rytuale liczy się sama obecność kogoś drugiego.

– Trochę z nimi walczymy – przyznaje Katarzyna Kotlenga. – Pod sklepem spożywać trunków nie wolno, więc panowie przenieśli się na gminną drogę, zawsze sobie jakieś miejsce znajdą – śmieje się.

We wsi Sieci pod Słupskiem tacy panowie rezydują przy starej remizie, w drewnianej altanie naprzeciwko sklepu. Gdy bezskutecznie dobijam się do jego drzwi, natychmiast przybiegają i tłumaczą, że muszę dzwonić dzwonkiem, bo sklepowa poszła właśnie do domu na obiad. Gdy przychodzi, sroży się strasznie, rezydentom altany obrywa się za brak masek i rękawiczek, a mnie za to, że przysiadłam z lodem na brzeżku krawężnika i gniotę kwiaty na klombie. Ponieważ ze sklepowymi się nie dyskutuje,

eprasa.pl 5d1cf814c4

potulnie przenoszę się na ławkę, a panowie też kładą uszy po sobie i wycofują się do altany.

Piotr Palutkiewicz, ekonomista ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, współautor raportu „Perspektywy poprawy konkurencyjności na rynku handlu detalicznego w Polsce" z 23 stycznia 2020 r., zapytany o małe sklepy, mówi: – Dziś w Polsce przepisy działają na rzecz rosnącego udziału dyskontów, a małe sklepy są nam potrzebne. Wpływają chociażby na relacje społeczne. Często znamy sklepikarza po imieniu, jest naszym zaufanym dostawcą i sąsiadem. Nie traćmy ich na rzecz dyskontów, gdzie wszystkie relacje społeczne ograniczają się do słów: „Czy ma pani naszą kartę lojalnościową?". Kasjerka w dyskoncie czy supermarkecie nie zapyta o nasze dzieci czy o nową fryzurę.

Wojciech Grzywiński nie narzeka, byleby dyskont nie wyrósł pod nosem.

Po przysmaki do sklepiku

We wsi gminnej Kaliska, która ma ok. 2,5 tys. mieszkańców, a cała gmina ponad 5 tys., są trzy dyskonty: Biedronka, Lewiatan i duży Dino na końcu wioski. Najtłoczniej jest w Biedronce, ludzie wpadają na siebie, pchając wyładowane po brzegi wózki, bo dziś sobota. Na parkingu też pełno samochodów. W małym, geesowskim jeszcze spożywczaku tłumów nie ma, za to przychodzą stali klienci, głównie po wędliny z lokalnej masarni. Starsza pani w bluzce w groszki kupuje przysmaki dla męża: 10 plastrów polędwicy, 10 plastrów salcesonu, parę deka metki, a dla siebie krakowską suchą.

– Zdecydowanie wolę robić zakupy w małych sklepach, gdzie sprzedaje się żywność z naszych rodzinnych firm, która jest smaczniejsza i świeża – podkreśla. – A produkty z naszej geesowskiej masarni to już rarytas, palce lizać. Słyszała pani, co mówiła sklepowa. Przerób wędlin idzie właściwie na bieżąco. Ten zakład jeszcze funkcjonuje, ale ich piekarni już nie ma, wielka szkoda. W małym sklepie jest poza tym bliższy kontakt z ludźmi, można się dopytać, poradzić. Teraz jeszcze pojadę na targ po pomidorki ze straganu. Nie muszę się tłoczyć w markecie, co ze względu na epidemię też jest bezpieczniejsze.

Katarzyna Kotlenga mówi, że w jej sklepie w Cieciorce często mają wyroby z masarni w Kaliskiej. – Ich kiełbasy są rewelacyjne. Pytają o nie i miejscowi, i przyjezdni, np. Ślązacy, co u nas wakacje spędzają, załadowują nimi cały samochód i wiozą do siebie.

Gdy się jeździ trochę po wsiach i miasteczkach odległych od głównej szosy, można trafić w sklepikach na prawdziwe przysmaki i cuda. Najlepsze drożdżówki znajdzie się na Kaszubach i Kociewiu – puszyste, pachnące drożdżami, ze smakowitą kruszonką, z owocami lub serem, do tego duże i tanie. Smak domowego sernika, prosto z blachy, kupionego rok temu w Krasnopolu na Podlasiu, pamiętam do dziś. Na Podlasiu dobry jest też kwas, im mniejszy sklepik, tym kwas smaczniejszy, do tego świetnie gasi pragnienie. Przepiękny gąsior do wina w wiklinowym koszu ze sklepiku pod Hajnówką wzbudza zachwyt moich gości. Zawsze pytają, czy kupiłam go w Cepelii, której placówek notabene ze świecą teraz szukać.

Szefowa Katarzyny Kotlengi dodaje, że nie docenia się takich lokalnych punktów handlowych, a te za dziesięć lat mogą zniknąć z krajobrazu. Wtedy rynek przejmą dyskonty i supermarkety. Jej mąż pracuje w Niemczech, tam już takich sklepików nie ma.

Powstrzymać upadanie

– W minionych latach zauważalny jest trend upadania małych sklepów zarówno spożywczych, jak i przemysłowych – mówi Piotr Palutkiewicz. Rocznie tych pierwszych może ubywać ok. 2 tys., natomiast pozostałych sklepów małoformatowych (przemysłowych, monopolowych, specjalistycznych) nawet do 5 tys. Ze wszystkich badań wynika wspólny wniosek: liczba małoformatowych sklepów w Polsce maleje. Wpływ na to mają zmieniające się nawyki zakupowe Polaków oraz ustawa o ograniczeniu handlu w niedziele, która w założeniach miała małym sklepom pomóc. Według Biura Analiz Sejmowych małe podmioty notują spadek przychodów sięgający nawet 30%. Tracą kosztem rosnących w siłę stacji benzynowych oraz dyskontów. Polacy, którzy wcześniej byli skłonni robić małe zakupy kilka razy w tygodniu, teraz, kuszeni promocjami, kupują dużo raz w tygodniu. Najczęściej w sobotę.

Kolejną przyczyną upadania małych sklepów, którą wskazuje Piotr Palutkiewicz, są właśnie możliwości promocji. – Duże sieci, korzystając z efektu skali, mają silną pozycję negocjacyjną w stosunku do producentów. A dzięki dodatkowym instrumentom i systemom informatycznym są w stanie szybko dotrzeć z promocjami do klientów – wyjaśnia. Dodaje też, że technologiczną odpowiedzią na problem możliwości oferowania promocji przez niewielkie placówki jest M/platform, do której sieci należy już 9 tys. małych sklepów.

Z konkurencją od lat borykają się tzw. geesy, które złote czasy przeżywały w PRL. Na ich sklepy, z reguły w dobrych lokalizacjach, w centrach miasteczek i wsi, od lat polują znane sieci. Na stronie Krajowego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Samopomoc

> Jak coś się dzieje, wszyscy do sklepu pędzą. Jak ktoś coś znalazł, od razu tu przynosi, jak zgubił, w sklepie pyta.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Chłopska znajduję apel z 20 kwietnia 2020 r.: „Kupując w sklepie spółdzielczym, wspierasz polskich wytwórców". Apel wpisuje się w ogólnopolską kampanię informacyjną „Kupuj świadomie – Produkt Polski", do której dołączyła polska spółdzielczość.

Według informacji podanych w apelu w Polsce działa ponad 7 tys. sklepów geesowskich. W 2009 r. takich sklepów było 14 tys. Sprzedawczyni z Kaliskiej mówi, że z samego handlu spółdzielnia by się nie utrzymała, funkcjonuje dzięki masarni. Odpowiednikiem geesów w miastach są sklepy Powszechnej Spółdzielni Spożywców Społem, których obecnie jest w kraju 2,5 tys. Ostatnio o odbudowie sieci tych sklepów i planach tworzenia Polskiego Holdingu Spożywczego, który ma wesprzeć także rolników, mówił „Tygodnikowi Rolniczemu" minister rolnictwa i rozwoju wsi Jan Krzysztof Ardanowski.

Odbijamy straty w niedzielę

W niedzielę 5 lipca drzwi sklepu spożywczo-przemysłowego Margaretka w Starym Targu w województwie pomorskim się nie zamykają. Wielkich zakupów jednak nikt nie robi, najczęściej kupuje się zimne napoje, piwo, lody, bo na dworze upał, czasem ktoś zapyta o chleb albo przyleci po kiełbasę na grilla. Za ladą sam szef Wojciech Grzywiński. Mówi, że handlem zajmował się od dziecka, już jako dziesięciolatek pomagał mamie. – Mam dwa sklepy, drugi odziedziczyłem po rodzicach w Nowym Targu, parę kilometrów stąd, tam dzisiaj sprzedaje moja żona. W niedzielę odbijamy sobie straty za dwa poprzednie dni. Jak weszła w życie ustawa o zakazie handlu w niedzielę i wielkie markety ruszyły z piątkowo-sobotnimi promocjami, nam klientów dosłownie wywiało. W pierwszych miesiącach po jej wejściu obroty tak spadły, że zacząłem już się martwić, czy utrzymam zatrudnienie, a zatrudniam sześć pracownic. Jak wybuchła epidemia, trochę się poprawiło, gdyż przed marketami trzeba było czekać w długich kolejkach. A teraz wszystko wraca do czasów sprzed epidemii. Ale nie narzekam, byleby tylko jakiś dyskont nie wyrósł nam pod nosem.

Starsza pani, która nadjeżdża właśnie na rowerze, dorzuca: – Na razie wielkich sieci w Starym Targu nie ma. Miał powstać Dino, ale nie wyszło. Ja tam za marketami nie tęsknię, kupuję u Wojtka, ale młodzi tak.

Małe sklepy są nam potrzebne. Wpływają na relacje społeczne. Często znamy sklepikarza po imieniu.

W Margaretce w Starym Targu drzwi w niedzielę się nie zamykają. Najczęściej kupuje się zimne napoje, piwo i lody.

Młodego klienta zdobywa się od kołyski. W lutym tego roku ruszyła paczka powitalna dla nowo narodzonych dzieci od Biedronki, a w roku szkolnym 2018/2019 – konkurs Przygód Szkolnego Gangu Słodziaków wspierający czytelnictwo wśród najmłodszych, dziwnie nawiązujący do akcji „Cała Polska czyta dzieciom". Na stronie Biedronki widzę informację, że udział w nim wzięło 6 tys. klas, a 40 tys. nauczycieli wykorzystało materiały Słodziaków na lekcjach. W konkursie uczestniczyła również szkoła ze Starego Targu, opowiadają moi rozmówcy.

– Nie wierzę, że ekspansję wielkich sieci uda się zahamować – mówi Wojciech Grzywiński – już za późno. Ile lat temu ogłoszono, że będzie podatek od marketów? I co? Nic, cisza. Czy widziała pani kiedyś reklamę Dino? Nie, gdyż ta sieć cichaczem podbija Polskę, ma już 1,3 tys. sklepów w całym kraju, głównie w mniejszych miejscowościach. Przeskoczyła Lidla. Gdyby jej sklep otwarto u nas, to w naszej gminie podatków płacić nie będzie, tylko w Krotoszynie, gdzie ma siedzibę.

Choć Margaretka od godziny powinna być zamknięta, klienci, korzystając z okazji, że pan Wojtek gawędzi ze mną, nadal tu się kręcą. Wielu przyjechało z okolicznych wiosek, gdzie sklepy pozamykano.

– Teraz to taki dziwny handel się zrobił, że najlepiej, jakbym w sklepie siedział na okrągło – wzdycha Wojciech Grzywiński. – Wyliczyłem, że miesięcznie 300 godzin pracuję. Wciąż jestem na dorobku, ten obiekt mam od dwóch lat, a jego szyldu jeszcze nie zdążyłem odnowić. Dawniej to był sklep geesowski, jeszcze moja mama w nim pracowała. A tę nazwę miał nosić najpierw dom handlowy w Sztumie, który też należał do geesów, ale ktoś tam stwierdził, że jak na taki obiekt to nazwa trochę niepoważna. Więc dom nazwano Kłos, a sklep u nas Margaretka.

Pan Wojtek o M/platform nie słyszał, na razie nie ma czasu, żeby zaglądać do komputera, musi jeszcze posprzątać i przygotować się do jutrzejszego wyjazdu po towar.

Piotr Palutkiewicz mówi, że małe sklepy ożywiają centra miejscowości, a handel i ruch powodują, że miło spędza się w nich czas. Pod Margaretką w Starym Targu to się czuje. Gdy dzwonię do pana Wojtka dwa dni później, mówi, że napis sklepu już odmalował, pomógł mu ojciec, który jest na emeryturze.

Helena Leman

FOT. HELENA LEMAN

eprasa.pl 5d1cf814c4

Węzeł izraelsko-palestyński

Po co Bibiemu Zachodni Brzeg i co na to Abbas

Palestyńczycy z Gazy protestują przeciw planom aneksji Zachodniego Brzegu.

Jakub Katulski

Kiedy w styczniu Donald Trump z doradcą do spraw Bliskiego Wschodu Jaredem Kushnerem ogłaszali polityczną część swojej „umowy stulecia", niewielu łudziło się, że przyniesie to rzeczywisty i trwały pokój między Izraelem a Palestyńczykami. Projekt już w czerwcu zeszłego roku został odrzucony przez stronę palestyńską, jeszcze zanim Kushner zdążył przylecieć do Bahrajnu, by przedstawić propozycje Białego Domu, i zanim główni zainteresowani mieli okazję zobaczyć, co jest na stole. Doradca prezydenta, a prywatnie jego zięć, pod nieobecność zarówno Izraelczyków, jak i Palestyńczyków (oprócz nielicznej grupki prywatnych przedsiębiorców), wykładał przedstawicielom kilku państw arabskich dotychczas sekretny plan, zakładający m.in. zainwestowanie 50 mld dol. w palestyńską ekonomię, co jego zdaniem miałoby podwoić PKB.

Ramallah uznało, że plan jest jawnie proizraelski i nie bierze pod uwagę palestyńskich interesów narodowych, takich jak kwestia więźniów politycznych, zakończenie izraelskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu czy status Jerozolimy. Mimo to w rozmowie z saudyjską prasą Kushner oświadczył, że dwudniowe warsztaty w Bahrajnie były wielkim sukcesem. Zdecydowanie mniejszy entuzjazm wyrażali międzynarodowi komentatorzy. Bernard Avishai w „New Yorkerze" zaznaczył, że „są powody, by wątpić w dobre intencje ekipy Kushnera", zauważając, że Waszyngton mimo protestów przeniósł ambasadę z Tel Awiwu do Jerozolimy, a następnie obciął fundusze na pomoc dla Palestyńczyków.

Plan Kushnera

Nic więc dziwnego, że jedynie Izraelczycy cieszą się z nowego projektu. W dostępnym na stronach Białego Domu dokumencie można przeczytać, że został on opracowany z korzyścią dla Palestyńczyków, Izraelczyków i całego regionu, choć w rzeczywistości przechyla szalę na korzyść państwa żydowskiego. Wystarczy przyjrzeć się kwestii terytorialnej, w której wykluczono przesiedlenia Żydów i Arabów, co w konsekwencji zalegalizowałoby osiedla na Zachodnim Brzegu, będące jedną z głównych przeszkód w osiągnięciu trwałego porozumienia pokojowego. Podobnie problematyczna jest koncepcja włączenia w granice Izraela doliny Jordanu, obszaru o znaczeniu strategicznym. Te postanowienia, wraz z założeniem, że przyszłe państwo palestyńskie miałoby pozostać zdemilitaryzowane na bliżej nieokreślony czas, bardzo ograniczyłyby szanse na utworzenie samowystarczalnego organizmu.

W debacie politycznej w Izraelu temat aneksji całości lub części Zachodniego Brzegu funkcjonuje już od

eprasa.pl 5d1cf814c4

wojny sześciodniowej w 1967 r., kiedy Izraelowi udało się zająć ten obszar wraz z półwyspem Synaj i Wzgórzami Golan. W późniejszych dekadach, na mocy traktatu pokojowego z Egiptem, Synaj został zwrócony, a Wzgórza Golan anektowane. Zachodni Brzeg nie wrócił w granice Jordanii, mimo że między obydwoma krajami również zostały podpisane traktaty kończące konflikt. Zamiast tego, wskutek porozumień z Oslo z 1993 r., utworzona została Autonomia Palestyńska, która miała stać się tymczasową administracją i przekształcić w niepodległe państwo palestyńskie. Tak się nie stało, w czym zawiniły obie strony, choć żadna nie chce do tego wprost się przyznać. Co jednak ważne, izraelski rząd, zwracając Synaj czy decydując się na wycofanie ze Strefy Gazy, zburzył także osiedla, które zamieszkiwali izraelscy obywatele. Na Zachodnim Brzegu nigdy nie zostały przeprowadzone szeroko zakrojone działania prowadzące do zaprzestania rozbudowy osad nielegalnych w świetle konwencji genewskiej. Dlatego izraelska prawica tak chętnie podnosi temat włączenia Zachodniego Brzegu w granice państwa. Poruszali go też Beniamin Netanjahu i Beni Ganc, ścierając się w rekordowo długiej kampanii wyborczej, trwającej przez niemal cały rok 2019 i kończącej się dopiero w marcu 2020 r.

Obaj politycy, mając na uwadze sympatie prawicowych wyborców, zapowiadali, że jeśli uda im się objąć fotel premiera, podejmą kroki mające na celu „rozciągnięcie suwerenności" Izraela na część obszaru Zachodniego Brzegu. Mówiono zarówno o największych osiedlach, jak i o dolinie Jordanu. Przed publikacją planu Kushnera Netanjahu zapowiedział nawet, że podejmie stosowne decyzje niezależnie od trwającej kampanii, lecz Waszyngton studził jego zapały, wzywając do cierpliwego oczekiwania na treść „umowy stulecia". Izraelski premier nie mógł chyba dostać lepszego prezentu od Donalda Trumpa, dlatego ogłosił, że jego kraj jednostronnie przyjmuje program. Palestyńczycy jednak nie mogli na niego się zgodzić.

Częściej i głośniej o aneksji zaczęto mówić dopiero po zawiązaniu się umowy koalicyjnej między dotychczasowymi rywalami – Netanjahu i Gancem. Pojawiły się zapowiedzi, że konkretne działania zostaną podjęte już 1 lipca. Tak się nie stało, mimo to Palestyńczycy nie odetchnęli z ulgą. „Jerusalem Post" donosi, powołując się na źródła bliskie amerykańskiemu prezydentowi, że do aneksji może dojść jeszcze w lipcu.

Nadal nie ogłoszono jednak żadnej konkretnej mapy terytoriów, które miałyby zostać włączone w granice Izraela. Mówi się, że będzie to około 30% Zachodniego Brzegu, wraz z największymi osiedlami i doliną Jordanu, choć według mediów nie zapadły konkretne decyzje i Netanjahu rozważa wszelkie za i przeciw. Izraelska prawica, ze szczególnym uwzględnieniem osadników, z pewnością byłaby premierowi wdzięczna za taki ruch, choć niektóre środowiska nastawione bardziej nacjonalistycznie i tak uznają, że to za mało. Krytycznie do aneksji odnoszą się lewica i partie arabskie, a także część centrum. Centroprawicowi wyborcy mogą popierać sam fakt poszerzenia granic kraju, lecz woleliby, aby odbyło się to z poszanowaniem prawa międzynarodowego i na podstawie traktatu pokojowego, który scementowałby relacje między Izraelem a przyszłą niepodległą Palestyną.

Jeszcze w lipcu może dojść do aneksji Zachodniego Brzegu.

Plan, który przygotował Trump, wyklucza przesiedlenia Żydów i Arabów, co oznacza legalizację izraelskich osiedli na Zachodnim Brzegu.

Sąsiedzi i Europa

Niezadowoleni są również zagraniczni partnerzy Izraela, zarówno w sąsiedztwie, jak i w Europie. Chociaż nie należy się spodziewać wspólnego stanowiska Unii Europejskiej w tej sprawie, poszczególne państwa już dzisiaj wyrażają sprzeciw. Takie opinie padły ze strony Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Brytyjski premier Boris Johnson w tekście opublikowanym w „Jedi'ot Acharonot" przedstawił siebie jako przyjaciela Izraela, ale wezwał Netanjahu, by ten powrócił do negocjacji z Palestyńczykami. Zdaniem Johnsona aneksja może jedynie zaszkodzić długotrwałym interesom państwa żydowskiego. Z kolei ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Francji wystosowali 7 lipca wspólne oświadczenie wraz ze swoimi odpowiednikami z Egiptu i Jordanii. Można w nim przeczytać, że „nie zaakceptują żadnych zmian granic z 1967 r., które nie zostaną uzgodnione przez obie strony konfliktu", i że „taki krok miałby poważne konsekwencje dla bezpieczeństwa i stabilności regionu".

O ile Niemcy i Francuzi nie mają bezpośrednio wielkiego wpływu na bezpieczeństwo w regionie, o tyle współpraca z egipskim i jordańskim sąsiadem jest dziś kluczowa dla Izraela. Egipcjanie są bardzo ważni w utrzymaniu w ryzach Hamasu w Strefie Gazy, zwłaszcza w aspekcie ograniczenia dostaw uzbrojenia kanałami przerzutowymi na Synaju. Jordańczycy też mają swoje do powiedzenia, zwłaszcza że oba państwa współpracują na rzecz bezpieczeństwa swoich granic, dzięki czemu utrudniono rozwój siatek Państwa Islamskiego, które w przeciwnym razie łatwo mogłyby się poruszać między obydwoma krajami przez dolinę Jordanu.

Dla króla Jordanii Abdullaha II od współpracy z zachodnim sąsiadem ważniejsze mogą być jednak nastroje społeczne wewnątrz kraju. Znaczna część jordańskiego społeczeństwa z dumą podkreśla swój palestyński rodowód i los Arabów zamieszkujących Zachodni Brzeg jest bliski ich sercu. Jeżeli doszłoby do aneksji, w Jordanii mogłyby wybuchnąć trudne do opanowania demonstracje. Co prawda, król cieszy się dużą sympatią obywateli, lecz musi dbać o nastroje społeczne, szczególnie że w ostatnich latach protesty na Bliskim Wschodzie były wykorzystywane przez ugrupowania ekstremistyczne, takie jak Państwo Islamskie czy Bracia Muzułmanie.

Gra Netanjahu

Prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas również ma twardy orzech do zgryzienia. Jeśli Netanjahu postawi na swoim, Abbasowi nie uda się tych planów powstrzymać. Nie znaczy to jednak, że nie może on

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 5d1cf814c4

podjąć żadnych działań. Bliscy mu palestyńscy politycy wydają w ostatnich tygodniach oświadczenia, które sugerują, jakie ruchy może rozważać kierownictwo Fatahu. Saeb Erekat, główny palestyński negocjator, zagroził, że aneksja może spowodować rozwiązanie Autonomii. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, zwłaszcza że taki ruch mógłby doprowadzić do oddania Izraelczykom pola bez walki. Sam Abbas zapowiedział jednak, że może nakazać zwrócenie całej broni Siłom Obrony Izraela i rozwiązanie palestyńskiej policji. Taki ruch zrzuciłby całą odpowiedzialność za bezpieczeństwo Zachodniego Brzegu na izraelskich żołnierzy. A dla Izraela współpraca z palestyńskimi służbami jest bardzo ważna, by skutecznie dusić w zarodku działania radykałów i ograniczać wpływy Hamasu, Islamskiego Dżihadu i innych grup terrorystycznych. W konsekwencji bardzo trudno byłoby zapobiegać wybuchom lokalnych buntów czy nawet kolejnej intifady, jak miało to miejsce w latach 1987-1993 i 2000-2005, kiedy niemal codziennie dochodziło do zamachów terrorystycznych, także samobójczych.

Abbas może też chcieć wymusić na Unii Europejskiej i poszczególnych państwach członkowskich uznanie niepodległości Palestyny. Już w 2013 r. dekretem ogłosił powstanie państwa, lecz jego europejscy partnerzy nie zdecydowali się na poparcie tego aktu. Argumentacja jest jasna: niepodległa Palestyna zostanie uznana jedynie na podstawie ostatecznego porozumienia kończącego konflikt z Izraelem. Za to w przypadku jednostronnego działania Izraela, które doprowadzi do zmiany zaakceptowanych porozumieniami granic, europejskie państwa sympatyzujące z Palestyńczykami mogą podchodzić do tej kwestii mniej dogmatycznie.

Palestyńczycy zapowiedzieli, że są skłonni usiąść do rozmów z Izraelem.

Problematyczna jest koncepcja przekazania Izraelowi strategicznej doliny Jordanu.

Negocjacje między obiema stronami miałyby się odbyć pod auspicjami kwartetu madryckiego, w którego skład wchodzą Rosja, Stany Zjednoczone, Unia Europejska i ONZ. Według palestyńskiej agencji prasowej Wafa Mahmud Abbas odbył już w tej sprawie rozmowę z Władimirem Putinem, a rosyjski prezydent wyraził wsparcie dla rozwiązania dwupaństwowego i szybkiego powrotu do negocjacji. Rozmowa dwóch prezydentów to jednak za mało, by ponownie uruchomić proces pokojowy, a nadal nieznane jest stanowisko pozostałych aktorów kwartetu.

Przyśpieszenie aneksji wydaje się kluczowe dla Netanjahu. Nic dziwnego, wszak ma on już 71 lat i z pewnością zaczyna rozważać scenariusze emerytalne. A ciążą na nim oskarżenia o korupcję i nadużycie władzy. W tym roku rozpoczął się proces sądowy w tej sprawie, który najprawdopodobniej będzie się ciągnął latami. Bibi jest doświadczonym politykiem i zapewne ma świadomość, że jeśli nic nie zrobi, to odejdzie w atmosferze skandalu. Korzystając z niemal bezwarunkowego poparcia Donalda Trumpa, może próbować to zmienić i zapisać się w podręcznikach jako ten, który poszerzył granice kraju, po raz czwarty w izraelskiej historii. Musi jednak się pośpieszyć, gdyż w razie klęski Trumpa w listopadowych wyborach Joe Biden może już nie być tak bezkrytyczny.

Uścisku dłoni nie będzie

Aby spojrzeć obiektywnie na izraelsko-palestyński proces pokojowy, należy na chwilę zostać adwokatem diabła. Osiedla na Zachodnim Brzegu, które mają zostać zaanektowane, przez lata rozrosły się i stały całkiem sporymi miastami. Zwrot tych terenów Palestyńczykom może być niemożliwy lub bardzo trudny. Największe osiedle, Modi'in Illit, ma 78 tys. mieszkańców, głównie ultraortodoksyjnych Haredim. W innych również żyje po kilkadziesiąt tysięcy osób. Likwidacja takich miejscowości i przesiedlenie mieszkańców do Izraela to koszmar dla logistyków, żołnierzy, polityków i ekonomistów, którzy musieliby opracować alternatywny plan dla tych ludzi. Przy okazji może to się stać politycznym samobójstwem, gdyż w kraju tak niewielkim jak Izrael kilkaset tysięcy wyborców to potężna siła, mogąca przechylić szalę każdych wyborów.

W zamrożonym od lat procesie pokojowym taki ruch może być jedynym, który cokolwiek zmieni. A że odbędzie się z pogwałceniem prawa międzynarodowego? Wielu Izraelczyków ma inne zdanie, co przejawia się w niechęci do stosowania słów aneksja i okupacja. Argumentują oni, że na tych ziemiach nigdy nie istniało niepodległe państwo palestyńskie, a jedynym legalnym organizmem państwowym było biblijne królestwo Izraela. W myśl tej argumentacji Zachodni Brzeg prawnie należy się Izraelczykom, Arabowie zaś mogą mieszkać w jednym z 21 państw arabskich. Nieważne stają się dowody na to, że Palestyńczycy posiadali legalnie ziemię od pokoleń czy stuleci, jeśli przeciwnicy wyciągają rodowód sięgający kilku mileniów. Choć Europa z pewnością życzyłaby sobie, by Netanjahu i Abbas usiedli przy stole rokowań, uzgodnili wzajemne roszczenia, ustalili konkretne zadośćuczynienie i pozwolili na sfotografowanie uścisku dłoni, najprawdopodobniej to się nie wydarzy i jedyną drogą do jakiegokolwiek porozumienia może być zmuszenie Palestyńczyków do dalszych ustępstw. Realnie jednak ta aneksja tylko scementuje *status quo.*

Jakub Katulski
www.stosunkowobliskiwschod.pl

Czy, a jeśli tak,
to do czego potrzebny
jest nam jeszcze premier?
Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE".

eprasa.pl 5d1cf814c4

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Niepotrzebne skreślić

No i stało się. Wybraliśmy, wybraliście, wybrali. Ale co się stało? Kiedy piszę te słowa, jestem w o tyle lepszej/gorszej (odtąd możecie Państwo skreślać niepotrzebne) sytuacji, że nie znam wyników wyborów prezydenckich w Polsce Anno Domini 2020. A mówi się, sondaże głoszą, że idą łeb w łeb, równo, przy sobie blisko, równocześnie tak daleko jak nigdy dotąd od 30 lat. Blisko, bo różnice w badaniach opinii publicznej nie pozwalają czuć spokoju/lęku do końca. Do końca/początku. Stare odejdzie/nowe nastąpi?

Niezależnie od tego, jakie rozstrzygnięcie zafunduje nam na kolejne pięć lat polski lud, polskie społeczeństwo, polski naród, jego uprzywilejowani i wykluczeni, beneficjenci i ofiary, marzyciele i kunktatorzy, ci, którym wszystko jedno, byle było na ich, i ci, którym nie wszystko jedno, ale nie zawsze wiadomo, co to to jedno i co to to pozostałe – będzie inaczej. Kiedy na kolejne lata PiS dostanie bezdyskusyjne, bezapelacyjne, marionetkowe wsparcie podpisowe, dokończy dzieła, zajmie się tym, czego nie dorżnęło, nad czym jeszcze nie panuje niepodzielnie, nad czym nie rozciągnęło swojego namiotu kontrolnego, na czym wciąż jeszcze nie położyło wszechmocnej ręki prezesa. Zacznie wyjaśniać, dlaczego musztarda wyborcza tanieje zbyt wolno oraz dlaczego inne kuriozalne obiecanki cacanki z kampanii wyborczej zostały źle zrozumiane i nie mogą zostać zaspokojone, ale wszystkie inne Andrzej Duda spełni z naddatkiem, będzie naszą prezydencką złotą rybką tysiąclecia. To w ogóle jest marzenie i samopochwalna autodefinicja tych formacji polsko-narodowo-katolickich. Od czasów marnego, pierwszego kabaretowego rządu Jana Olszewskiego zawsze chcą być najwybitniejsi w skali tysiąclecia, a ponieważ poza nimi samymi nikomu nie przyjdzie do głowy taka ocena, wygłaszają ją sami, potem sami przywołują, cytują, powołują się, wpisują do podręczników i do płatnych ogłoszeń udających teksty redakcyjne, najlepiej gdzieś poza Polską. I zaczynają w to wierzyć. I jak to z wiarą – wierzą zapamiętale, bezkrytycznie, z pełnym albo większym oddaniem.

Wedle tej samej metody Andrzej Duda uwierzył, że jest politykiem, politykiem samodzielnym, z inicjatywą, samooceną i sprawczością, za chwilę uwierzy, że jego żona zabiera głos w sprawach publicznych intensywniej i celniej niż Michelle Obama, Maria Kaczyńska i Jolanta Kwaśniewska razem wzięte, choć przez pięć lat udało się jej ust nie otworzyć. Ale ten typ, ta formacja tak już ma. I co pan poradzisz? Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan zrobisz?

No dobra, dobra, ale przecież, jak sam napisałem, nie jest wykluczone, że Rafał wypchnie Andrzeja w realny niebyt polityczny, na polityczny bruk, na uniwersytecki margines, na wiecową pustkę. I sam wejdzie w miejsce trudne, do zdefiniowania na nowo, do opanowania w czasie skrajnie trudnej kohabitacji z rządem Morawieckiego, do bezustannych ataków tzw. mediów publicznych, do zmasowanych ataków pisowskiej ulicy. Ale to nie koniec kłopotów, wszak za Trzaskowskim stoi Platforma, która na swoje klęski zapracowała i uczciwie, i latami i nagłe przebudzenie, czyli wejście do wyścigu o prezydenturę, zawdzięcza serii przypadków pandemicznych i dość zaskakującej ofensywie nowego kandydata. Czy Trzaskowski znajdzie w sobie wolę zasadniczej przebudowy platformerskiego zamku krzyżackiego na nowoczesny gmach publicznego państwa? Kiedyś jeden z moich przyjaciół, widząc czyjeś zmagania w życiu osobistym, nazwijmy je w skrócie małżeństwem, zadawał kluczowe pytanie: „I jak, rwiesz łańcuch czy ciągniesz budę za sobą?". Czy Trzaskowski będzie gotów rwać łańcuch platformerskiej, boomerskiej, samozadowolonej tożsamości wypełnionej wspomnieniami minionej chwały? Mam przekonanie, że taki potencjał w nim tkwi, nie potrafię jednak zaryzykować twierdzenia, że będzie chciał. To by oznaczało konieczność budowania na nowo i zdefiniowania na nowo celów, reguł działania całej formacji politycznej, rozegrania istniejących sieci powiązań, zbudowania nowych, poszerzania zaplecza politycznego, w którym nie ma kampanijnych umizgów do wszystkich, a w szczególności polskich parafaszystów i w ogóle skrajnej prawicy. To miejsce i ten język obsadziło PiS na lata. Sporo oczekiwań, pytań i wyzwań – najpierw wystarczy wygrać z Andrzejem Dudą, którego pięć minut w polityce i tak trwało o pięć lat za długo.

Ale problem jest o wiele szerszy niż jeden z tych dwóch panów. I Polskę, i Europę, i świat czekają naprawdę większe wyzwania niż drobne z musztardy czy odwaga zapewnienia podstawowych praw mniejszościom. Klimat wyje na alarm, energetykę czeka rewolucja, wody będzie brakować, a kiedy indziej pędząca przez chwilę uregulowanymi kanałami spustowymi, dawniej rzekami, może zniweczyć dorobek życia czy nawet zabrać je samo. Idzie czas wielkiej zmiany modelu gospodarczo-ekonomicznego, kryzysu migracji na niespotykaną skalę, wyzwania kapitalizmu cyfrowego. O tym w polskiej kampanii od przyszłego „przywódcy" niewiele usłyszeliśmy. I z takim prezydentem przyjdzie nam spędzić kolejne pięć lat. Groźnych albo niejasnych. Pompatycznych, a może ożywczych.

Wybraliśmy, wybraliście, wybrali.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Zapłata za wieki niewolnictwa

Właściciel mediowego giganta zaapelował o specjalny fundusz dla czarnoskórych mieszkańców USA

Mateusz Mazzini

Szum drzew, dźwięki wydawane przez przelatujące mewy, odgłos fal rozbijających się o brzeg. Idylla, spokój – przynajmniej w naszych czasach. A dokładniej – w sierpniu 2019 r., kiedy brzegiem oceanu w stanie Wirginia spacerowały dwie kobiety. Jedną z nich była Nikole Hannah-Jones, dziennikarka „New York Timesa", należąca do najbardziej rozpoznawalnych czarnoskórych autorek w amerykańskich mediach. Na nagraniu, później zatytułowanym „Odcinek 1: wstęp", słychać, jak Jones staje na atlantyckim wybrzeżu, najprawdopodobniej zamyślona, patrząca w dal. Pytana przez rozmówczynię, o czym teraz myśli, bez wahania odpowiada: „Zastanawiam się, jak musieli się wtedy czuć. Wiedząc, że zostali oderwani od swojej ojczyzny, od jedynego świata, który znali, i mając już świadomość, że nigdy do niego nie wrócą".

Oni

Tymi słowami zaczyna się „Project 1619", głośne przedsięwzięcie dziennikarskie i audiowizualne zrealizowane przez nowojorski dziennik w zeszłym roku. „Oni", o których mówi Jones, to grupa 20 czarnoskórych niewolników, którzy w sierpniu 1619 r. zostali przetransportowani do ówczesnej brytyjskiej kolonii na wschodzie kontynentu amerykańskiego. Stali się pierwszymi przedstawicielami swojej rasy, którzy pojawili się na tych terytoriach. Wbrew własnej woli, pojmani i sprzedani do katorżniczej pracy dla białego człowieka, zapoczątkowali ponad dwa stulecia niewolnictwa i systemowego rasizmu w kraju, który później stał się Stanami Zjednoczonymi i zaczął uchodzić za wzór demokracji, praworządności i poszanowania praw obywatelskich. Przede wszystkim jednak ich przybycie do Wirginii równo cztery wieki temu dało podwaliny innej fundamentalnej konstrukcji społeczno-politycznej. Niewolnictwo samo w sobie było bowiem moralnie złe, ale dopiero jego materialne skutki, na czele z bogaceniem się białych i błyskawicznym wzrostem gospodarczym nowego kraju, zaprowadziły USA tam, gdzie są od dawna – na szczyt świata. Krótko mówiąc, od tych 20 niewolników z 1619 r. zaczął się dramat milionów czarnoskórych, będący jednocześnie pasmem prosperity milionów białych.

Dziś, choć rasizm jest wciąż wpisany w instytucjonalny porządek funkcjonowania amerykańskiego państwa, coraz powszechniejsza staje się wiedza o tym procesie historycznym. Że choć przez setki lat Ameryka miała białą twarz, jej sukces zbudowany został na krwi i śmierci czarnoskórych. Nikt już tej wiedzy nie wypiera z przestrzeni publicznej. Niedawny sondaż przeprowadzony przez Monmouth University pokazał, że aż 76% całego społeczeństwa USA i 71% białych Amerykanów uważa nierówności na tle rasowym za problem ogólnokrajowy. Jeszcze w 2015 r. odsetek ten nie przekraczał połowy respondentów. Rośnie nie tylko świadomość, ale i zaangażowanie. Niedawne protesty po śmierci George'a Floyda, czarnoskórego mężczyzny zamordowanego przez funkcjonariusza policji z Minneapolis-Saint Paul, zmobilizowały do wyjścia na ulice nie tylko Afroamerykanów, ale przede wszystkim całe rzesze białych, zwłaszcza młodych ludzi, wcześniej niezaangażowanych w walkę o sprawiedliwość rasową. Jak Stany długie i szerokie, powstają nowe organizacje pozarządowe, kolektywy społeczne wspierające czarnoskórych przedsiębiorców, artystów i studentów. I choć żadnego z tych gestów nie należy deprecjonować, nie wyrównają one nawet promila krzywd wyrządzonych przez cztery stulecia rasizmu sankcjonowanego prawem i wymierzanego batem. Na fali społecznej mobilizacji pojawia się zatem pytanie, wcześniej zadawane szeptem i w wąskich kręgach, dzisiaj będące w centrum amerykańskiej debaty publicznej: czy nadszedł czas, by rząd federalny oddał czarnoskórym obywatelom to, co im zabrał, kiedy za obywateli ich jeszcze nie uznawał?

Nierówności

Idea reparacji dla potomków niewolników nie jest nowym pomysłem. W styczniu 1865 r. gen. William Sherman, jedna z ważniejszych postaci amerykańskiej państwowości w XIX w., wydał dekret udostępniający uwolnionym niewolnikom i ich potomkom 40-akrowe działki na terenie Karoliny Południowej i Georgii, dwóch stanów, które w wojnie secesyjnej opowiedziały się po stronie Konfederacji. Pomysł jednak nie doczekał się powszechnej realizacji, bo umarł – dosłownie – cztery miesiące później, wraz ze śmiercią prezydenta Abrahama Lincolna. Jego następca, wcześniejszy wiceprezydent Andrew Johnson, zadeklarowany rasista, dekret Shermana unieważnił. W obronie czarnoskórych nie stanęli wówczas biali Amerykanie – większość z nich uważała, że sama wolność jest dla dawnych niewolników wystarczającą nagrodą, a dawanie im na własność ziemi to jej marnotrawstwo. Poza tym nawet zdaniem umiarkowanych polityków i działaczy zdewastowany wojną domową kraj miał ważniejsze problemy do rozwiązania niż wyrównywanie krzywd, które zresztą nie wszyscy za krzywdy uważali.

Sukces Ameryki zbudowany został na pracy, krwi i śmierci czarnoskórych.

eprasa.pl 5d1cf814c4

W Oklahomie czarnoskórzy mieszkańcy musieli korzystać z innych ulicznych dystrybutorów wody niż biali, 1939 r.

Przewińmy jednak rolkę historii do roku 2020 i Ameryki wciąż nierównej rasowo pod względem finansowym. Jak pokazują badania ekonomistów z oddziału Rezerwy Federalnej z Minneapolis, jeszcze w 1950 r. mediana dochodów czarnoskórego gospodarstwa domowego wynosiła dokładnie połowę mediany gospodarstwa białych Amerykanów. 70 lat później to wahadło nawet nie drgnęło. Średni majątek zgromadzony przez rodzinę Afroamerykanów jest o 80% niższy od majątków rodzin białych. Afroamerykanie rzadziej kończą licea i uniwersytety, częściej umierają na raka i choroby serca, znacznie mocniej też – zdrowotnie i finansowo – odczuli na sobie epidemię koronawirusa. Nadal są marginesem amerykańskiego społeczeństwa, a margines ten, jeśli się nie powiększa, to przynajmniej utrzymuje swoją szerokość. Nieprzerwanie od 400 lat.

Zadośćuczynienie

Jak zatem wyrównać, a przynajmniej spróbować zmniejszyć przepaść między czarnoskórymi i białymi Amerykanami? Wprawdzie idea rozdawania ziemi uprawnej od dawna kurzy się w archiwach, ale pomysł materialnych reparacji jest jak najbardziej żywy – choć przyjmuje różne formy. Robert L. Johnson, czarnoskóry miliarder, właściciel mediowego giganta Black Entertainment Television, w wywiadzie dla stacji CNBC na początku czerwca zaapelował do rządu federalnego o utworzenie specjalnego funduszu reparacyjnego w wysokości 14 bln dol. Pieniądze w nim ulokowane miałyby trafić do czarnoskórych Amerykanów, choć cały projekt nie odnosiłby się do historii tamtejszego niewolnictwa. Mimo że logiczne jest budowanie metaforycznego związku między dzisiejszymi Afroamerykanami i 20 Afrykanami z Wirginii, realnego pokrewieństwa z niewolnikami dzisiaj wielu nie byłoby w stanie udowodnić. Dlatego Johnson uzasadnienia dla swojego pomysłu szuka nie w dziejowej czy społecznej sprawiedliwości, ale w logice ekonomicznej. Jego zdaniem przeznaczenie tak ogromnej kwoty m.in. na wyzerowanie czesnego na publicznych uczelniach dla czarnoskórych studentów wydźwignie z wykluczenia dziesiątki tysięcy młodych. Pozwoli im wejść na legalny rynek pracy, odsunąć się od narkotyków. Pobudzi też amerykańską konsumpcję, tak mocno nadszarpniętą w eskalującej wciąż pandemii koronawirusa. Krótko mówiąc, twierdzi miliarder, tak rozumiane reparacje wszystkim się w Ameryce opłacą.

Za ich wprowadzeniem opowiadają się też politycy, choć są to postacie już dobrze znane z zaangażowania na rzecz czarnej mniejszości – przede wszystkim senator Cory Booker, swego czasu uczestnik wyścigu po prezydencką nominację demokratów, i zasiadająca w Izbie Reprezentantów Sheila Jackson Lee. Oni z kolei chcieliby, aby reparacje miały charakter taki sam, jak przez lata miał w USA rasizm – przede wszystkim systemowy i instytucjonalny. Dlatego zamiast transferów pieniężnych popierają darmową edukację, preferencyjne kredyty mieszkaniowe czy wręcz federalny program przekazania nieruchomości czarnoskórym obywatelom. Niekiedy wśród bardziej progresywnych polityków ich partii padają nawet głosy o rasowych parytetach – w polityce, sądownictwie, ale też w biznesie. Miałoby to zapewnić czarnoskórym Amerykanom miejsce przy tych najważniejszych stołach w kraju, od zawsze przydzielane tylko białym. Spośród prezesów 500 największych firm w USA tylko czterech jest Afroamerykanami. I choć zwłaszcza ten ostatni pomysł wydaje się mało realny, sam fakt, że jest dzisiaj popierany przez redakcje takie jak „Forbes" czy Bloomberg, pokazuje, że zmiana dokonuje się na naszych oczach.

76% Amerykanów uważa nierówności na tle rasowym za problem ogólnokrajowy.

Stany Zjednoczone nie są jedynym krajem, który rozpoczyna trudną debatę o reparacjach za niewolnictwo. Coraz głośniej wybrzmiewa ona w Belgii, której władca, Leopold II, splądrował Kongo i doprowadził do śmierci nawet 7 mln ludzi. O zadośćuczynieniu za niewolnictwo myślą Brytyjczycy, gdzie – według badań naukowców z University College London – nawet 20% najbogatszych dzisiaj rodzin zbiło fortuny na niewolnictwie. Oczywiście nie wyrówna to setek lat bólu, cierpień, śmierci. Ale może zapewnić lepszą przyszłość. Taką, w której rasa naprawdę będzie pojęciem wyłącznie biologicznym, nie wartościującym. ■

FOT. NATIONAL ARCHIVES

eprasa.pl 5d1cf814c4

Katarzyna Mierzejewska

Czas skończyć z kulturą gwałtu

Nigeria ma dość przemocy wobec kobiet i brutalności policji

„We Are Tired" (jesteśmy zmęczeni), mówią nigeryjscy aktywiści społeczni. Są zmęczeni kolejnymi historiami brutalnie zgwałconych i pobitych młodych kobiet. W czasie pandemii liczba gwałtów w Nigerii wzrosła trzykrotnie. A to tylko oficjalne statystyki. Ze względu na eskalację przemocy na tle płciowym gubernatorzy wszystkich 36 nigeryjskich prowincji zarządzili stan wyjątkowy.

Uwa uczyła się w kościele

Vera Uwaila Omosuwa była 22-letnią studentką mikrobiologii na uniwersytecie w Beninie. 28 maja, szukając ciszy i spokoju do nauki, wybrała się do lokalnego kościoła. Tam została brutalnie zgwałcona i pobita. Zmarła po kilku dniach. Przez ostatnie trzy lata Uwa uczyła się w kościele, ponieważ w okolicy nie ma publicznych bibliotek. „Uwa długo nie wracała i miała wyłączony telefon. W końcu do jej matki zadzwoniła żona jednego z duchownych. Znalazła dziewczynę w kałuży krwi", opowiada mediom Ufuoma Akpobi ze Stowarzyszenia Przeciwko Przemocy Seksualnej. Niecały tydzień później w mieście Ibadan zgwałcono i zamordowano 18-letnią Barakat Bello. Mniej więcej w tym samym czasie media nagłośniły sprawę 12-latki ze stanu Jigawa, którą zgwałciło 11 mężczyzn. Z kolei w kwietniu 18-letnią Jennifer zgwałciło pięciu mężczyzn. Sprawą zainteresowano się szerzej dopiero, gdy bliscy dziewczyny umieścili w sieci wzruszający filmik, na którym pocieszają rozdygotaną nastolatkę. Rodzina zdecydowała się na ten krok w obawie przed ucieczką sprawców.

To tylko kilka przypadków przemocy wobec kobiet z ostatnich miesięcy. Tylko od stycznia do maja zgłoszono 717 spraw dotyczących gwałtów i zatrzymano ok. 800 podejrzanych. Na początku czerwca aresztowano m.in. czterech mężczyzn oskarżonych o gwałty na dziewczynkach w wieku od 6 do 15 lat. Amnesty International ostrzega, że statystyki zabójstw i gwałtów są zaniżone, przez co wielu sprawców pozostaje bezkarnych. Za każdą liczbą w statystykach kryje się oddzielna historia bólu, cierpienia i poczucia niesprawiedliwości. To próbują przekazać aktywiści organizujący protesty i stający w obronie wykorzystywanych kobiet. Ze względu na obostrzenia związane z pandemią wiele działań musieli prowadzić zdalnie, co pozwoliło im odkryć efektywność kampanii prowadzonych z domu. #JusticeForUwa, #JusticeForJennifer, #JusticeForTina to hashtagi upamiętniające ofiary gwałtów. Są bardzo popularne w mediach społecznościowych i udostępniane przez kolejne osoby. Dzięki temu historie kobiet poznają ludzie z całego świata i dołączają do apeli rozgoryczonych Nigeryjek: czas skończyć z kulturą gwałtu.

> W czasie pandemii liczba gwałtów w Nigerii wzrosła trzykrotnie. A to tylko oficjalne statystyki.

Tragiczna śmierć Uwy była impulsem do zorganizowania protestów w całym kraju. W Beninie ubrani na czarno manifestanci przemaszerowali w kierunku posterunku policji, domagając się sprawiedliwości dla zgwałconej dziewczyny. Protestujący z transparentami „Nie znaczy nie" czy „Chcemy sprawiedliwości dla nigeryjskich dziewczynek i kobiet" zebrali się także wokół komisariatu w stolicy kraju, Abudży. Aktywiści chcą nakłonić władze do zwiększenia funduszy na walkę z przemocą i wpłynięcia na efektywność policji. Ludzie od dawna mają żal do służb mundurowych za ich opieszałość. Dowodów zbrodni z miejsca śmierci Uwy nie zabezpieczono przez wiele dni. Przypadek studentki nie jest odosobniony. Policjanci w Nigerii notorycznie ociągają się ze zbieraniem dowodów, czasem w ogóle nie pojawiają się na miejscu zbrodni. To policzek dla rodzin ofiar jeszcze bardziej zmniejszający szanse na schwytanie sprawców.

System prawny nie wystarcza

W 2015 r. nigeryjski rząd przegłosował ustawę, której celem było zakazanie wszelkich form przemocy i skuteczne pociąganie sprawców do odpowiedzialności. Poprzedziła to niemal 15-letnia kampania organizacji kobiecych, które domagały się podjęcia przez polityków tematu przemocy ze względu na płeć. Sukces ogłoszono jednak na wyrost. Minęło pięć lat, a prawo zostało ratyfikowane przez mniej niż połowę nigeryjskich stanów. I tylko w niektórych regionach obowiązują przepisy dotyczące przeciwdziałania przemocy domowej. Dostęp do organów sprawiedliwości, porad prawnych czy opieki zdrowotnej (potrzebny przy obdukcji) jest nierówny i niełatwy.

W listopadzie 2019 r. w Nigerii stworzono publiczny rejestr przestępców seksualnych. Nie działa on jednak tak jak powinien, podczas czerwcowych protestów organizacje feministyczne domagały się bowiem – po raz kolejny – upublicznienia listy gwałcicieli. Ostatnie wydarzenia pokazują, że obywatelom (a zwłaszcza obywatelkom) skończyła się cierpliwość i państwo musi na poważnie zająć się gwałtami. Minister sprawiedliwości Abubakar Malami zapowiedział powołanie międzyresortowego komitetu, który wypracuje rozwiązania prawne, pomocne w sytuacjach przemocy seksualnej. Także sam prezydent w odezwie do narodu wyznał, że jest „zmartwiony i zdenerwowany" ze względu na ostatnie tragiczne wydarzenia i fakt, że gwałciciele biorą na celownik coraz młodsze dziewczyny. Trwające wiele dni krajowe protesty zmobilizowały do działania

eprasa.pl 5d1cf814c4

Demonstracja przeciw przemocy przed komendą policji w Abudży, 5 czerwca br.

także gubernatorów wszystkich 36 nigeryjskich stanów. Zobowiązali się do wypracowania i stosowania ostrzejszych środków prawnych wobec gwałcicieli. Ponadto Nigeryjska Komisja Praw Człowieka rozpoczęła w mediach społecznościowych kampanię edukującą mężczyzn o znaczeniu zgody w kontaktach seksualnych.

Nieskuteczność policji

Przemoc wobec kobiet, w tym liczba gwałtów, praktycznie wszędzie na świecie wyraźnie wzrosła w czasie pandemii, Nigeria nie jest wyjątkiem. Ale koronawirus jedynie uwypuklił problem, który od lat dotyka to zachodnioafrykańskie społeczeństwo. ONZ szacuje, że chociażby w Kadunie, mieście w północno-zachodniej Nigerii, jeden na czterech chłopców i jedna na dziesięć dziewczyn poniżej 18. roku życia doświadczyło przemocy seksualnej. Adwokatka Zainab Aminu Garba, przewodnicząca Międzynarodowej Federacji Prawniczek w Kadunie, określiła gwałt jako epidemię trawiącą region. Rocznie 2 mln Nigeryjek pada ofiarą różnego rodzaju przemocy seksualnej. Niewiele z tych przypadków jest zgłaszanych na policję. Kobiety nadal muszą się mierzyć ze stygmatyzacją i ostracyzmem społecznym, jakie narosły wokół gwałtu. Mała jest też wiara w instytucje społeczne, które są nieefektywne i notorycznie zawodzą ofiary przemocy.

Aktywistka Priscilla Usiobaifo, działająca na rzecz walki z przemocą ze względu na płeć w ramach BraveHeart Initiative, w rozmowie z „Guardianem" nazywa zachowanie policji szokującym: „Ofiary zabierane są na miejsce zbrodni razem z podejrzanymi. Policja zbiera dowody bez rękawiczek. Znam przypadek kobiety, ofiary gwałtu zbiorowego, która na polecenie funkcjonariuszy musiała sama podnieść z ziemi zużytą prezerwatywę". Winne jest temu niewystarczające przeszkolenie i seksistowskie przekonanie, że gwałt nie jest wielką zbrodnią.

Zdarza się, że to policjanci stają się oprawcami. Wielu z nich jest i było oskarżanych o przemoc wobec kobiet i różne nadużycia. Pod koniec maja 16-letnia licealistka Tina Ezekwe została zastrzelona po tym, jak policja otworzyła ogień na przystanku autobusowym w Lagos, największym mieście w kraju. Do tragedii doszło po godzinie policyjnej wprowadzonej na okres pandemii. Po fali oburzenia, która zalała sieć, policja oświadczyła, że dwóch oficerów zostało aresztowanych i grozi im postępowanie dyscyplinarne, niewykluczone, że również konsekwencje karne. W tym samym czasie ogłoszono również, że do spraw związanych z przemocą na tle płciowym będzie przydzielana większa liczba funkcjonariuszy. Te działania mają na celu uspokojenie nastrojów społecznych. Pokazuje to wymownie, że bezkarność i brutalność policji nie są jedynie problemem amerykańskim, a to sytuacja w Stanach Zjednoczonych najbardziej przyciąga uwagę mediów. W 2018 r. Anita Akapson, która właśnie wróciła z zagranicznych studiów, została śmiertelnie postrzelona przez funkcjonariuszy. Jak się później tłumaczyli, pomylili ją z kimś innym. W tym samym roku zabita została Linda Angela Igwetu. Policjant strzelił do niej, kiedy po prostu siedziała w samochodzie.

„Jesteśmy zmęczeni bezsensownymi zabójstwami, śmiertelnymi wypadkami na drogach, pożarami w domach, gwałtami na dziewczynach, mordami na chłopcach", napisała do 4 mln followersów na Twitterze Tiwa Savage, gwiazda afropopu. Tiwa zachęciła też, by do jej wyliczanki rzeczy, które nie działają w Nigerii i ranią obywateli, przyłączyli się inni. Do Savage dołączyły inne lokalne gwiazdy, np. producent muzyczny Don Jazzy, który ma 4,6 mln obserwujących, a także popularni piosenkarze Mr Eazi i Rema. Gwiazdy zabierają głos głównie w sprawie gwałtów i bezkarności policji. „W USA policja zabija czarnych Amerykanów, a policja nigeryjska zabija Nigeryjczyków", taką myślą wokalista Wizkid podzielił się z 6,5 mln followersów. Jego wypowiedź była wycelowana w prezydenta kraju Muhammadu Buhari. Inni komentujący stawiali nawet znak równości między Donaldem Trumpem a Muhammadu Buhari.

Nigeryjska policja potrzebuje zmian. Zdaniem prof. Oyesoji Aremu z Uniwersytetu w Ibadanie ustawa o reformie policji z 2019 r. nadal omija istotne kwestie i nie jest o wiele lepsza od archaicznego już Aktu o policji z 1943 r. Zmilitaryzowana policja nigeryjska lekceważąco podchodzi do stosowania przemocy, co można uważać za pozostałość kolonializmu. Ale Nigeryjczycy widzą, jak mocna jest mobilizacja w Stanach Zjednoczonych i to motywuje ich do działania. Aktywiści doceniają także możliwości internetu. W końcu walka z brutalnością policji może oznaczać doświadczenie owej brutalności na własnej skórze. Dlatego odzew na portalach społecznościowych przynosi poczucie zjednoczenia wokół tej sprawy i dodaje odwagi do działania. ■

FOT. KOLA SULAIMON/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5d1cf814c4

Rozmawia Mateusz Demski

Jak zagrać szklankę z gorącą wodą

W samym środku lasu grupa młodych, nawiedzonych ludzi próbuje robić teatr na podstawie Witkacego, Stanisławskiego, Czechowa i inne dziwne rzeczy

AGNIESZKA GROCHOWSKA
– aktorka teatralna i filmowa, ostatnio zagrała w serialu „W głębi lasu"

„W głębi lasu" podbija Netfliksa, można powiedzieć, że staje się polskim towarem eksportowym. Wysokie miejsca w rankingach oglądalności na całym świecie, świetne recenzje, a więc magia adaptacji Harlana Cobena działa. Czy przed propozycją pracy na planie miałaś za sobą lekturę jego książek?

– Nie, ale był obecny w domu, bo moi rodzice go czytają. Trochę jest tak, że na pewnym etapie życia wkraczamy na ścieżkę konkretnych książek, literatury i już z niej nie schodzimy. Moja ścieżka tamtędy nie biegła, ale po latach podziwiam Harlana, przede wszystkim za to, że bez zbędnego sentymentalizmu i czułostkowości potrafił opisać relacje rodzące się między młodymi ludźmi. „W głębi lasu" rezonuje z czytelnikiem i widzem, bo przecież każdy kiedyś był młody. Bo przeżył pierwszą miłość i być może każdy z nas spędził któreś wakacje na obozie w lesie.

A ty na taki obóz kiedyś pojechałaś?

– Tak. Miałam 16 lat. Wtedy z ogniska aktorskiego prowadzonego przez Machulskich przy Teatrze Ochota trafiłam do Studenckiego Teatru Prób. Na wakacje pojechaliśmy razem do Podkowy Leśnej, gdzie dostaliśmy do użytku stary pałacyk. Wyobraź sobie, że w samym środku lasu grupa młodych, kompletnie nawiedzonych ludzi próbuje robić teatr na podstawie Witkacego, Stanisławskiego, Czechowa i jeszcze inne dziwne rzeczy. Oczywiście, że w kontekście „W głębi lasu" tę historię można traktować jako zabawną anegdotę, ale kiedy myślę o tym po latach, dochodzę do wniosku, że na dobrą sprawę wszystko, czym się dzisiaj zajmuję, wyniosłam w prostej linii właśnie z tamtego lasu. Że te wyjazdy, które wtedy odbierałam jako zabawę, uświadomiły mi, czego tak naprawdę w życiu pragnę.

O ile dobrze pamiętam, ta pasja zaczęła się już w dzieciństwie. Przeczytałem gdzieś, że od najmłodszych lat marzyłaś o aktorstwie.

– To zapewne kwestia tego, że pochodzę z domu, w którym byłam ogromnie kochana i akceptowana. W którym odebrałam poważną lekcję zaufania, akceptacji i odwagi, by

eprasa.pl 5d1cf814c4

sięgać po to, czego tak naprawdę chcę. Rodzice nigdy nie pchali mnie na siłę w kierunku, który byłby niezgodny z moimi potrzebami, oczekiwaniami, w którym bym siebie nie widziała. Mama całe życie trenowała akrobatykę i pływanie synchroniczne, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek chciała ze mnie zrobić gimnastyczkę. Aktorstwo było więc wynikiem ich czujnych obserwacji. I niezwykle wnikliwego śledzenia moich zainteresowań.

Wyobrażam sobie, że byłaś dzieckiem, które się nie wstydzi, nie boi. I które lubi zwracać na siebie uwagę.

– Nie, zupełnie nie, dlatego uważam, że rodzice byli bardzo spostrzegawczy. Nigdy nie byłam dzieckiem, które recytuje wiersze przy wigilijnym stole. Nie czułam potrzeby popisywania się przed innymi, nie wyskakiwałam na środek salonu z hasłem: „A teraz Agniesia wam tutaj zaśpiewa!". Było mi to dalekie, a jednak rodzice zdołali dostrzec we mnie skłonności artystyczne. Wtedy też zaczęli dbać o to, bym przez całe dzieciństwo miała kontakt ze sztuką. Mama czytała mi wiersze Szymborskiej, tata niemal w każdy weekend zabierał mnie do jakiegoś muzeum lub teatru. A jeszcze byli dziadkowie – dziadek znał na pamięć całego „Pana Tadeusza", puszczał mi Kiepurę z adapteru.

Wyobrażam sobie, że jeśli od małego ktoś wciąga cię w ten świat, musi się to odcisnąć w twojej głowie.

– Oczywiście, ale nie bez wpływu pozostały też podróże, które moi rodzice po prostu kochali. Tak często, jak tylko na początku lat 90. dało się wyjeżdżać z Polski, ładowaliśmy rzeczy do bagażnika i jechaliśmy na Zachód. Każde wakacje spędzaliśmy gdzieś w podróży, w zapakowanym po brzegi samochodzie, pod namiotami na polach kempingowych. W ten sposób do 16. roku życia zobaczyłam absolutnie wszystko, co było do zobaczenia w zachodniej Europie: Berlin, Paryż, Barcelonę. Z całym dobrodziejstwem tych miast, a więc z ich architekturą, sztuką, również teatrem.

W międzyczasie trafiłaś pod skrzydła Machulskich.

– Mama przeczytała ogłoszenie o naborze i jako 13-latka wylądowałam w ognisku u Haliny i Jana Machulskich na Ochocie. Pamiętam, jak w przerwie między zajęciami chodziliśmy do kawiarni Azalia na ciastka i tam Jan Machulski opowiadał nam o tym, jak wyglądają egzaminy do szkoły teatralnej. O tym, że na takim egzaminie trzeba np. na poczekaniu zagrać szklankę z gotującą się wodą. To rozbudzało ciekawość, przyciągało, hipnotyzowało. Mając 13 lat, siedziałam z wybałuszonymi oczami, całą sobą chłonąc tę historię. I dosłownie paliłam się w środku na samą myśl o fantastycznym świecie, w którym takimi rzeczami można się zajmować zawodowo.

Ciekawi mnie, czy kiedykolwiek musiałaś zagrać tę szklankę.

– Nie, nigdy tego typu zadania od komisji nie dostałam, więc do tej pory nie wiem, czy to w ogóle jest prawda. Ale kiedy już udało mi się zdać do szkoły teatralnej w Warszawie, to faktycznie złapałam się na tym, że nagle trafiłam do jakiegoś dzikiego, oderwanego od normalnego świata klubu hobbystów i pasjonatów. Moi koledzy, z którymi zdawałam maturę, na studiach zdobywali konkretną wiedzę w danej dziedzinie, a ja uczyłam się wchodzić do pokoju z jakąś emocją, albo w obcą skórę. Ale czułam – tak samo jak na tych warsztatach w Podkowie Leśnej – że dla mnie poszukiwanie takiej niezwykłej, pozbawionej rutyny przygody jest sposobem na życie. I tak to się toczyło w szkole, kiedy nagle, na trzecim roku, grałam już na stałe w zespole Teatru Studio.

Twoja kariera potoczyła się dość szybko – etat w teatrze, jedna z głównych ról w filmie „Warszawa", a już rok później udział w głośnych „Pręgach" na podstawie nagrodzonej Nike powieści Wojtka Kuczoka. No i pojawiłaś się też w kilku produkcjach niemieckich. Teraz regularnie grywasz poza krajem, ale czy wtedy nie kusiło cię, żeby wyjechać na Zachód i tam robić karierę?

– Faktycznie, te zagraniczne filmy od razu zaczęły pojawiać się na horyzoncie, ale czas w teatrze był jeszcze bardziej intensywny. W związku z tym robiliśmy trzy premiery w ciągu roku, ja wciąż odkrywałam tam nowe rzeczy dla siebie i czułam silną potrzebę bliskiego spotykania się z ludźmi na scenie. Zagraniczne epizody pojawiały się raczej pomiędzy, w międzyczasie – zagrałam jeden, drugi, trzeci film niemiecki, ale jakoś niespecjalnie mnie tam ciągnęło. Nigdy w życiu nie chciałam stąd wyjeżdżać, nie było to moim celem. Poza tym bardzo szybko zdałam sobie sprawę z tego, że przecież mogę się przemieszczać po świecie. Że w pewnym sensie mogę funkcjonować tu i tam jednocześnie. Robić kilka fajnych projektów naraz, równolegle, bez potrzeby wyprowadzania się stąd na stałe.

W ostatnich latach zagrałaś nawet w kilku międzynarodowych produkcjach z udziałem hollywoodzkich gwiazd. W „Systemie" z Tomem Hardym czy Garym Oldmanem. W „Moja gwiazda: Teen Spirit" z Elle Fanning i Rebeccą Hall. Masz na koncie również występy w filmach i serialach produkowanych w Norwegii, Szwajcarii, Szwecji. Naprawdę imponująca lista.

– A wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? To, że trafiam na plan, gdzie nikogo nie znam i gdzie nikt nie zna mnie. I tak kilka lat temu zagrałam komediową rolę w norweskim „Upperdogu", gdy w Polsce generalnie byłam obsadzana w samych dramatach psychologicznych. Nagle, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, mogłam wreszcie zagrać kogoś innego!

A nie masz przypadkiem poczucia, że polskie aktorki na Zachodzie mogą co najwyżej grywać Żydówki z czasów II wojny światowej, a z postaci współczesnych Polki pracujące na saksach?

– Masz rację, że tak jest, ale niespecjalnie mnie to uderza. W wielu produkcjach, których akcja rozgrywa się współcześnie, to znajduje akurat uzasadnienie w określonych procesach społeczno-gospodarczych. Jeśli faktycznie wielu rodaków wyjechało za chlebem na Zachód i okazuje się, że 30 tys. Polek zatrudnia się w Szwajcarii jako opiekunki osób starszych, to wiadomo, że takie role przypadają nam. Ta szuflada, taka konkretna specyfika postaci, może z czasem zacząć doskwierać, ale zdarzają się przecież wyjątki. Naprawdę

Mama czytała mi Szymborską, tata niemal w każdy weekend zabierał mnie do jakiegoś muzeum lub teatru.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Z Grzegorzem Damięckim w serialu „W głębi lasu".

przemiłą odmianą był dla mnie szwedzki serial „Sanktuarium zła", gdzie mogłam zagrać lekarza psychiatrę. A w dodatku kobietę, która ukończyła Harvard.

Wspomniałaś, że w Polsce też przypadały ci konkretne role. Mnie się wydaje, że po „Wałęsie" i „Obcym niebie" byłaś kojarzona głównie z figurą matki.

– Nigdy nie miałam takiego poczucia. Zresztą w jakimś sensie to naturalne, że najlepiej oglądalne i najgłośniejsze filmy z moim udziałem rodziły określone skojarzenia. Trudno się dziwić i mieć pretensje, że kiedy dawno temu zagrałam w „Tylko mnie kochaj", czyli chyba pierwszej komedii romantycznej, która w Polsce odniosła wielki sukces, automatycznie byłam z nią kojarzona. Niewątpliwie coś podobnego stało się później przy okazji „Wałęsy" i tak do mnie przylgnęła rola matki. Ale musiałabym być niezbyt rozsądna, żeby takimi rzeczami się przejmować. Już pomijając fakt, że spotkanie z Andrzejem Wajdą było dla mnie przełomowe, to przecież ta rola otworzyła przede mną wiele nowych furtek. Nagle znalazłam agenta w Anglii, dzięki któremu kilka lat później zagrałam w „Mojej gwieździe" z Elle Fanning. No, ale „Wałęsa" był też filmem bardzo dla mnie ważnym prywatnie.

To znaczy?

– Zawsze role, które do mnie przychodziły, albo się stawały na temat, albo były na temat. W trakcie kręcenia „Wałęsy" urodził się mój pierwszy syn i to właśnie Danuta Wałęsowa była osobą, z którą wówczas się poznałam, rozmawiałam, do której dzwoniłam. To nadzwyczajne, jakie połączenia między ludźmi tworzy kino. Robisz film o osobie, która jest ważna dla twojego kraju, i nagle twoje życie prywatne w cudowny sposób zaczyna się z nią przeplatać, zazębiać.

Skoro jesteśmy przy spotkaniach ze sławnymi ludźmi, powiedz, jak to było ze Stevenem Spielbergiem. Do legendy przeszło wasze spotkanie w Los Angeles, kiedy powiedziałaś mu, że…

– Że nie jestem zainteresowana pracą w amerykańskich serialach, bo wolę grać w filmach.

Czas pandemii był dla mnie ćwiczeniem z cierpliwości i odpuszczania.

Zaznaczmy, że w tamtym czasie Spielberg produkował już tak kultowe seriale jak „Kompania braci", „Pacyfik" czy „Wybrańcy obcych".

– To było dawno i po latach przyznaję, że moje słowa wynikały z ignorancji młodej, naiwnej dziewczyny, która nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi. Ale pamiętajmy, że nasza rzeczywistość też wyglądała inaczej. Wtedy nie było jeszcze Netfliksa, nikt w Polsce nie miał dostępu do międzynarodowych produkcji z całego świata, przez co znajomość tematu była nikła. Seriale w naszym kraju kojarzyły się przede wszystkim z niskich lotów operami mydlanymi. Tak też to wtedy widziałam, z jakiegoś powodu nie zaryzykowałam, nie miałam w sobie może gotowości do tego. No cóż, a teraz, po 10 latach, los chciał, że jestem bardziej zaangażowana w seriale niż w teatr i kino.

Rozpamiętujesz przeszłość? Myślisz sobie: dlaczego wtedy nie pociągnęłam tematu, dlaczego przepuściłam taką okazję?

– Skłamałabym, mówiąc, że nigdy o tym nie myślałam, tyle że na koniec nie pozostaje nic innego, jak pogodzenie się z tym, że pewnych rzeczy nie da się już zrobić. Tak już w życiu bywa. Skoro nie zdecydujesz się wejść na jedną ścieżkę, po prostu zaczynasz iść drugą. I jeśli na tej mojej znaleźli się tacy ludzie jak Agnieszka Holland, Andrzej Wajda czy Elle Fanning, to naprawdę nie mogę niczego żałować.

Czy tak samo pogodziłaś się z obecną sytuacją, w której wszyscy się znaleźliśmy? Izolacja oznacza przecież dla aktorki całkowite zawieszenie, a może utratę zawodowych planów.

– Pewne rzeczy trzeba odłożyć w czasie, inne uciekły i nic już na to nie poradzę. Od marca do sierpnia miałam ciągiem pracować na planie. W piątek, tuż przed wybuchem pandemii, zrobiłam ostatnie przymiarki do nowego filmu Janka Matuszyńskiego. Zdjęcia planowo ruszały we wtorek, ale już w weekend było wiadomo, że wszystko zostaje ucięte. W kwietniu miałam lecieć do Nowego Jorku na premierę szwajcarskiego filmu „My Wonderful Wanda", w którym zagrałam na początku zeszłego roku, ale festiwal odbył się *online*. No trudno, przeżyję. W przeciwieństwie do wielu dotkniętych tą sytuacją osób nie mam problemów pieniężnych ani zdrowotnych, które zmuszają mnie do utrzymania się na powierzchni. Czas pandemii był dla mnie raczej ćwiczeniem z cierpliwości i właśnie takiego odpuszczania. Zrozumiałam, że nie muszę mieć wszystkiego dokładnie w tej chwili, mogłam za to podładować innego rodzaju baterie i przypomnieć sobie, że życie toczy się też poza planem, poza teatrem. Wcale się nie zatrzymałam. Po prostu żyłam, byłam z moimi bliskimi, a cała okoliczność pozwoliła mi to jeszcze lepiej przećwiczyć.

Mateusz Demski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, KRZYSZTOF WIKTOR/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5d1cf814c4

FESTIWAL

26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE
Paweł Kaczmarczyk & Adam Bałdych Directions In Music: Weather Report

W projekcie prezentującym muzykę z repertuaru legendarnej amerykańskiej grupy jazz-rocka i fusion połączyli siły dwaj znakomici artyści jazzowi: pianista Paweł Kaczmarczyk i skrzypek Adam Bałdych. Obaj są autorami albumów nagrywanych dla prestiżowej wytwórni ACT Music; wielokrotnie nagradzani i wyróżniani w wielu plebiscytach muzycznych, cenieni za wirtuozerię i kreatywność. Kaczmarczyk nieustannie poszukuje nowych kontekstów dla swojej muzyki i przedsięwzięć artystycznych, Bałdych od początku kariery wyznacza nowe ścieżki dla wiolinistyki. *(ap)*

**WARSZAWA,
RYNEK STAREGO MIASTA,
18 LIPCA, GODZ. 19**

KURTYNA W GÓRĘ

NAWIEDZONA LICEALISTKA

Niszowe przedstawienie TR Warszawa, którego zasięg był znikomy, teraz, wpuszczone do ogólnoświatowej sieci, może stanowić ważny punkt w dyskusji na temat manipulacji wiarą, edukacji seksualnej dorastającej młodzieży i wszelkich nadużyć światopoglądowych, mentalnych, a nawet politycznych. Bohaterką „Męczenników" jest nastolatka opętana przez wersety biblijne, która stwarza

problemy w szkole i w domu. Na lekcji uświadamiania – mamy tutaj nakładanie prezerwatywy na marchewkę – dziewczyna ostro się buntuje, a jej protest zaczyna ogarniać coraz więcej osób. W końcu po stronie nawiedzonej staje nawet wyzwolona i pełna tolerancji nauczycielka biologii. Ona też będzie męczennicą. Teatr, już wcześniej napiętnowany w debacie „Warto rozmawiać" w TVP, proponuje młodzieży ponadgimnazjalnej specjalne warsztaty odnoszące się do tematyki przedstawienia.

Bronisław Tumiłowicz

„Męczennicy" na podstawie dramatu Mariusa von Mayenburga „Märtyrer", reżyseria, adaptacja i opracowanie muzyczne Grzegorz Jarzyna, przekład Elżbieta Ogrodowska-Jesionek, TR Warszawa, premiera na Facebooku 17 czerwca 2020

NA EKRANACH

#TUITERAZ

reż. Eric Lartigau, prod. Belgia, Francja, premiera 10 lipca

Stéphane, drętwy szef kuchni z Kraju Basków, nawiązuje ognisty, choć wirtualny flirt z Soo, wyszczekaną Koreanką. I ni z tego, ni z owego, przyprawiając bliskich o palpitacje, łapie samolot i leci do Seulu – gdzie nikt na niego nie czeka. Zamiast bić się w pierś, mężczyzna chwyta za telefon i w ciągu kilku dni z anonimowego instagramera, któremu złośliwi krytycy kulinarni dogryzali w komentarzach, że prowadzi knajpę idealną, by w niej zerwać z dziewczyną, staje się rozpoznawalnym influencerem seniorem. Niestety, liczba lajków, zamiast satysfakcjonować, coraz bardziej go przytłacza. Film o bolesnej iluzji mediów społecznościowych sam wygląda, jakby został nakręcony przez youtubera, dla którego strona estetyczna jest ważniejsza od psychologii postaci i wiarygodności fabularnej. Szef kuchni da się lubić, bo nie użala się nad sobą, tylko reaguje na to, co – *nomen omen* – gotuje mu los, ale do zapowiadanego na plakacie mariażu „Między słowami" Coppoli z „Terminalem" Spielberga jest tu tak daleko jak z Polski do Korei. O perypetiach Stéphane'a zapomnimy zaraz po projekcji, no ale czy nie obiecywano nam rozrywki na tu i teraz?

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Max Cegielski
Prince Polonia
Marginesy, Warszawa 2020

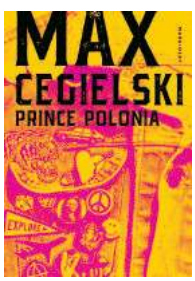

Polska transformacja to modny temat w rodzimej literaturze. A transformacja opisana z perspektywy zbuntowanego młodzieńca to temat niemal masowy. Prawie co drugi czterdziestokilkulatek władający sprawnie piórem stara się literacko wyrazić swoją młodość chmurną i durną z upadającym murem berlińskim, polonezem i gumą turbo w tle. Max Cegielski, ceniony reportażysta i dziennikarz, nie oparł się tej pokusie. Na szczęście uniknął taniego sentymentalizmu i sztampowych narracji. Oczywiście są kasety wideo, przemyt i disco polo, ale poza duchologicznymi rekwizytami mamy także Indie z czasów przełomu – po hipisowskiej inwazji, ale przed backpackerskim nalotem. „Prince Polonia" to przyjemna powieść drogi, a orientacja wschodnia – Indie, Singapur – wyróżnia ją spośród stosu podobnych historii o szczeniackich czasach, gdy jeszcze wszystko jest możliwe.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5d1cf814c4

We Wspólnocie nasza przyszłość

Trzymajmy się kurczowo Unii i z nią maksymalnie się integrujmy, zwłaszcza gospodarczo

Rozmawia
Zbigniew Al Wieczorek

W biurze krajowym, Dąbrowa Górnicza, listopad 2016 r.

PROF. ADAM GIEREK
– poseł Unii Pracy do Parlamentu Europejskiego w latach 2004-2019

Jesteśmy już 15 lat członkiem Unii. Czy na tym fakcie ucierpiała nasza narodowa suwerenność?

– Polska, podobnie jak pozostałe kraje Unii, musi się kierować wspólnymi wartościami, wspólnie ustalanym prawem, a także wspólnym bezpieczeństwem, co oznacza, że winniśmy, się kierować podobnymi celami rozwojowymi, obronnymi, a także wspólną polityką w zakresie stosunków z krajami trzecimi. Do pełnego przestrzegania tych celów jeszcze, niestety, nam daleko. Unia bowiem to nie tylko wspólny rynek, ale także wszystko to, co go reguluje i nim rządzi, a także broni i rozwija. To ostatnie zaś kształtuje nasze społeczeństwa i kraje, m.in. to, czy czują się one bardziej, czy mniej suwerennie.

W dalszym ciągu rząd polski realizuje politykę całkowitego uniezależnienia się od dostaw gazu z kierunku wschodniego. Czy to jest słuszna koncepcja, bo przecież jest to skrajna dywersyfikacja. Dlaczego Niemcy są wyznawcami innej niż ta polska geopolityki?

– To już jest faktycznie realna geopolityka, do której inaczej podchodzi rząd Polski, inaczej zaś rząd Niemiec. Niewątpliwie dywersyfikacja jest w handlu potrzebna po to, by handel nie był wykorzystywany politycznie. Niemiecka gospodarka jest na tyle silna, że Niemcy nie obawiają się jakiejś nadmiernej zależności. Podpisali niewątpliwie korzystne dla siebie umowy handlowe w tej sprawie. My zaś w obawie przed skutkami nagłego odcięcia dostaw, a tego doświadczyli już wcześniej np. Słowacy i Węgrzy zależni od podaży błękitnego paliwa rurociągiem biegnącym przez Ukrainę, grozimy całkowitym zerwaniem jego importu z Rosji. Czy tak skrajne podejście jest mądre? Wątpię. Będzie to znów prowadziło do jednostronnego kierunku importu, a nie do dywersyfikacji. Można by też w związku z tym zapytać: dlaczego Donald Trump grozi embargiem za budowę rurociągu Nord Stream 2?

Niektórzy politycy za podstawowy „argument" konieczności odchodzenia gospodarki od węglowodorów uznają potrzebę uderzenia gospodarczego w Rosję, bo to rzekomo zmniejszy jej środki na zbrojenia.

– Oczywiście UE zależna jest w ok. 60% od importu energii i politycy często podnoszą problem uniezależnienia krajów unijnych. Argumentowanie, że głównie chodzi o zmniejszenie potencjału zbrojnego Rosji, jest argumentem rusofobów, takich jak m.in. były minister spraw zagranicznych Sikorski, argumentem przejętym od Amerykanów. Polityk ten dał się wcześniej poznać jako zwolennik zburzenia Pałacu Kultury w Warszawie, który według niego jest wymagającym usunięcia symbolem stalinizmu. Jeśli taki sposób rozumowania przyjąć, to czy nie można by również uznać, że nasze Ziemie Zachodnie i Północne, przyznane Polsce decyzją Stalina, trzeba by może zwrócić Niemcom? Absurd!

Odchodzenie gospodarek państw członkowskich Unii od paliw kopalnianych należy ściśle wiązać jedynie z potrzebą ich zrównoważonego rozwoju.

Unia Europejska tworzy wspólny rynek o skali większej od krajowej, co pozwala efektywniej konkurować oraz zwiększać dobrobyt. Jakie więc względy ekonomiczne i socjalne w Europie są przyczyną narastających tendencji odśrodkowych?

– Przykładem takich tendencji jest oczywiście brexit, ich przyczyn zaś należy szukać w spadku konkurencyjności gospodarki unijnej jako partnera handlowego w skali globalnej. Takie nastroje występują głównie w krajach tzw. starej Unii, w których przyrost PKB w skali rocznej jest niewielki, bo wynosi ok. 1%. Przyłączenie się „nowych" krajów do Unii Europejskiej w 2004 r. dało istotny impuls rozwojowy dla krajów strefy euro, ale aktualnie tendencja ta już się wyczerpuje.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Eurosceptykom z Wielkiej Brytanii wydaje się, że ich kraj, nie będąc krępowany umowami unijnymi, np. celnymi, lepiej będzie sam sobie radził na globalnym rynku. Ogromna masa wyborców, która ich poparła, kierowała się natomiast głównie nostalgią za minioną wizją tego kraju, kiedy był on potęgą kolonialną, nad którą słońce nie zachodziło. A ta już nie wróci. Jedni i drudzy gorzko się zatem rozczarują rozwodem z Unią Europejską.

W jednej z niedawnych audycji telewizyjnych w TVN 24 nazwał pan prof. Balcerowicza „szkodnikiem gospodarczym", natomiast jego „szokową reformę" uznał pan za zbrodniczą. Jak wyniki tej reformy – według pana – kształtują naszą teraźniejszość gospodarczą jako członka Unii?

– Unia wewnętrznie, to jest na jednolitym rynku, daje teoretycznie równe szanse wszystkim konkurującym ze sobą podmiotom gospodarczym. Trzeba tylko zapytać – co to za podmioty i gdzie są one zarejestrowane. Tam bowiem, gdzie jest ich główna siedziba, odprowadzają one swoje podatki, a przynajmniej ich większość. Im natomiast te podmioty są większe i większą mają moc gospodarczą, tym większe oczywiście będą wpływy z ich podatków, zasilające budżety państw członkowskich. Jest to proste – przecież politykę socjalną prowadzi oddzielnie i na swój rachunek każde państwo członkowskie Unii. Z tego wynika, że lansowane w czasach wspomnianego szoku twierdzenie, iż gospodarka nie ma narodowości, to była jakaś celowa gra polityczna prowadzona przez neoliberałów tylko po to, by ludziom zamydlić oczy.

Jak widać, zwłaszcza dzisiaj np. w USA, gospodarka jednak ma swoją narodowość, gdyż gospodarka to teren ludzkiej działalności. Ludzie zaś mieli, mają i będą mieć różne poglądy. Mądre więc były te kraje, które nie poddały się tym dezindustrializacyjnym tendencjom, a także innej, jeszcze dodatkowo lansowanej przez tych samych polityków pokrętnej tezie wyróżniającej usługi jako podstawowy filar gospodarki, jedyny – według nich – niezbędny warunek dalszego rozwoju gospodarczego.

Kiedyś w rozmowie ze mną niemiecki polityk Martin Schulz potwierdził tę „oczywistą oczywistość", mówiąc, że gospodarka niemiecka dlatego jest taka silna, bo nie dopuszczono do destrukcji rodzimego przemysłu.

Do tych mądrych, niedających się ogłupić krajów, rządzonych w okresie przemiany ustrojowej przez mądrzejszych polityków, należą także Czechy. (…)

W wyniku „reformy" Balcerowicza przede wszystkim utraciliśmy bezpowrotnie liczne branże przemysłowe, które w PRL dość dynamicznie zaczęły się rozwijać, również w oparciu o zakupione w latach 70. licencje. Wymienię tu elektronikę, liczne gałęzie przemysłu maszynowego, np. produkcji silników okrętowych w zakładach Cegielskiego w Poznaniu, czy też śrub okrętowych w Zamechu w Elblągu, nowoczesne stocznie, na przykład ta w Szczecinie, bardziej nowoczesna od niemieckich, które aktualnie funkcjonują, podczas gdy nasze, w tym tzw. kolebka Solidarności, już dawno przestały istnieć.

Osobiście przeżywałem upadek huty w Katowicach, z którą mój Instytut Inżynierii Materiałowej Politechniki Śląskiej współpracował. Mam tu na myśli Hutę Baildon. Była to znana i ceniona w świecie marka oraz jedyna w Polsce nowoczesna huta stali szlachetnych. Hutę tę poddano bardzo kosztownej modernizacji, po zakończeniu której przyjęła pełen portfel zagranicznych, bardzo korzystnych zamówień. Kiedy jednak miała rozpocząć ich realizację, a jej kierownictwo zwróciło się do banku o przyznanie kredytu obrotowego, ten bezwzględnie odmówił. Bank bowiem nie był już polski i reprezentował interesy innych gospodarek. Pamiętam, że była wtedy u mnie w instytucie delegacja związkowców Solidarności w tej sprawie. A gdzie i u kogo ja mogłem wtedy podjąć jakąkolwiek interwencję?!

> W wyniku „reformy" Balcerowicza utraciliśmy bezpowrotnie liczne branże przemysłowe, które w PRL dynamicznie zaczęły się rozwijać.

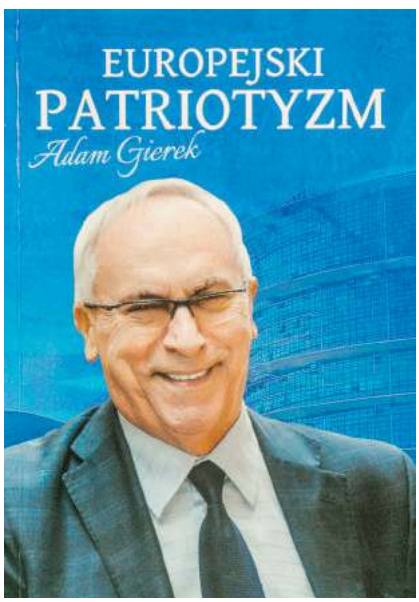

Fragmenty książki *Europejski Patriotyzm. Rozmowy z prof. Adamem Gierkiem O Unii Europejskiej, energii i klimacie*, Progres Wydawnictwo – Druk – Reklama, Sosnowiec 2020, www.wdrprogres.pl, e-mail: biuro@wdrprogres.pl, tel. 32 299 75 83

Jak podaje prof. Andrzej Karpiński („Prawda i kłamstwa o przemyśle. Polska w obliczu III rewolucji przemysłowej", Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2018), zlikwidowano po 1989 r. 1675 zakładów przemysłowych, co stanowiło 33% majątku produkcyjnego, które miały m.in. pracować na nasze emerytury i dawały zatrudnienie 36% pracujących w przemyśle. Odpowiadało to łącznie liczbie 1,7 mln zatrudnionych. Z tego jedynie 10% tego majątku zostało przejęte przez podmioty prywatne i nie uległo całkowitej fizycznej likwidacji.

Jak widać, ofiarą Balcerowiczowskiej reformy stała się ogromna fizyczna część majątku nas wszystkich, a jak mówi kłamliwie były wicepremier – majątku bezpańskiego, niczyjego. Ale jaką część w pełni efektywnego majątku za jedną dziesiątą wartości przejęli udziałowcy zagraniczni?

To, że czasami nie likwidowali jakiegoś zakładu, bo im konkurencyjnie nie zagrażał, o niczym nie świadczy, gdyż go sobie zdecydowanie podporządkowali. Weźmy dawną Hutę Katowice, obecnie ArcelorMittal, która poza miejscami pracy nie przynosi większych zysków gospodarce polskiej, lecz jedynie jej hinduskiemu właścicielowi.

Mógłbym wymieniać całe branże gospodarki na terenie naszego kraju,

FOT. ADAM GIEREK/EUROPEJSKI PATRIOTYZM/ REPRODUKCJA KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d1cf814c4

obce właścicielsko, a więc przynoszące Skarbowi Państwa mierne zyski. Są to m.in. przemysł cementowy, przemysł papierniczy czy też Fiat Auto Poland (z nazwy polski).

Przemysł polski jeszcze w okresie PRL utworzył zalążki gospodarcze, które później, w nowym kapitalistycznym systemie mogłyby przerodzić się w efektywne korporacje o zasięgu światowym. Ostał się nam jedynie KGHM, tj. Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi. Jak widać plan grabarza polskiego przemysłu Balcerowicza skutecznie uniemożliwił dalszy rozwój wielu branżom i zakładom. Nie wiem, czy wynikało to z czyjejś głupoty, czy też było to zadanie realizowane celowo.

A to, co się stało z PGR-ami, to jeszcze jeden, ale już oddzielny, bardzo bolesny temat, będący efektem jego działań.

Tak więc staliśmy się, dzięki taniej sile roboczej, krajem z przemysłem o charakterze montażowym służącym potrzebom innych gospodarek. Czy jednak zasłużyliśmy na miano „kolonii gospodarczej Zachodu", jak to pan określił w jednym z artykułów.

– Pamiętam, że tak to określiłem. Jeśli bowiem taki był pierwotny cel jakiejś światowej grupy nacisku, to uzyskała ona swoje. A przecież takich „doradczych" dla Polski i znaczących think tanków było wiele. Polskę widzieli niektórzy z nich perspektywicznie jako dość duży rynek zbytu oraz źródło pozyskiwania surowców, np. miedzi, głównie zaś jako miejsce pozyskiwania i wyzyskiwania taniego, a przy tym dobrze wykwalifikowanego pracownika. (…)

Nasz PKB jest jednym z najszybciej rosnących w Unii Europejskiej. Polska się rozwija, co widać gołym okiem.

– Oczywiście dzięki środkom unijnym nasza infrastruktura się znacznie, ale to znacznie poprawiła. Poprawiła się również sytuacja w rolnictwie.

Dzieje się tak dzięki środkom unijnym, które dla nas, płatników brutto, stanowią swoisty kredyt. Jeśli zaś idzie o PKB, to ów aktualny miernik dobrobytu również zdecydowanie wzrósł. Dlaczego? Otóż nasz dobrobyt (a także wolność, którą się szczycimy) zostały nam zafundowane z zewnątrz, tj. podzielili się nim z nami inni, bogatsi. Odróżnijmy także realny dochód krajowy oraz narodowy od tego statystycznego PKB, w którym tak duży udział mają niepolskie firmy, pracujące na dochód narodowy innych krajów. Wystarczy obecnie jednak jakiś polityczny błąd ze strony rządzących nami, byśmy zaliczyli upadłość na wzór grecki. Trzymajmy się zatem kurczowo Unii, i z nią maksymalnie się integrujmy, zwłaszcza gospodarczo. We Wspólnocie nasza przyszłość.

Zbigniew Al Wieczorek

Jak podaje prof. Andrzej Karpiński, po 1989 r. zlikwidowano 1675 zakładów przemysłowych – 33% majątku produkcyjnego.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Granica, która łączy

70 lat po podpisaniu układu zgorzeleckiego zamknięcie granicy polsko-niemieckiej na czas pandemii było czymś nienaturalnym

Jan Opielka

Dla rzeki to chyba obojętne. Obojętne, jak się nazywa, w jakim języku wymawia się jej nazwę. Rzeka pod staromiejskim mostem, który łączy niemieckie Görlitz z polskim Zgorzelcem, szumi monotonnie; dziś, w ostatnim dniu czerwca i podczas pandemii roku 2020, tak samo jak 70 lat temu. A wówczas, 6 lipca 1950 r., przywódcy NRD i PRL uregulowali sporną granicę na Odrze i Nysie jako „granicę państwową między Niemcami a Polską". Od tego czasu Görlitz-Oststadt stało się Zgorzelcem. Duża część nowych mieszkańców w pobliżu brzegu jeszcze pewniej nazywała swoją rzekę Nysą. Ma tak być na zawsze. Dla Polaków Nysa, dla Niemców Neisse.

6 lipca 1950 r. premierzy Otto Grotewohl (nz. z lewej) i Józef Cyrankiewicz podpisali układ o uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Dane i odebrane

Marta Wyspiańska nazywa rzekę czasem tak, czasem tak. Z wykształcenia jest slawistką i należy do ok. 4 tys. Polek i Polaków mieszkających w Görlitz. – Dla mnie rzeka nie jest rzeką granicy, ale rzeką powiązań, miasto zaś, czy też dwa miasta: Görlitz i Zgorzelec, tworzą jedność, w której się żyje, działa, pracuje, robi zakupy – podkreśla. Wyspiańska pracuje dla stowarzyszenia Meetingpoint Music Messiaen. Dziesięcioosobowy zespół organizuje międzynarodowe spotkania młodzieżowe i projekty edukacji muzycznej, a wspólnie z polską fundacją opiekuje się byłym niemieckim obozem jenieckim Stalag VIII A na terenie Zgorzelca. Stowarzyszenie odwołuje się do niecodziennej historii: francuski kompozytor Oliver Messiaen, w latach 1940-1941 więziony w Stalagu VIII A, napisał tam „Kwartet na koniec czasu", zaliczany dziś do największych dzieł muzyki kameralnej XX w. Zainspirowany tym faktem i muzyką niemiecki historyk literatury i reżyser Albrecht Goetze na początku tego stulecia przeprowadził się do Görlitz i zainicjował powstanie stowarzyszenia. – Ten utwór wskazał nam, że człowiek powinien mieć silnego ducha, bo tylko on pozwala przezwyciężyć najtrudniejsze momenty – mówił zmarły w 2015 r. Goetze. – Pamiętam podzieloną Europę mojego dzieciństwa i to, jak marzyła mi się Europa wspólna, zjednoczona. Zgorzelec i Görlitz to idealne miejsce, żeby tę ideę urzeczywistniać. To może się udać właśnie dzięki muzyce.

Czy to z powodu naznaczonej tą historią misji organizacji, czy też ze względu na osobiste doświadczenia, Wyspiańska jest poruszona, gdy mówi o granicy, o jej czasowym zamknięciu i protestach. – Zamknięcie granicy było dla mnie czymś nienaturalnym. Nie sądziłam, że będę musiała doświadczyć czegoś takiego w XXI w. W tyle głowy mam opowieści moich rodziców i innych pokoleń o zamkniętych granicach.

Pandemia wpływa również na pracę stowarzyszenia. Część oferty, np. organizowany od lat program „Worcation" na temat Stalagu VIII A, w tym roku odbędzie się wyłącznie online. – Mam nadzieję, że zamknięcie granicy będzie znakiem zwłaszcza dla młodych ludzi. Bo wolność i swobodne przekraczanie granic nie są czymś danym z góry, czymś, co po prostu mamy i czego nie można nam już odebrać. Powinniśmy się wzmacniać w byciu razem, nie w byciu podzielonymi.

Grać dalej – i mieć nadzieję

Konsekwencje tej polsko-niemieckiej separacji są również tematem poruszanym w Teatrze im. Gerharta Hauptmanna w Görlitz-Zittau. Ta miejska instytucja kultury, która oferuje szeroki repertuar teatru muzycznego, dramatu i tańca, wszystkie występy uzupełnia napisami w języku polskim i zatrudnia wiele osób z Polski. Jedną z nich jest dyrygentka Ewa

eprasa.pl 5d1cf814c4

Strusińska, od dwóch lat główna dyrektorka muzyczna teatru. – Czasy koronawirusa są dla nas wszystkich, dla teatru i dla tych, którzy tu pracują, wielkim wyzwaniem – mówi. Gdy pokazuje scenę powstałego w XIX w. teatru, towarzyszy nam dramaturg Ivo Zöllner. – Oferta online była i jest dobrym instrumentem, ale chcemy jak najszybciej grać na żywo, bo zarówno goście, jak i zespół tęsknią za żywym kontaktem, jesteśmy w pewnym sensie uzależnieni od adrenaliny, którą wyzwala kontakt z widzami – opowiada dyrygentka. Zdążyła już wprowadzić tu kilka polskich akcentów, ściągając na scenę teatru dzieła bardziej i mniej znanych kompozytorów polskich, w tym Karola Szymanowskiego i Stanisława Moniuszki, ale także Józefa Kofflera. Zöllnerowi epidemia podsunęła dodatkowy pomysł: – Chcemy zaoferować małe koncerty kameralne w Zgorzelcu. Bo chcemy być teatrem całego europejskiego miasta Görlitz-Zgorzelec.

Dobrym miejscem na koncerty mogłyby być pomieszczenia Miejskiego Domu Kultury w Zgorzelcu. Budynek z początku XX w. jest tymczasowo zamknięty dla publiczności. 70 lat temu to tutaj pod układem zgorzeleckim złożyli podpisy premierzy Józef Cyrankiewicz i Otto Grotewohl. Na ławce przed gmachem siedzą Romek i jego kolega Piotrek, 15-latkowie rozmawiają, jednocześnie pisząc coś na smartfonach. Romkowi układ graniczny coś mówi, ale bardziej interesują go teraźniejszość i przyszłość. – Mamy już normalne kontakty z Niemcami. Ale oczywiście niektórzy traktują Polaków trochę gorzej, tak jak wielu Polaków traktuje teraz Ukraińców – tłumaczy licealista. On sam nie chce zostać w Zgorzelcu po szkole, chce studiować we Wrocławiu. A granica, Görlitz, młodzi ludzie po drugiej stronie rzeki? – Zgorzelec i Görlitz to dla mnie jedno miasto, na drugą stronę chodzę regularnie, znam tam kilka osób, więc to było bardzo dziwne, kiedy granica była zamknięta.

Ewa Strusińska i Ivo Zöllner: Chcemy być teatrem całego europejskiego miasta Görlitz-Zgorzelec.

Marta Wyspiańska: Wolność i swobodne przekraczanie granic nie są czymś danym z góry, czymś, co po prostu mamy.

Kilkadziesiąt lat temu zamknięcie granicy było czymś oczywistym. W wyniku wytyczenia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej podzielono ok. 50 gmin wiejskich i siedem miast, z których trzy funkcjonują jako miasta bliźniacze – ok. 120 km na północ od Görlitz, jadąc wzdłuż meandrującej Nysy, dociera się do jednego z nich. Tutaj rzeka dzieli niemieckie Guben i polski Gubin.

Wokół centralnego mostu granicznego polski geodeta i jego ekipa przeprowadzają coroczny monitoring elektrowni wodnej, wybudowanej w czasach niemieckich. – Takich elektrowni wzdłuż Nysy Łużyckiej jest wiele – wyjaśnia pan Tomasz, który mieszka w Krakowie i jako geodeta jest tu służbowo. – Widać, że tutejsi mieszkańcy są uzależnieni od granicy – zauważa. – Niektóre małe wsie po polskiej stronie niemal całkowicie nastawione są na wymianę z Niemcami: papierosy, stacje benzynowe, nawet usługi weterynaryjne – ceny często podawane są w euro, a nie w złotych. Choć tu, w Gubinie, jest inaczej.

Młodzieżowy tranzyt

W Guben-Gubinie – każde miasto ma po ok. 16 tys. mieszkańców – między obiema częściami krążą młodzi ludzie. Również uczniowie Liceum im. Pestalozziego w Guben. Szkoła od ponad dekady oferuje język polski jako drugi język obcy, zatrudnia odpowiednią asystentkę językową. Połowa niemieckich uczniów w siódmej klasie zamiast francuskiego wybiera polski, a spośród 350 uczniów 45 stanowią Polacy. Początek lipca to okres wakacyjny, koordynatorka wyższych klas

eprasa.pl 5d1cf814c4

licealnych, Kerstin Nedoma, jest jednak na miejscu. – Ze względu na bliskość Polski naturalne było otwarcie się na polskich uczniów i zaoferowanie polskiego jako języka obcego – mówi. Większość tych młodych ludzi mieszka po polskiej stronie, a dla pochodzących z innych polskich miast jest internat w Gubinie. Wszystko od lat dobrze działało – aż nadeszła pandemia i zamknięcie granic. Jednak niemiecki powiat Sprewa-Nysa szybko zorganizował i sfinansował w mieście Burg zakwaterowanie dla polskich 12-klasistów, którzy w kwietniu mieli przystąpić do egzaminów maturalnych. – Świetnie się spisali. Tak intensywnie się uczyli, że mieli doskonałe wyniki na świadectwach – opowiada Kerstin Nedoma. Dla uczniów z klas 9-11 z Polski również zorganizowano noclegi po stronie niemieckiej.

Czy doświadczenie zamknięcia granicy spowoduje zachwianie się polsko-niemieckiego projektu szkolnego? – To zależy również od ogólnego kontekstu politycznego, czy pojawią się nacjonalizmy, czy zmieni się wzajemny wizerunek – zwraca uwagę koordynatorka, która w szkole pracuje od 30 lat, a w Guben mieszka jeszcze dłużej. – Mamy nadzieję, że informacje o tym, co umożliwiliśmy i umożliwiamy polskim uczniom, pójdą w świat, a obawy znikną. Uczennice i uczniowie z Polski wzbogacają nas i mam nadzieję, że takie projekty jak nasz staną się normalnością.

Taka normalność stała się możliwa dzięki otwartej granicy. Z jednej strony, czasem otwartość rodzi konflikty, z drugiej – owocuje bliskością. Znamienny był choćby spontaniczny uścisk dwóch burmistrzów: René Wilkego z Frankfurtu nad Odrą i Mariusza Olejniczaka ze Słubic.

Podwójne pytania

Słubice i Frankfurt robią dużo, by to połączenie nie było tylko symboliczne, by „europejskie podwójne miasto", jak reklamują się po obu stronach, stało się konkretem. Na razie rozbieżności ekonomiczne nadal rzucają się w oczy. Spacer po ulicach znacznie mniejszych Słubic pokazuje, że polska strona jako biedniejszy brat oferuje usługi bogatszemu: sklepy z papierosami, kantory, restauracje, fryzjerów, bazary. – Wielu handlarzy, którzy mieli głównie klientów niemieckich, bardzo ucierpiało i musiało zlikwidować biznesy po zamknięciu granicy. Myśmy przetrwali, ponieważ około połowy naszych klientów to Polacy – mówi sprzedawczyni ze sklepu spożywczo-monopolowego w pobliżu mostu granicznego.

Po drugiej stronie rzeki urzędy obu miast utworzyły Słubicko-Frankfurckie Centrum Kooperacji. Biuro powstało w 2011 r. w ramach finansowanego przez UE projektu Interreg „Międzykomunalna współpraca w europejskim Dwumieście". Siedmiu pracowników – pięciu z Frankfurtu, dwóch ze Słubic – organizuje projekty i tworzy swego rodzaju pas transmisyjny dla administracji miast. – Jesteśmy tłumaczami, dopytujemy się, działamy na nerwy. A kiedy nasi polscy pracownicy są przez swoich kolegów z urzędu w Słubicach określani jako Niemcy, my zaś przez naszych we Frankfurcie jako Polacy, to znak, że robimy coś dobrze – śmieje się Sören Bollmann. Bollmann jest dyrektorem centrum, mówi płynnie po polsku, głównie o przyszłości. – Działania planujemy w dziesięcioletnich krokach rozwojowych, uzgodnionych w ramach tzw. konferencji przyszłości. Bo trudniej jest zacząć, wychodząc od teraźniejszości aniżeli od perspektywy przyszłości.

Kerstin Nedoma: Ze względu na bliskość Polski naturalne było otwarcie się na polskich uczniów i zaoferowanie polskiego jako języka obcego.

Pod koniec 2019 r. rady miast zatwierdziły plan działania na lata 2020-2030. Co jednak się stanie z uchwalonymi w nim treściami – choćby wspieraniem dwujęzyczności czy współpracą na rzecz transgranicznej ochrony przed skutkami katastrof – w czasach pandemii i napiętych miejskich budżetów? – Niektóre planowane projekty są ponownie rozpatrywane – przyznaje Bollmann. – Zasadnicze pytanie brzmi zaś: czy warto stawiać na podwójne miasto, tak że nie rezygnujemy z niego nawet w trudnych czasach? Jak dotąd w obu miastach przeważa pogląd o kontynuowaniu współpracy – mówi Bollman.

Na to samo pytanie, dodaje, trzeba dziś odpowiedzieć na szczeblu Unii Europejskiej. – Czy chcemy, aby takie kwestie jak zdrowie weszły w zakres kompetencji UE, abyśmy mogli działać szybciej w przypadku kolejnej katastrofy?

Dla Frankfurtu-Słubic to pytania bardzo konkretne. Co zrobić, jeśli ktoś w Słubicach ma zawał serca, a miejscowy szpital nie może go leczyć? Wieźć chorego 80 km do Zielonej Góry czy 5 km do Frankfurtu? Takie przypadki już się zdarzały, nie są jednak uregulowane prawnie. A powinny być.

Magdalena Telus z Görlitz ma inne pytania. Polonistka i germanistka jest prezesem niemieckiego Stowarzyszenia Nauczycieli Polskich. Współpracuje z kilkoma instytucjami w celu utworzenia centrum koordynacji i kompetencji języka polskiego w Niemczech. – Istnieje wiele stowarzyszeń oraz inicjatyw rodzicielskich, które oferują polskie lekcje, i chcemy im pomóc w lepszym nawiązywaniu kontaktów, w docieraniu do lokalnych polityków – mówi. Projekt ma niebawem ruszyć, zakrojony jest na skalę ogólnokrajową, pomysł wspiera niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. A Magdalena Telus ma jeszcze wiele do powiedzenia. Chwyta mikrofon i na scenie w kawiarni przy moście Görlitz-Zgorzelec śpiewa piosenkę, którą sama napisała: „Europa, Europa!".

Jan Opielka

Kwerenda wsparta ze środków Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej

FOT. PAP/CAF/JERZY BARANOWSKI, JAN OPIELKA (3)

eprasa.pl 5d1cf814c4

Pozbyć się Sikorskiego

W lipcu 1940 r. doszło do próby obalenia przez piłsudczyków premiera polskiego rządu na uchodźstwie

Bohdan Piętka

Genezy buntu przeciw gen. Władysławowi Sikorskiemu należy szukać w okolicznościach powstania jego rządu. Pomimo klęski wrześniowej sanacja zmierzała do utrzymania władzy w swoich rękach. Nie było to łatwe, ponieważ po przekroczeniu granicy polsko-rumuńskiej w nocy z 17 na 18 września 1939 r. najwyższe władze polskie zostały internowane w Rumunii. W tej sytuacji prezydent RP Ignacy Mościcki mianował swoim następcą gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego – byłego adiutanta Józefa Piłsudskiego, kojarzonego z tzw. grupą pułkowników, wówczas ambasadora polskiego w Rzymie. Opozycja antysanacyjna miała jednak lepsze kontakty z rządem francuskim, który sprzeciwił się tej nominacji. Wtedy Mościcki mianował Władysława Raczkiewicza – także piłsudczyka, byłego marszałka Senatu i ministra spraw wewnętrznych.

Raczkiewicz został zaprzysiężony w Paryżu 30 września 1939 r. i zamierzał powołać na stanowisko premiera rządu na uchodźstwie Augusta Zaleskiego – polityka piłsudczykowskiego, ministra spraw zagranicznych w latach 1926-1932. Opozycja antysanacyjna nie dopuściła jednak do utworzenia rządu Zaleskiego. Miała w tym poparcie władz francuskich. Ponadto klęska wrześniowa spowodowała dalszą erozję autorytetu obozu sanacyjnego zarówno w kraju, jak i na emigracji. Większość czołowych polityków sanacyjnych przebywała jeszcze w Rumunii lub na Węgrzech. Natomiast do Paryża zjechało wielu przedstawicieli opozycji z gen. Władysławem Sikorskim, który miał liczne kontakty z czołowymi politykami francuskimi. Jego właśnie opozycja wysunęła na premiera. W tej sytuacji prezydent Raczkiewicz musiał pójść na kompromis i zgodzić się na nominację gen. Sikorskiego, która nastąpiła także 30 września 1939 r.

Wyrazem tego kompromisu była tzw. umowa paryska pomiędzy Raczkiewiczem a stronnikami gen. Sikorskiego, która przewidywała, że konstytucja kwietniowa – nieuznawana dotąd przez opozycję antysanacyjną – pozostanie w mocy, ale prezydent będzie korzystać z przysługujących mu prerogatyw tylko w porozumieniu z szefem rządu.

Gabinet gen. Sikorskiego miał charakter koalicyjny, w jego skład weszli przedstawiciele głównych partii opozycji antysanacyjnej: Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Ludowego i Polskiej Partii Socjalistycznej. W rządzie znaleźli się także politycy sanacyjni – Zaleski jako minister spraw zagranicznych oraz jeden z czołowych piłsudczyków (odsunięty na boczny tor po śmierci marszałka), gen. Kazimierz Sosnkowski, który objął funkcję przewodniczącego Komitetu Rady Ministrów ds. Kraju i komendanta głównego Związku Walki Zbrojnej. Ponadto prezydent Raczkiewicz mianował go swoim następcą na wypadek śmierci. Piłsudczycy pragnęli też, by gen. Sosnkowski został naczelnym wodzem. Obóz zwolenników Sikorskiego do tego nie dopuścił i Raczkiewicz musiał mianować 7 listopada 1939 r. naczelnym wodzem oraz generalnym inspektorem sił zbrojnych Sikorskiego.

Porozumieć się z Rosją

Piłsudczycy zachowali więc trzy kluczowe pozycje, jakimi były urząd prezydenta RP, resort spraw zagranicznych i kontakty z okupowanym krajem. Wpływy ich wzmacniały się w miarę napływu oficerów i polityków przedzierających się z kraju. Otwarty konflikt piłsudczyków z premierem Sikorskim i próba odzyskania przez nich pełni władzy stały się kwestią czasu.

Okazję ku temu stworzyła klęska Francji w czerwcu 1940 r. i konieczność przeniesienia się polskich władz do Wielkiej Brytanii. Kapitulacja Francji była wielkim zaskoczeniem i rozczarowaniem dla Sikorskiego, który wierzył w potęgę tego państwa. Upadek Francji oznaczał również utratę znacznej części odtworzonych Polskich Sił Zbrojnych. Spowodowało to ataki ze strony przeciwników generała, rewanżujących się w ten sposób za krytykę, jakiej piłsudczycy doświadczyli po klęsce wrześniowej. Katastrofa Francji stawiała w nowym świetle klęskę Polski we wrześniu 1939 r. Francja była przecież mocarstwem z liczną i silną armią. Jeśli ta armia została szybko rozbita, to znaczy, że armia polska nie działała tak źle – argumentowali piłsudczycy. Rehabilitacji żądali krytykowani przywódcy sanacji i generałowie września 1939 r.

Sąd polowy w Londynie skazał gen. Dęba-Biernackiego za przyczynienie się do klęski wrześniowej na dwa i pół roku więzienia i degradację do stopnia szeregowca.

18 czerwca 1940 r. gen. Sikorski udał się do Wielkiej Brytanii, dokąd ewakuowano 32 tys. oficerów i żołnierzy, tj. 40% stanu Polskich Sił Zbrojnych. Już następnego dnia porozumiał się z premierem Winstonem Churchillem w sprawie wspólnego kontynuowania wojny. Miał w tym pełne poparcie rządu i prezydenta.

Powodem ataku grupy piłsudczykowskiej na Sikorskiego stał się jego memoriał przedłożony rządowi brytyjskiemu, w którym przewidywał utworzenie 300-tysięcznej armii z Polaków przebywających w obozach jenieckich i miejscach zesłania w ZSRR. Propozycje te korespondowały z brytyjskimi zabiegami o względy Stalina i z memoriałem

eprasa.pl 5d1cf814c4

Stosunki między prezydentem Raczkiewiczem a gen. Sikorskim były napięte.

Stefana Litauera – dziennikarza o powiązaniach lewicowych, wówczas korespondenta Polskiej Agencji Telegraficznej w Londynie. Litauer wystąpił z planem utworzenia w ZSRR 300-tysięcznej armii polskiej do walki z Niemcami, rewizji granicy polsko-radzieckiej na zasadzie etnograficznej i zgody rządu polskiego na przemarsz Armii Czerwonej przez polskie ziemie. Propozycje te podchwycił dr Józef Retinger – pisarz, wolnomularz i doradca Sikorskiego, który wydostał polskiego premiera z Francji. Zdaniem Normana Daviesa także agent wywiadu brytyjskiego.

W rozmowie z szefem brytyjskiej dyplomacji lordem Halifaxem Sikorski przedstawił tezy memoriału Litauera w formie zmodyfikowanej – jedynie z propozycją utworzenia w ZSRR armii polskiej i wysłania przedstawiciela rządu RP do Moskwy. Posunięcia tego generał nie uzgodnił jednak z prezydentem Raczkiewiczem ani ministrem spraw zagranicznych. Na takie uzgodnienie nie pozwalało stanowisko zajmowane po 17 września 1939 r. wobec ZSRR przez Raczkiewicza, Zaleskiego i ogół piłsudczyków. Uważali oni, że Polska jest w stanie wojny zarówno z Niemcami, jak i ze Związkiem Radzieckim.

Fakt, że premier wyszedł sam z taką propozycją, był kroplą, która przelała czarę goryczy. Z ostrą publiczną krytyką gen. Sikorskiego wystąpili nie tylko Zaleski i były ambasador we Francji Juliusz Łukasiewicz, ale również odsunięci od wpływów i władzy politycy sanacyjni – m.in. gen. Stefan Dąb-Biernacki (internowany już we Francji w Ośrodku Oficerskim w Cerizay), Michał Grażyński i Marian Zyndram-Kościałkowski. Oponenci zarzucali Sikorskiemu bezkrytyczną wiarę w potęgę francuskiego sojusznika, zaprzepaszczenie armii polskiej we Francji, kumulowanie stanowisk, dzielenie oficerów na lepszych i gorszych oraz samowolę. Na fali tej nagonki prezydent Raczkiewicz zażądał od Sikorskiego usunięcia z rządu ministrów Stanisława Kota i Henryka Strasburgera, których oskarżył o utratę części złota Banku Polskiego zdeponowanej w Dakarze pod kontrolą władz Vichy.

Dymisja premiera

Sikorski się nie zgodził i w związku z tym 18 lipca 1940 r. otrzymał z rąk prezydenta dymisję. Jego następcą Raczkiewicz mianował Augusta Zaleskiego. Wywołany przez piłsudczyków kryzys polityczny był niebezpieczny dla sprawy polskiej, ponieważ groził marginalizacją rządu RP na arenie międzynarodowej. Sikorski odmówił przyjęcia dymisji, powołując się na samoograniczenie Raczkiewicza w wykonywaniu niektórych uprawnień prezydenckich wynikające z umowy paryskiej. Wierni Sikorskiemu oficerowie z płk. Tadeuszem Klimeckim zagrozili Zaleskiemu „najdalej idącymi konsekwencjami", jeśli przyjąłby nominację na premiera. Po stronie Sikorskiego opowiedziała się też większość Rady Narodowej (polskiego parlamentu na uchodźstwie). Jako pośrednik wystąpił gen. Sosnkowski, któremu udało się rozładować kryzys.

20 lipca 1940 r. prezydent Raczkiewicz wycofał się z decyzji o zdymisjonowaniu premiera Sikorskiego. Grupa zbuntowanych oficerów z gen. Dębem-Biernackim trafiła do obozu internowania Rothesay na wysepce Bute u zachodnich wybrzeży Szkocji. Memoriał w sprawie porozumienia z ZSRR został wycofany, a rząd powrócił do poprzedniego składu. Nie zatarł się w nim jednak podział na zwolenników Sikorskiego oraz Raczkiewicza i Zaleskiego. Ponadto Sikorski stał się od tej pory podejrzliwy i wyczulony na spiski.

Stefan Dąb-Biernacki stanął w październiku 1940 r. przed Sądem Polowym nr 3 w Londynie, który skazał go za przyczynienie się do klęski wrześniowej na karę dwóch lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności oraz degradację do stopnia szeregowca. Natomiast w kwietniu 1941 r. stanął przed Sądem Polowym nr 9 w Londynie pod zarzutem kierowania spiskiem przeciwko rządowi gen. Sikorskiego i został skazany na cztery lata pozbawienia wolności i degradację. W 1943 r. opuścił więzienie brytyjskie ze względu na stan zdrowia i wyjechał do Irlandii, gdzie zajął się pszczelarstwem.

Podział w rządzie na zwolenników Sikorskiego i jego piłsudczykowskich oponentów doprowadził do kolejnego kryzysu politycznego w 1941 r. Po agresji Trzeciej Rzeszy i jej sojuszników na Związek Radziecki 22 czerwca 1941 r. premier Churchill zapowiedział udzielenie Moskwie wszelkiej pomocy. 12 lipca 1941 r. Wielka Brytania i ZSRR podpisały układ o współpracy.

Polityczne znaczenie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej rozumiał również gen. Sikorski, czemu dał wyraz 23 czerwca 1941 r. w przemówieniu radiowym do okupowanego kraju. Przewidział wówczas, że „Rosja pochłonie siły niemieckie" oraz wysunął przypuszczenie, że Kreml unieważni swoje układy z Niemcami z 1939 r. i powróci do zasad pokoju ryskiego z Polską. Wkrótce jednak okazało się, że nie ma mowy o zgodzie Stalina na potwierdzenie polskiej granicy wschodniej

FOT. NAC

eprasa.pl 5d1cf814c4

z 1921 r. Nierealna okazała się też nadzieja na zagwarantowanie jej przez Wielką Brytanię i USA. Churchillowi zależało na szybkim zawarciu porozumienia ze Stalinem. Dlatego zaczął wywierać naciski w tej sprawie na polskiego premiera. Do wstępnych rozmów pomiędzy Sikorskim i ambasadorem radzieckim w Londynie Iwanem Majskim doszło już 5 lipca 1941 r. W negocjacjach polsko-radzieckich uczestniczył brytyjski dyplomata Alexander Cadogan, a potem także minister spraw zagranicznych Anthony Eden. Ambasador Majski był od początku świadomy presji brytyjskiej na Sikorskiego i tym samym swojej mocnej pozycji w rokowaniach. Moskwa rozumiała, że Churchillowi bardziej zależało na sojuszu ze Stalinem niż na zagwarantowaniu Polsce korzystnej sytuacji po wojnie. Dlatego w sprawie granicy polsko-radzieckiej Kreml odpowiadał, że powinna zostać oparta na kryterium etnicznym.

Układ Sikorski-Majski

Z kolei premierowi Sikorskiemu najbardziej zależało na poprawie losu Polaków, którzy znaleźli się na terenach okupowanych przez ZSRR i zostali wywiezieni w głąb tego kraju. Dlatego, będąc dodatkowo pod presją brytyjską, zgodził się 22 lipca 1941 r. na formułę unieważnienia radziecko-niemieckich traktatów rozbiorowych z 1939 r., która odkładała kwestię granicy na czas późniejszy. Prowadzone przez gen. Sikorskiego, przy brytyjskim pośrednictwie, rokowania ze stroną radziecką ponownie skonsolidowały przeciw niemu opozycję piłsudczykowską. Przewodzili jej gen. Sosnkowski oraz prezydent Raczkiewicz i minister Zaleski.

Piłsudczyków poparło kierowane przez Tadeusza Bieleckiego Stronnictwo Narodowe, które w rządzie Sikorskiego reprezentował Marian Seyda. Grupa piłsudczykowska przejawiała nierealne nadzieje na wzajemne wyniszczenie Niemiec i ZSRR oraz odbudowę potężnej Polski. Dlatego uważała, że z podpisaniem ewentualnego układu ze Stalinem należy się wstrzymać do czasu, kiedy położenie militarne ZSRR stanie się tak trudne, iż Moskwa będzie gotowa do ustępstw.

Minister Zaleski na posiedzeniach Rady Narodowej 15 i 21 lipca 1941 r. wystąpił z ostrą krytyką premiera. 25 lipca rząd opuścili Sosnkowski, Zaleski i Seyda. Prezydent Raczkiewicz próbował jeszcze powstrzymać premiera Sikorskiego, odmawiając mu 29 lipca udzielenia pełnomocnictw do zawarcia układu z ZSRR. W tej sytuacji Sikorski zdecydował się na zawarcie porozumienia z Moskwą bez pełnomocnictwa prezydenta. Stał na stanowisku, że nie można pozwolić na dalsze przetrzymywanie Polaków w więzieniach i obozach radzieckich.

Wobec takiej postawy Sikorskiego prezydent Raczkiewicz zagroził swoją dymisją. Dopiero 22 sierpnia 1941 r. zdecydował się pozostać na stanowisku i podpisał dekrety zwalniające ministrów Seydę, Sosnkowskiego i Zaleskiego. Marian Seyda powrócił do rządu 13 lipca 1942 r. bez zgody Stronnictwa Narodowego, za co został usunięty z jego szeregów.

30 lipca 1941 r., w obecności premiera Churchilla i ministra Edena, został podpisany w Londynie układ pomiędzy rządem RP na uchodźstwie a rządem ZSRR, który przeszedł do historii jako układ Sikorski-Majski. Przywrócone zostały polsko-radzieckie stosunki dyplomatyczne, zerwane jednostronnie przez ZSRR w następstwie agresji z 17 września 1939 r. Strona radziecka godziła się na utworzenie armii polskiej w ZSRR i anulowanie układów z Trzecią Rzeszą z 1939 r., ale uchylała się od potwierdzenia granicy ryskiej. Mimo wszystkich kontrowersji, jakie wzbudził wówczas i później układ Sikorski-Majski, najważniejszym jego skutkiem politycznym stało się uwolnienie z radzieckich więzień, obozów i miejsc zesłania 381 tys. obywateli polskich, w tym 26 tys. jeńców.

„Sikorski dążył do porozumienia, ponieważ był świadomy, że odmowa rokowań prowadziłaby tylko do izolacji Polski", powiedział w 1967 r. w Radiu Wolna Europa jeden z jego najbliższych współpracowników, gen. Marian Kukiel. Gdyby zamiast linii gen. Sikorskiego zwyciężyła linia polityczna piłsudczyków, rząd polski na uchodźstwie znalazłby się w międzynarodowej izolacji już w 1941 r., a setki tysięcy Polaków na Nieludzkiej Ziemi zostałyby pozostawione własnemu losowi.

Bohdan Piętka

Najważniejszym skutkiem układu Sikorski-Majski było uwolnienie z radzieckich więzień, obozów i miejsc zesłania 381 tys. obywateli polskich, w tym 26 tys. jeńców.

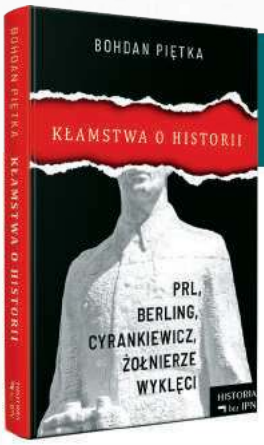

MANIPULOWANIE PAMIĘCIĄ, MITY, KŁAMSTWA I KŁAMSTEWKA!
45 zł

DOKUMENTY Z OKUPOWANEGO KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY.
45 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

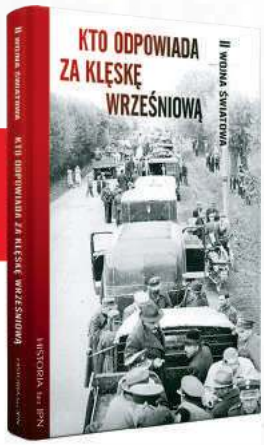

eprasa.pl 5d1cf814c4

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Gorycz porażki i nędza zwycięstwa

Odnajduję starą znajomą, rozmawiamy po raz pierwszy od kilkunastu lat. Serdecznie, jakby te lata nas nie dzieliły. Jej córka, śliczna nastolatka, która przez chwilę była mi bliska, ma już lat 50. Pamiętam tylko tę dawną, nie widzieliśmy się od tamtego czasu. Obcięła wtedy dla mnie w nagłym odruchu kosmyk złotych włosów, noszę go ze sobą w pamięci. Mieszka daleko, wyjechała z Polski. Patrzę na jej obecną fotografię serdecznie, ale jestem wstrząśnięty. Wszyscy jesteśmy wsysani przez otchłań czasu. Jeśli nie ogląda się ludzi w ruchu, w drodze starzenia się, kontrast dawnej pamięci i obecnego stanu rzeczy jest jak uderzenie pioruna.

•

Znajoma, ordynatorka oddziału psychiatrycznego, opowiada mi, że w krótkim czasie przywieźli jej na oddział trzy leciwe pacjentki, słuchaczki mediów publicznych, wszystkie opętane tym samym chorobliwym lękiem, że Duda przegra wybory. Duda znowu wraca do seksualizacji polskich dzieci i ataków nienawiści wobec elity, czyli polskiej inteligencji. To zohydzanie i walka z polską inteligencją, z tym, co jest największym skarbem Polski. I czyha zły Niemiec, nawet wypadek autobusowy w Warszawie to wina Trzaskowskiego. I cudowna prognoza, że seniorzy z Zachodu będą do nas przyjeżdżać, by dobrze spędzić swoje ostatnie lata i uniknąć eutanazji (i leczyć się w polskich szpitalach, można dodać). Jak trzeba się bać, by tak bredzić. Korea Północna w coraz większej bliskości z PiS.

•

W dzienniku Sándora Máraia czytam, że pisarz spotyka znajomego, który mówi o kimś: „On jest jak woda, zawsze przybiera postać szklanki, do której go wleją". Pasuje to do Dudy, mógłby być politykiem opcji liberalnej, łatwo by się dostosował i nakręcił na liberalizm. Na jakimś archiwalnym filmiku z jego wiecu wyborczego widzę nagle X, mojego przyjaciela z dzieciństwa, stoi blisko wodza i skanduje. On także jest jak taka woda. Droga jego zaangażowań politycznych mówi, że wejdzie w każdy ruch, byle być tam kimś widocznym. Okropnie się wstydzi ojca, który zachował się źle w stanie wojennym. I chyba naprawdę nie wie, że sam zachowuje się teraz gorzej. To częsty mechanizm: muszę być kimś za wszelką cenę, inaczej pożre mnie poczucie niższości. To każe włączyć się w każdą sprawę, bez względu na jej barwę, która mnie dowartościowuje. X był już w kilku organizacjach, sprzecznych – zdawało mi się – z jego kondycją, teraz nawet czasami jeździ do Radia Maryja. Nie przeszkadza mu to, że ma „złe pochodzenie", którego tak nie lubi ojciec dyrektor. Każdy antysemita lubi mieć swojego żydka, by pokazać, jaki jest tolerancyjny. A ideologia jak rafa koralowa, lubi się osadzać na wraku zakompleksionej osobowości. Duda zaczyna już nawet wierzyć, że Trzaskowski chce uczyć masturbacji niemowlaki. I trzęsie się z oburzenia. Okropne jest nie tylko to, że tacy ludzie mają teraz władzę i niszczą nasz kraj, ale też to, że na pewno nigdy nie zostaną ukarani. Nawet jeśli ocalimy demokrację, nie ma ona dobrych narzędzi, by karać za takie zbrodnie. A nie boję się użyć tu tego słowa. To są duchowe zbrodnie.

•

Jest grupa ludzi, którzy już po pierwszej turze, niepewni ostatecznego rezultatu, odsuwają się od polityki, mają dosyć. Kolega pisze, że jest z natury anarchistą i wraca do swojego anarchizmu. Odpowiadam: abyś mógł spokojnie uprawiać swój anarchizm, lepiej, żeby była demokracja, dyktatury prześladują anarchistów podobnie jak liberałów, więc w trosce o swój anarchizm głosuj.

> Okropne, że żyjemy w ciągłym napięciu, nienawiści, goryczy, niezgodzie, niesmaku.

•

Piszę kilka dni przed niedzielą wyborczą. Jako że obaj kandydaci idą głowa w łeb – jakoś nie mogę napisać łeb w łeb – można się spodziewać, że PiS uruchomi wszystkie pokłady podłości, by te wybory wygrać. Grozi mu jednak, że przegrzeje oczernianie Trzaskowskiego, to może się zdarzyć.

•

Myśląc o sytuacji w Polsce: okropne, że żyjemy w ciągłym napięciu, nienawiści, goryczy, niezgodzie, niesmaku. To trująca atmosfera. Ten kraj jest ciężko chory. Od stuleci. Czy mam siły na dalsze pięć lat z Dudą? I by ostatnie lata życia spędzać w stanie oburzenia i niezgody, tak jak już żyłem w PRL? Wystarczy. Moi znajomi, czasami już niemłodzi, szykują się do wyjazdu z Polski. Liczni wokół przygotowują swoje dzieci na emigrację. A więc znowu *exodus* polskiej inteligencji, znowu krwawimy. Numer tygodnika ukaże się w dniu, kiedy wynik wyborów będzie już znany. Bez względu na to, kto wygra, miliony będą w żałobie, z tej albo z tamtej strony barykady. Najpierw w ciężkiej żałobie, a potem przez pięć lat w nieco lżejszej. Już nie obcy, ale Polacy Polakom zgotowali taki los.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d1cf814c4

Warto popatrzeć na siebie ze współczuciem

Pandemia wyciąga na wierzch nasze lęki codzienne. Czy będzie kryzys finansowy, załamanie gospodarki, czy będą przepełnione szpitale?

Rozmawia Beata Igielska

DR BOGNA SZYMAŃSKA-KOTWICA
– psycholog w Poradni Profilaktyczno-Leczniczej Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego w Warszawie

Jak wygląda pani praca? Wchodzi pani do chorych w kosmicznym stroju?

– Nie. Rozmawiam z personelem medycznym, jestem pytana o to, co robić, jak się zachować, co powiedzieć pacjentowi. Szczególnie pielęgniarki, które wchodzą do chorych, pobierają krew, mają z nimi kontakt bliższy, cieplejszy niż lekarz, pytają, jak reagować na emocje pacjentów, nie rozumieją pewnych zachowań.

Z czym konkretnie przychodzą pielęgniarki?

– Mam kontakt z personelem szpitala zakaźnego w Warszawie, a więc z ludźmi nauczonymi pewnych procedur. Wiedzą, co mają robić. Pielęgniarkom doskwiera to, co się dzieje na zewnątrz. Czują stygmatyzację. Pamiętamy, jak w Gliwicach pomalowano pielęgniarce samochód. Pielęgniarki boją się o to, jak zostaną odebrane przez rodzinę, sąsiadów, przyjaciół. Powinny mieć bezpieczną przestrzeń po trudnym dniu, a to nie zawsze się udaje. Gdzie mają więc odpocząć, zdystansować się od tego, co się dzieje w pracy? Nie mogą spać, rozmyślają. Te, które mają dzieci w wieku szkolnym, dyżurując, nie mogły pomagać w lekcjach, miały wyrzuty sumienia. To dylematy egzystencjalne. Co zrobić? Oddać się pracy zawodowej, narażając rodzinę na szwank emocjonalny? Dziecko czasami bardzo długo nie widzi rodzica. Spotkanie to scena rozrywająca serce. Pandemia ma o wiele większy zasięg emocjonalny, niż nam się wydaje. Mierzenie się z niemocą, jaką decyzję podjąć, co będzie najlepsze dla mnie, dla rodziny, takie pytania dotykają nas wszystkich. Jeśli zrezygnuję z pracy, nie będę mieć pieniędzy na życie. Tego się boi duża część społeczeństwa. Lekarze zaś opowiadają, że są zmęczeni, gdy znajomi wydzwaniają, bo chcieliby się czegoś dowiedzieć. Nawet telefony od życzliwych ludzi skutkują brakiem spokoju.

Jak w tym labiryncie emocjonalnym odnajdują się pacjenci?

– Mają inne spojrzenie, bo walczą o zdrowie i życie. Pandemia wyciąga na wierzch nasze lęki codzienne. Czy będzie kryzys finansowy, załamanie gospodarki, czy będą przepełnione szpitale? Próbujemy nastawiać się bojowo. Gdy poznajemy diagnozę, cały świat się zatrzymuje. Wielu pacjentów w zamknięciu wykazuje zniecierpliwienie. Wiele osób ma problem z poproszeniem pracownika socjalnego czy pielęgniarki o szczoteczkę do zębów, pastę czy krem. Przewartościowuje się widzenie świata. Nagle wartością jest to, że ktoś się do mnie odezwał, że mogę przez Skype'a zobaczyć wnuki. To się staje sensem dnia. Albo czekam na obchód lekarski. Przestaje być ważny zakup kanapy czy przetarg. Wtedy nie tyle pacjent, ile człowiek wchodzi do istoty bycia, do sensu. Jest czas na przemyślenia: dokąd zmierzam, co jest w moim życiu ważne, czy coś chcę zmienić. Niestety, nie każdy podąża za swoją świadomością, a nasz umysł przenosi nas do przeszłości, do analizowania spraw, które się

Dr Bogna Szymańska-Kotwica jest doradcą w punkcie anonimowego testowania w kierunku HIV i innych chorób przenoszonych drogą płciową; psycholog Minds of Hope. Ukończyła studia podyplomowe z interwencji kryzysowej i terapii poznawczo-behawioralnej. Obecnie kształci się w dziedzinie uważności i współczucia.

eprasa.pl 5d1cf814c4

wydarzyły. Albo do przyszłości: co zrobię, jak wyjdę ze szpitala, gdzie pojadę na wakacje.

Nie ma zakotwiczenia w tu i teraz.

– Najważniejsze jest czerpanie z chwili bieżącej. Umysł zapomina, co mogę dla siebie zrobić w warunkach, jakie mam, czy coś sprawiłoby mi satysfakcję. To mogą być bardzo proste czynności, jak obserwowanie zmieniającej się przyrody, jeśli jest taka możliwość. Lew Tołstoj powiedział, że jest jeden najważniejszy czas: teraz. To powtarzam pielęgniarkom, a one pacjentom. Wtedy one czują się pewniej i pacjenci też.

Słyszę właśnie głos specjalistki od uważności. Jak to powiedział Jon Kabat Zinn: „Nie możesz powstrzymać fal, ale możesz uczyć się surfować".

– Tak samo jest z koronawirusem, nie możemy go zatrzymać, nakazać mu zniknąć z organizmu, ale możemy próbować dostroić się do nowych warunków.

Dla pacjentów covidowych podobno okropne jest to, że nie mają kontaktu z twarzą, zamiast niej widzą skafandry.

– Gdy rozmawiam przez maseczkę, sama czuję dyskomfort. Mimika zdradza emocje. Pani doktor, informując mnie o wyniku badań, zdjęła maseczkę, założyła przyłbicę, żebym mogła widzieć jej twarz. Ma to ludzki wymiar. Strój personelu medycznego na oddziale zakaźnym wzbudza niepokój: te gogle, maseczki, kombinezony, dodatkowe ochraniacze.

Jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi na niemoc.

Starsi ludzie czasami reagują lękiem. Zdarzało się, że pacjent na widok tak ubranego lekarza wpadał w stan psychozy. Ktoś tak sterylnie ubrany może budzić grozę, niechęć, opór.

Ważne zatem jest bycie autentycznym, pokazanie prawdziwych emocji, zarówno przez pacjenta, jak i osobę mu pomagającą.

– W wymiarze epidemiologicznym: jest pandemia, trzeba się do niej dostosować. Ale natura ludzka jest przekorna. Wokół widzę zachowania coraz mniej odpowiedzialne – skoro nie ma odgórnego nakazu noszenia maseczek, wolno wszystko. Gubimy zdrowy rozsądek.

Niestety, obywatele poczuli się skołowani, kiedy najpierw minister zdrowia twierdził, że nie nosimy maseczek, bo to bez sensu, następnie stworzył rozporządzenia o noszeniu maseczek po to, by brat sprzedał ten towar.

– I jak teraz przekonać grupę ludzi zarażonych, że noszenie maseczek ma duże znaczenie? Społeczeństwo zdało egzamin, ale nie ci, którzy mieli być autorytetami. Mało tego, strzelili sobie w kolano. Koronawirus jest jak gra planszowa, do której nie ma jednej precyzyjnej instrukcji. W grach możemy podważać zasady, tylko po co?

Pandemia ma o wiele większy zasięg emocjonalny, niż nam się wydaje.

Łamane są zasady społeczne, „twój ból jest lepszy niż mój". Ale gra toczy się też między chorym a jego bliskimi, bo nie mówią sobie prawdy.

– To zależy od osoby, rodziny, lekarza i od sytuacji. Są pacjenci ciężko chorzy, są tacy, którzy przebywają w szpitalu, ale są mobilni. I są ci odsyłani do domu na kwarantannę. Niektórzy pragną zaangażowania i poświęcenia im uwagi. Z kolei rodzina jest w strachu o zdrowie tej osoby, ma swój próg wytrzymałości. Stara się dawać choremu poczucie bezpieczeństwa i wsparcie, a czasami sama bardziej potrzebuje wsparcia. Inne rodziny zalewają pacjenta troską, wysyłają zdjęcia, rysunki dzieci. To szlachetne, ale czasami co za dużo, to niezdrowo. Jako społeczeństwo uczymy się funkcjonowania w pandemii, chcielibyśmy mieć złotą receptę. Ale każdy z nas ma własne oczekiwania. Im wyższe, tym łatwiej o rozczarowanie, kłótnie w rodzinie. Nasz nastrój w ekstremalnych warunkach potrafi się zmienić w ciągu godziny.

Jak podejść do pacjenta ciężko chorego na COVID-19, jak mu pomóc nazwać emocje?

– Każdy z nas w sytuacji podbramkowej potrzebuje innego wsparcia. Są pacjenci, którzy chcą wiedzieć wszystko, a są tacy, którzy wypierają część informacji. To ma związek z emocjami: jeśli wychodzę od lekarza i nic nie pamiętam, pojawia się stres. Skoro mam niedosyt informacji, złoszczę się na siebie, że mogłam zapytać o to i o tamto. Podstawowe pytanie: czy przeżyję? Emocje rodzą kolejne pytania: co zrobić z domem, z rodziną, jak poukładać sprawy zawodowe, finansowe? Gdy pacjent okrzepnie z początkowego zalewu informacji, przychodzi moment na przeżywanie. To tak jak z pogrzebem bliskiej osoby: do jego momentu jesteśmy zmobilizowani, po pogrzebie dopiero zaczynamy przeżywać. W przypadku koronawirusa w szpitalu trzeba działać szybko i intensywnie. Ale większość pacjentów odsyłanych jest do domu. I tu pojawia się stres związany z kwarantanną, bo np. nie mogę pójść do sklepu. Rodzi się złość i poczucie niemocy, a jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi na niemoc.

Czy pacjent z COVID-19, jak w przypadku choroby nowotworowej, musi przepracować stratę siebie zdrowego?

– Choroby przewlekłe, jak cukrzyca czy nowotwór, są społecznie znane. Koronawirus jest czymś nowym, cały świat wywrócił do góry nogami. Ludzie zawsze chorowali, ale dopiero od pół roku mamy do czynienia z czymś nowym na tak masową skalę. Nikt nie znalazł leku ani szczepionki, a to są kotwice, do których cały świat się odnosi. „Kiedy będzie szczepionka, będziemy spokojniejsi". A to nie musi być prawdą. W każdej chorobie, nawet tej, na którą jest lek, ba, nawet gdy idziemy na zwykłe wyrwanie zęba, pojawia się stres. Lekarze, ratownicy medyczni i pielęgniarki kierują się najnowszymi doniesieniami. Szczególnie lekarz zakaźnik wie mniej więcej, jak leczyć choroby infekcyjne, jak zadbać o BHP na oddziale. Raz w roku są robione ćwiczenia przy użyciu specjalistycznego sprzętu. Z kolei lekarze, którzy weszli w nowy system, w szpitalach jednoimiennych nie mają takiego doświadczenia jak zakaźnicy, stresują się. Dla pacjenta to informacja: nie jest dobrze. Dlatego ważne jest

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d1cf814c4

opanowanie i podejście do koronawirusa z większym dystansem.

Wszyscy boimy się śmierci. Czasami nam się wydaje, że skoro o czymś nie mówimy, to tego nie ma. Działa mechanizm wyparcia.

– A ono jeszcze bardziej utrudnia adaptację do trudnej sytuacji. Nie dopuszczamy do siebie, że nagle może zabraknąć mamy, taty. Są jeszcze młodzi, pracują, więc jak to tak? I to z powodu koronawirusa? Nikt tego nie chciał, nikt nie zgłosił się na ochotnika do zakażenia. Śmierć to oddzielny, olbrzymi temat. W jej obliczu pokazują się rodzinne relacje, ale też powiązania zawodowe. Rodzina zostaje nagle bez tej osoby i nie wie, co robić. Ale jest aspekt o wiele ważniejszy: czy jesteśmy w stanie przygotować się na stratę bliskiej osoby, która uzupełniała nas w życiu codziennym. Po stracie bliskiej osoby boli nas dusza, psychika, ciało. Nie możemy spać, czujemy nudności, zawroty głowy, jesteśmy osowiali. Nie wiem, czy jesteśmy w stanie na to się przygotować.

Czy zdarza się, że lekarz przychodzi do pani i mówi: już nie mogę?

– Lekarze przychodzą znacznie rzadziej niż pielęgniarki. Z przykrością obserwuję, że na świecie jest większa współpraca zespołu medycznego, jest *team*. U nas pielęgniarka to wciąż osoba z niższego szczebla drabiny. Niemniej lekarz też człowiek: musi pójść na dyżur, zostawić dziecko, ma zobowiązania i decyzje do podjęcia. Z perspektywy szpitala zakaźnego widzę jeszcze jedno – tęsknotę za pacjentem innym niż covidowy. Lekarzom brakuje adrenaliny związanej z procesem stawiania diagnozy. Jednoimienne szpitale nie przyjmują innych pacjentów. Przy koronwirusie jest praca rutynowa, powtarzalna. Część lekarzy jest tym znużona. Brak adrenaliny w poszukiwaniu to czynnik wypalający.

Sydrom dr. House'a.

– Jeśli dr House miałby cały czas robić to samo, szybko wypaliłby się w pracy i z niej zrezygnował. Naturą lekarza jest poszukiwanie. W przypadku COVID-19 tego nie ma. Odnośnie do tęsknot – młodzi lekarze, którzy mają małe dzieci, bardzo za nimi tęsknią. Nie ma ich w domu tygodniami. Mieszkają w tymczasowych miejscach, by nie narazić rodziny. Lekarzy drażnią też szybkie zmiany decyzji rządu. Medycznie są przygotowani, mówią, że mają zaufanie do zespołu, jest solidarność zawodowa. Denerwuje ich zmienność procedur, bo odbiera higienę psychiczną, przewidywalność pracy.

Zabroniono im, skądinąd słusznie, pracy w kilku miejscach naraz, zakazano wypowiadania się, co też pewnie na nich źle wpłynęło.

– Na pewno. W gronie lekarskim natomiast – ten wspólny wróg, COVID, ich solidaryzuje. Wypowiadają jedno stanowisko: my lekarze, czujemy się tak, my lekarze odnosimy wrażenie, że… Silne zjednoczenie lekarzy było widoczne już przy strajku rezydentów. Jednak w niektórych szpitalach jest tragedia. Lekarz, który miał pierwszego pacjenta z koronawirusem, był bardzo zestresowany. W naukach dotyczących teorii świadomości mówi się o trzech podstawowych potrzebach: fizjologicznych, bezpieczeństwa, samorealizacji. Z punktu widzenia egzystencjalnego trzy podstawowe potrzeby to: potrzeba bliskości, wolności i rozwoju. Jeśli są ograniczane, doznajemy poczucia dyskomfortu. Z punktu widzenia egzystencjalnego koronawirus zadziałał trochę tak, jakby zabrano nam możliwość załatwiania potrzeb fizjologicznych. Osoba z dużą samoświadomością rozumie, że jeśli ma ograniczone te trzy podstawowe potrzeby jest zła, smutna, rozdrażniona. Nieważne, czy to lekarz, pielęgniarka czy pacjent.

Wielu pacjentów traktuje chorobę jak wstyd, słabość. Chłopakowi, który wrócił z Włoch na początku pandemii, próbowano podpalić dom.

– W przypadku wielu chorób ludzie mają poczucie stygmatyzacji. Każda odmienność dzieli: rasowo, religijnie, na zdrowych i chorych, ładnych i brzydkich. Im więcej tego typu zachowań, tym bardziej jesteśmy obolali jako społeczeństwo, które coraz bardziej cierpi na brak akceptacji i tolerancji. Nadal nie ma modelu wychowywania do odpuszczenia – ktoś może być inny, zaakceptuj to. Niektórzy wstydzą się, że są zakażeni. Nie przyznają się – nieracjonalnie zresztą – w obawie, że stracą jakieś dobra materialne lub swobodę działania. Boją się ostracyzmu. Boją się o relacje z rodziną, z przyjaciółmi. Ale trzeba pamiętać, że jest mnóstwo ludzi, dla których nie ma to znaczenia, bo po drugiej stronie widzą człowieka. Niezależnie od tego, na co chorujesz, jestem z tobą, obchodzisz mnie. To jest bardzo ważne, daje poczucie przynależności do grupy, do społeczeństwa. Z kolei mechanizm autoobronny to: nie, no co ty, nie zaprzątaj sobie mną głowy; moja choroba to mój krzyż, muszę go dźwigać. W terapii behawioralno-poznawczej mówimy o zniekształceniach poznawczych, czyli błędach logicznego myślenia. Takim błędem jest m.in. ocenianie siebie.

Wewnętrzny krytyk, hejter?

– Jeśli samoocena jest wysoka, wszystko jest OK. Ale co się dzieje, jeśli ona spada, bo spotyka nas życiowy kryzys? Tu jest otwarta nie furtka, ale brama do podejścia uważności i współczucia. Spojrzeć na siebie współczującym okiem, nie z politowaniem, biadoleniem, tylko: kurcze, szkoda, że mi się to przytrafiło, mam prawo się smucić, wcale nie muszę brać się w garść, nie muszę sama sobie dowalać. Jeśli ktoś cierpi, podchodzimy do niego empatycznie. Jednak sami jako pacjenci mówimy sobie: trzeba się wziąć w garść. A może by zmienić przykazanie: kochaj siebie samego, jak bliźniego swego. Zamiast być nadmiernie krytycznym, lamentującym, może warto na siebie popatrzeć ze współczuciem: obym się wyleczył, obym mógł być w pełni sił. Tego życzę wszystkim moim pacjentom: oby pan szybko wstał z łóżka, oby szybko wrócił do pracy.

Beata Igielska

Nagle wartością jest to, że ktoś się do mnie odezwał, że mogę przez Skype'a zobaczyć wnuki.

Zamiast być nadmiernie krytycznym, warto na siebie popatrzeć z troską: obym się wyleczył, obym mógł być w pełni sił.

eprasa.pl 5d1cf814c4

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Znikanie Polski

Liczą głosy. Liczymy na to, że dobrze je policzą, choć przypuszczamy, że się z nami nie liczą – z niczym się nie liczą od lat, dawali na to niezliczone dowody; no ale teraz to się z nimi policzymy, jakby co? Ktokolwiek wygra, pęknięcie się pogłębi; połowa Polaków jeszcze bardziej będzie nienawidzić tę drugą połowę, a ja zachodzę w głowę, czemu zawdzięczamy to, że tu wciąż ani Rwanda, ani Srebrenica – jakim cudem, jak długo można tak się nienawidzić bez wyrzynki? Może to jednak znak dojrzałości społecznej, ucywilizowania obyczajów, może naród potrafi pozostać na poziomie wojny symbolicznej i choć werbalnie w środkach nie przebiera, na pluciu poprzestanie? Ze wstydu? Bo co o nas powiedzą, jak się zaczniemy brać na widły? Przecież mają nas za parweniuszy na europejskich salonach, musimy więc uważać w dwójnasób, innym ujdzie to, co nas zdyskwalifikuje? Przecież w nobliwym brytyjskim parlamencie nieraz już po mordach się lali, a i w innych wiodących demokracjach Europy gorączka obrad sejmowych prowadziła do rękoczynów… A my tacy grzeczni, na Wiejskiej włos jeszcze z głowy nigdy nikomu, połajanki, i owszem, ale też jakieś łagodniutkie, no bo „mordy zdradzieckie" i „chamska hołota" to zaprawdę literatura w porównaniu z tym, co na usta zwaśnionych stronnictw się ciśnie. Może Polacy ujadają jak te ratlery wiecznie zalęknione, może tak wzdłuż płotu obszczekują się tylko w tę i we w tę, natychmiast zgodnie milknąc, kiedy dobiegną do otwartej furtki?

Łudzę się, ale w tym złudzeniu jest metoda: kruk krukowi oka nie wykole, no chyba że jego kruczość podważy i unieważni. Historia nas uczy, że Polacy i do pogromów skorzy, tylko swoich nie biją; trzeba zatem przeciwnika od-swoić, wyobcować, a wtedy już huzia, mogą być i maczety, rwandyjskie tradycje militarne podtrzymują wszak od lat kibole, ze szczególnym upodobaniem ci krakowscy, co to paktu o nieużywaniu białej broni w ustawkach nigdy nie przestrzegali. Przemoc zaczyna się tam, gdzie rezygnuje się z dialogu; gdzie próba porozumienia jest wręcz niepożądana, może być odczytana jako oznaka słabości.

„Z nimi nie ma rozmowy", „szkoda gadać", „nie ma co sobie strzępić języka" – to jest ten etap, za którym czeka eksterminacja przeciwników. Nie mam wątpliwości, że cały ten cyrk „debat" z pustymi mównicami, który okrył nas hańbą na cały świat, ten najkoszmarniejszy *polish joke* stulecia wynika wyłącznie z cynicznego uniku sztabowców Dudy, przekonanych niebezpodstawnie, że pacynka Kaczyńskiego retorycznie nie da rady Trzaskowskiemu, w debacie przeprowadzonej na uczciwych warunkach zyskać niczego nie może, sukcesem będzie, jeśli nie straci – a w obliczu tak wyrównanych sondaży każda strata może się okazać niepowetowana. Dlatego postawiono na ostateczny, bezdyskusyjny rozłam. Każda, nawet najbardziej pokraczna próba porozumienia, choćby i taka jak w legendarnej animacji czeskiego surrealisty Jana Szwankmajera („Wymiar dialogu" powinien być obowiązkową lekturą audiowizualną wszystkich posłów) – jest lepsza od milczenia. Kłótnia jest sporem dwóch podmiotów uznających swoje istnienie, tymczasem za sprawą pustej mównicy z nazwiskiem kontrkandydata nasi politycy dokonali symbolicznej likwidacji oponentów, zrealizowali infantylne pragnienie unicestwienia przeciwnika: „chciałbym, żeby zniknął". Nie ma go, więc nie może mieć racji. Ale, ale – tak bardzo go nie ma, że aż jest; wodzirej wieczoru TVP tak często podkreślał nieobecność Trzaskowskiego, że zrobiło się go więcej od Dudy: lepsza Wielka Nieobecność od niewielkiej obecności.

Ktokolwiek wygra, pęknięcie się pogłębi; połowa Polaków jeszcze bardziej będzie nienawidzić tę drugą połowę.

W tym sensie broń obraca się ostrzem przeciw użytkownikowi – nie można wygrać z kimś, kogo nie ma. Skończył się ten smutny wieczór obustronnym walkowerem, ba, był i trzeci wielki przegrany – Polska. Kandydaci na prezydentów ostatecznie dowiedli, że porozumienia nie będzie, że jest ono nawet niestosowne, niechciane, to na nieporozumieniu będą przeć ku zwycięstwu. Była ta debata absurdem na miarę pamiętnego synodu trupiego – sądu nad wykopanymi z grobu i ubranymi w szaty pontyfikalne zwłokami papieża Formozusa, który z milczącą aprobatą znosił wszelkie oskarżenia, amputację palców oraz ćwiartowanie. Albo jak montypythonowski *talk-show* o życiu po śmierci z udziałem nieboszczyków (prowadzący zadawał pytanie każdemu z osobna i trzy milczące odpowiedzi utwierdziły go w przekonaniu, że życie po śmierci nie istnieje).

Trochę te porównania na wyrost, bo tam mieliśmy do czynienia z abiektami – antypodmiotami, w „debacie prezydenckiej" zabrakło nawet tego – oponenci zostali po prostu zniknięci. To jest bardzo zły, zatrważająco fatalny sygnał dla ludu: z tą drugą połową Polski nie warto już nawet się kłócić, należy ją zniknąć.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d1cf814c4

Szczepienia – polisa na zdrowie

Im mniej ludzi niepotrzebnie unikających szczepień, tym bezpieczniej będziemy żyli

Rozmawia Katarzyna Nowak

PROF. JACEK WYSOCKI
– pediatra, specjalista chorób zakaźnych, kierownik Katedry i Zakładu Profilaktyki Zdrowotnej Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Wakcynologii.

Jesteśmy na etapie odmrażania życia społecznego. Jak przeprowadzić je bezpiecznie pod kątem profilaktyki chorób zakaźnych?

– Bezpieczne odmrażanie życia społecznego jest możliwe tylko ze szczepieniami ochronnymi. Do połowy marca br. sezon zachorowań na choroby zakaźne wśród dzieci przebiegał jak każdy inny. Gdy zamknięto żłobki, przedszkola i szkoły, odnotowaliśmy szybki spadek liczby przypadków grypy, zakażeń pneumokokami, a nawet meningokokami. Obecnie przedszkola i żłobki wracają do aktywności, a dzieci szkolne wyjeżdżają na zorganizowane wakacje. Mamy więc dwa problemy. Po pierwsze, obawiamy się, że powrót dzieci do zbiorowości zwiększy liczbę zakażeń na SARS-CoV-2, a ofiarami tego będą niekoniecznie dzieci, które często chorują bezobjawowo i stanowią 1-2% chorych na COVID-19 w Polsce, tylko ich rodzice i dziadkowie. Po drugie, chcielibyśmy uniknąć sytuacji, gdy sezonowy wzrost zachorowań na grypę czy pneumokoki nałoży się na zakażenia SARS-CoV-2. Dlatego tak potrzebne są szczepienia.

Na ich temat wciąż krąży wiele mitów…

– Te mity są najczęściej tworzone przez osoby lub organizacje niemające nic wspólnego z ochroną zdrowia. Przeciętny rodzic nie zdaje sobie sprawy z tego, jak zmieniło się życie dzieci w ciągu ostatnich 100 lat. Polski rocznik statystyczny z roku 1920 podaje, że wskaźnik umieralności niemowląt wynosił 187 na 1000 żywo urodzonych (czyli tyle niemowląt nie dożyło końca pierwszego roku), a dzisiaj wynosi pięć. W 80% jest to zasługa szczepień ochronnych. One zmieniły świat.

Jak wygląda polski kalendarz szczepień na tle Europy i świata?

– Jest średni, ani bardzo ubogi, ani bardzo bogaty. W jednym przypadku używamy starej szczepionki pełnokomórkowej – przeciwko krztuścowi. Problem z nią polega na tym, że nie występuje w szczepionkach wieloskładnikowych. Poza tym wiele szczepionek, np. przeciwko ospie wietrznej, rotawirusom czy meningokokom, które u nas są wśród szczepień zalecanych, a więc płatnych, w innych krajach jest refundowanych.

Jak ważne są szczepienia zalecane?

– Są bardzo istotne i warto je wykonać. Dobrym przykładem jest szczepienie przeciwko rotawirusom, odpowiedzialnym za zakażenia przewodu pokarmowego. Wywołują biegunkę z wymiotami i gorączką. W naszych warunkach nie są groźne dla życia, ale powodują, że dziecko musi trafić do szpitala. Poza tym zakażenia rotawirusowe szerzą się na oddziałach szpitalnych, więc dziecko, które trafi tam z powodu innej choroby, może się nimi zakazić.

Jak pandemia koronawirusa wpłynęła na szczepienia ochronne?

– Początkowo obawiano się, że objawy infekcji koronawirusem nałożą się na ewentualne działania niepożądane szczepień, dlatego zostały one zawieszone. Wiele organizacji międzynarodowych zwracało jednak uwagę, że nie ma przeciwwskazań do prowadzenia szczepień w czasie pandemii, trzeba tylko robić to bezpiecznie. Nie samo szczepienie stwarza bowiem zagrożenie, lecz gromadzenie się wielu pacjentów w poradniach. 17 kwietnia br. Ministerstwo Zdrowia wydało więc dyrektywę, zgodnie z którą nie wolno przerywać

FOT. PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 5d1cf814c4

szczepień u noworodków, a w dalszej kolejności należy zorganizować szczepienia dla dzieci w pierwszym i drugim roku życia oraz – w miarę możliwości – dla pozostałych.

Niektórzy rodzice w czasie pandemii odwlekają szczepienia zalecane.

– Takie postępowanie nie ma merytorycznego uzasadnienia. Przykładem może być dziecko sześciotygodniowe, które ma dostać, według programu podstawowego, cztery zastrzyki w czasie jednej wizyty. Rodzic, sięgając po szczepienia zalecane, może zdecydować o podaniu ich w dwóch zastrzykach, co jest mniej obciążające. Jest też druga grupa szczepień zalecanych, które mają swoje okienka podań. Należy do nich m.in. szczepionka przeciw rotawirusom. Można – w zależności od produktu – zaszczepić na nie dziecko w wieku pomiędzy szóstym a 24. (lub 32.) tygodniem życia, nie później. Szczepionka składa się z dwóch lub trzech doustnych dawek. Jeśli więc rodzice postanowią, że dziecko dostanie ją, gdy np. skończy pół roku, to takiej możliwości już nie będzie.

A co z meningokokami?

– Jest to kolejne ważne szczepienie, którego nie należy odkładać. Meningokoki sieją największe spustoszenie w organizmie niemowląt, stanowią bezpośrednie zagrożenie dla ich życia. Biorąc pod uwagę epidemiologię, w Polsce najpilniejsze jest podanie szczepionki przeciwko meningokokom typu B, bo to one najczęściej wywołują zakażenia. Szczepienia można zacząć, kiedy dziecko skończy dwa miesiące. Podaje się dwie dawki w pierwszym roku życia, a trzecią w drugim roku. O tym, jak je podać i połączyć z innymi szczepionkami, trzeba porozmawiać z lekarzem. Warto też pomyśleć o szczepionce, która obejmuje cztery pozostałe serogrupy meningokoków.

Zdarza się jednak, że lekarz odradza szczepienia.

– Od takiego lekarza należy uciekać. Czasem dotyczy to tych lekarzy, którzy nie mają nic wspólnego z leczeniem chorób zakaźnych. Takich kolegów zaprosiłbym na swój oddział, bo nie wiedzą, jak wygląda dziecko, które się dusi z powodu krztuśca czy umiera w wyniku zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych. Ja wiem. I dlatego mówię rodzicom: szczepienie jest polisą na zdrowie.

Co to znaczy?

– Rodzice mawiają, że groźne choroby zakaźne nie zdarzają się często, więc może nie warto szczepić dziecka. A ja mówię: ze szczepieniami jest jak z polisą, gdy ubezpieczamy samochód. Wydajemy pieniądze, ale jesteśmy szczęśliwi, jeśli nie musimy z tej polisy korzystać. Jeżeli nasze dziecko będzie zaszczepione i nie zetknie się z groźną chorobą, to możemy tylko się cieszyć. Oznacza to, że jako społeczeństwo obroniliśmy się przed niebezpieczeństwem, że mamy odporność populacyjną.

Dlaczego odporność populacyjna jest tak ważna?

– Co oznacza brak takiej odporności, widać po skutkach pojawienia się nowego wirusa, na który nie ma szczepionki. Odra widoczna jest tylko w małych epidemiach, bo większość społeczeństwa jest przeciwko niej zaszczepiona. Żeby się nie rozprzestrzeniała, 95% obywateli musi być na nią odpornych. Im mniej ludzi niepotrzebnie unikających szczepień, tym bezpieczniej będziemy żyli.

Czy ruchy antyszczepionkowe słabną?

– Do roku 2018 obserwowaliśmy zwiększanie się liczby rodziców, którzy odmawiali wykonania szczepień. Gdy potem pojawiła się w Polsce mała epidemia zachorowań na odrę, podatność na ruchy antyszczepionkowe spadła. Na świecie, w Polsce również, szacuje się, że rodzice, którzy odmawiają zaszczepienia dzieci, stanowią 1-3%. Z nimi nie ma dyskusji, nie przyjmują żadnych argumentów. Oni po prostu chcą żyć inaczej. Nowym zjawiskiem jest to, że rodzice, którzy normalnie podchodzą do szczepienia, nie chcą mieć takich dzieci w otoczeniu swoich. Dlatego w wielu żłobkach i przedszkolach przy przyjęciu rutynowo prosi się o przedłożenie książeczki szczepień.

Jakie są przeciwwskazania do szczepień?

– Nie szczepimy dzieci chorych, mających objawy infekcji, ciężkie uczulenie czy ciężkie działania niepożądane po poprzednich szczepieniach. Natomiast w przypadku dzieci z chorobami przewlekłymi (np. z padaczką, zaburzeniami odporności czy z chorobami nowotworowymi) to lekarz wskaże, kiedy i jaką szczepionką można takie dziecko zaszczepić.

100 lat temu umierało 187 na 1000 niemowląt, dzisiaj – pięcioro. To w 80% efekt szczepień ochronnych.

Wywiad przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia

eprasa.pl 5d1cf814c4

Cicha śmierć jaguarów

Majestatyczne koty masowo wymierają – głównie przez zglobalizowaną gospodarkę

Mateusz Mazzini

Chichén Itzá to jeden z najbardziej znanych zabytków kultury prekolumbijskiej. Położony na meksykańskim półwyspie Jukatan kompleks sakralny zbudowany przez Majów w pierwszym tysiącleciu naszej ery pełnił ważną funkcję polityczną, religijną i gospodarczą. Pobliskie zbiorniki wodne i rozwinięty wokół nich system irygacyjny pozwalały na nawadnianie pól i zwiększenie wydajności upraw. W mieście odbywały się rytualne ceremonie na cześć bogów Majów. Tam też koronowano nowego władcę państwa, przeprowadzając go przez bramę świątyni, na której fasadzie wyryta była procesja jaguarów.

Obecność tych dzikich kotów w miejscu tak ważnym jak budynek koronacyjny nie była przypadkiem. Jaguar bowiem to jedno ze świętych zwierząt w niemal wszystkich prekolumbijskich kulturach Ameryki Południowej i Centralnej. Pokazuje to zresztą etymologia nazwy zwierzęcia: ten, który zabija jednym uderzeniem. Występujący naturalnie na całym tym terenie, od Argentyny po środkowy Meksyk, drapieżnik przez wiele cywilizacji był uważany za wcielenie bóstw. Dla Majów był bogiem zaświatów, czuwającym nad życiem pozagrobowym. Aztekowie widzieli w nim uosobienie siły, odwagi i wojowniczego ducha. Świątynie budowali mu też kontrolujący ogromne południowe imperium Inkowie. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wielki kot był czczony z najwyższą powagą.

Dziś z wierzeń, kultów i cywilizacji tamtych czasów pozostały tylko ruiny i barwne historie. Nie wytrzymały zderzenia z przybyszami z Europy, którzy w czasie chrześcijańskiego podboju Nowego Świata mordowali i równali z ziemią wszystko, co napotkali na swojej drodze. Losy państw prekolumbijskich stanowią niestety metaforę tego, co dziś dzieje się z ich świętym kotem. Stopniowo pozbawiany naturalnych siedlisk, zabijany dla trofeów i domniemanych właściwości leczniczych jaguar lada moment może się stać gatunkiem zagrożonym w skali nie tylko pojedynczego państwa, ale i świata.

Trudno precyzyjnie określić, ile jaguarów zostało. Cytowani przez magazyn „National Geographic" naukowcy z amerykańskiego Oregon State University szacują, że jeszcze ok. 173 tys., aż o jedną czwartą mniej niż 25 lat temu. Najwięcej żyje nadal na terenach trudno dostępnych dla człowieka – w amazońskiej dżungli i w lasach tropikalnych Ameryki Centralnej. Tych terenów niestety ubywa. Agresywna ekspansja przemysłowego rolnictwa i nowe inwestycje infrastrukturalne sprawiają, że koty coraz częściej znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie skupisk ludzkich. Co więcej, dżungla, która wcześniej nie tylko była ich domem, ale również dawała osłonę przed myśliwymi i kolekcjonerami trofeów, przestaje pełnić

eprasa.pl 5d1cf814c4

zwłaszcza tę drugą funkcję. W efekcie już niedługo jaguary mogą podzielić los cywilizacji, które czciły je jako najwyższe bóstwa.

Nawet 90% żyjących jeszcze drapieżników zamieszkuje amazońską dżunglę – głównie na terenie Brazylii, choć często migrują; żyją też w Boliwii i Peru. Las tropikalny był też dla nich ważny z powodu genetycznego przemieszania i krzyżowania się poszczególnych grup. Naukowcy z Programu Ochrony Środowiska ONZ zauważają, że jeszcze 20 lat temu większość populacji jaguarów w Ameryce Południowej i Centralnej była w jakiś sposób spokrewniona. Wszystko dzięki dżungli, która, rozciągając się od północnej Argentyny niemal nieprzerwanie do granic Meksyku, tworzyła ukrytą autostradę. Jaguary wędrowały w poszukiwaniu nowych siedlisk i partnerów. Miejscem kluczowym do zapewnienia tego przepływu genów była Panama, kraj łączący oba regiony i stanowiący pomost między północną a południową częścią lasów tropikalnych.

I choć tamtejsze władze przynajmniej teoretycznie starają się chronić dzikie zwierzęta i środowisko naturalne, logika biznesu wygrywa w Panamie z ekologią, kosztem m.in. jaguarów. Pierwszą olbrzymią przeszkodą dla nich stał się oczywiście Kanał Panamski – sztuczna droga wodna dzieląca kontynent na pół, nie tylko niszcząca siedliska wielu gatunków, ale i naruszająca ich szlaki migracyjne czy tereny łowieckie. Wprawdzie wokół kanału stworzono sieć parków narodowych, ale, jak informuje ONZ, ostatni raz jaguara widziano w nich w 2008 r. Dawno, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie tam swego czasu wielkich kotów było najwięcej w całej Ameryce Centralnej.

Dziś zabójczy jest dla nich nie tylko sam kanał, ale przede wszystkim rozwój przemysłu i urbanizacja wokół niego. Ricardo Moreno, badacz ze Smithsonian Tropical Research Institute w Panamie, zauważa, że ekspansja człowieka wzdłuż przeprawy zmusiła jaguary do ucieczki na południe kraju albo do zgrupowania się w małych, odizolowanych jego częściach. To dla nich zabójcze, bo jaguar – kot ważący od 100 do nawet 140 kg – potrzebuje ogromnych przestrzeni do życia i polowania. A że wyniszczanie lasów szkodzi też innym zwierzętom, ma mniej pożywienia. W konsekwencji szuka go tam, gdzie relatywnie łatwo je zdobyć – na wielkich farmach przemysłowych. Im bardziej rolnicy wrzynają się w las tropikalny, wypalając go pod pastwiska, tym mocniej wchodzą na tereny jaguara. A krowy w zagrodach to dla niego łatwy cel. Oczywiście farmerzy bronią swoich stad, więc z dzikimi kotami starają się walczyć, najczęściej bronią palną. Według Ricarda Morena tylko od 1989 r. hodowcy bydła w Panamie zastrzelili 360 jaguarów, które weszły na teren ich gospodarstw.

Proceder zabijania tych zwierząt przez farmerów i wielki przemysł nasila się również w Brazylii. Jej „cywilizacyjna misja" w Amazonii trwa od dekad, ale w ostatnich latach mocno przyśpieszyła, również za sprawą antyekologicznej prezydentury Jaira Bolsonara. Ultrakonserwatywny polityk w ochronie środowiska widzi zaprzepaszczoną szansę na rozwój gospodarczy, dlatego pragnie otworzyć dżunglę dla przemysłu i hodowli na ogromną skalę. W 2019 r. jego administracja przepchnęła przez parlament kontrowersyjną ustawę znoszącą zakaz komercyjnych polowań w brazylijskiej Amazonii. Kolekcjonerzy zwierzęcych trofeów na powrót zaczęli zjeżdżać się do dżungli, by strzelać do już uznawanych za zagrożone papug, wydr czy właśnie jaguarów. Co prawda, zwolennicy Bolsonara bronią ustawy, argumentując, że 30% zysków z pozwoleń na polowania będzie przeznaczone na dofinansowanie parków narodowych, ale sam prezydent głośno domaga się ograniczenia obszarów chronionych, mówiąc, że ranczerzy i przemysł potrzebują więcej miejsca. Dodatkowo ekolodzy alarmują, że na zniesieniu zakazu zyskają przede wszystkim brazylijscy producenci broni, którzy zaopatrują w strzelby i amunicję polujących turystów, głównie tych ze Stanów Zjednoczonych.

Zagrożeniem dla jaguarów są jednak nie tylko lokalni politycy, przedsiębiorcy czy hodowcy bydła. Wielkie koty giną również dlatego, że na ich terenach coraz silniejszym graczem stają się Chiny. W Ameryce Południowej i Centralnej coraz więcej jest bezpośrednich inwestycji firm z Państwa Środka, w ślad za którymi idą często masowe migracje robotników. A dla nich jaguar ma właściwości lecznicze. Dlatego polują na te dzikie koty, a ich zęby i łby szmuglują do Chin. Między 2012 a 2018 r. brazylijska służba celna przechwyciła ponad 2 tys. nielegalnie wywożonych do Azji części ciała jaguarów. Jaguary popularność na Dalekim Wschodzie zawdzięczają też podobieństwu do tygrysów. Tych drugich jest w Azji coraz mniej, więc jaguar dla myśliwych i domorosłych medyków stał się ich substytutem. Jego zęby używane są do produkcji biżuterii oraz specyfików m.in. na potencję. Przemyt do Chin, nie tylko z Brazylii, ale także z Hondurasu czy Belize, jest możliwy również dlatego, że tamtejsi celnicy są nastawieni na walkę z przemytem narkotyków, więc szmugiel trofeów zwierzęcych często pozostaje niezauważony.

Kurczenie się populacji jaguarów w Ameryce Południowej i Środkowej skupia w sobie prawie wszystkie największe problemy światowych programów ochrony dzikich gatunków. Wielkich kotów jest coraz mniej, bo na ich szkodę działają coraz powszechniejsze procesy globalne. Ekspansja przemysłu i hodowli na obszarach tropikalnych, rządy klimatycznych i środowiskowych negacjonistów oraz globalizacja handlu, umożliwiająca coraz łatwiejszy przemyt zwierzęcych trofeów, każą widzieć przyszłość jaguarów w czarnych barwach. Niegdysiejszy pan prekolumbijskich zaświatów może naprawdę zniknąć ze świata żywych. ■

Najwięcej jaguarów żyje na terenach trudno dostępnych – w amazońskiej dżungli i w lasach tropikalnych Ameryki Centralnej.

Ekspansja rolnictwa i nowe inwestycje sprawiają, że wielkie koty coraz częściej znajdują się w sąsiedztwie skupisk ludzkich.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5d1cf814c4

PORTRETPROWINCJI.PL Jacenty Dędek

To był długoterminowy projekt – powstawał przez sześć i pół roku, między styczniem 2011 r. a połową 2017 r. Zwieńczyło go wydanie książki ze 150 fotografiami, wielowątkowej opowieści o ludziach z małych miejscowości, przedstawianej za pomocą poruszających portretów i licznych zdjęć dokumentalno-reporterskich dotykających ważnych aspektów społecznych małomiasteczkowego życia: relacji międzyludzkich, szarości dnia codziennego, szans na przyszłość. Zdjęcia powstały przy użyciu klasycznego aparatu wielkoformatowego 4×5''. Ich autor, Jacenty Dędek, urodzony w 1966 r. w Częstochowie, jest niezależnym fotografem, dokumentalistą. Przez ponad 10 lat współpracował z polską edycją „National Geographic".

FOT. JACENTY DĘDEK/PORTRETPROWINCJI.PL/MATERIAŁY PRASOWE

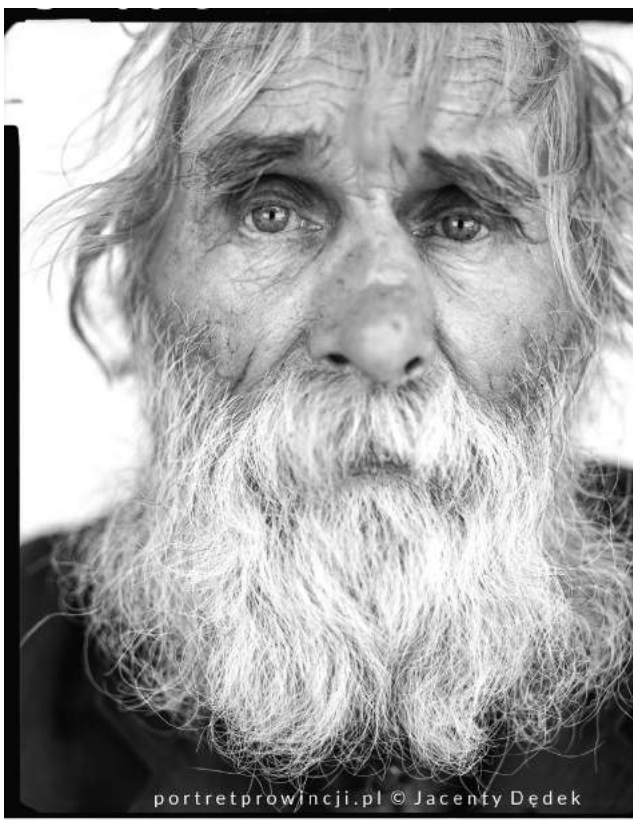

eprasa.pl 5d1cf814c4

Mikołaj Buczak

Życie to bar

Hiszpan wie, który bar jest najlepszy – ten blisko domu, gdzie kawa jest smaczniejsza, jedzenie świeższe, a wino tańsze i lepsze niż gdziekolwiek indziej

Hiszpania zajmuje pierwsze miejsce na świecie pod względem liczby lokali gastronomicznych – jest ich 260 tys.* Dla porównania: w Polsce pod koniec 2016 r. było ich nieco ponad 69 tys. Hiszpańskie media często jednak upraszczają te dane, stwierdzając, że na jeden bar przypada 175 mieszkańców. Nie jest to prawdą, ponieważ te statystyki obejmują także restauracje. Tak czy inaczej, według hiszpańskiej Federacji Hotelarzy i Restauratorów (Federación Española de Hostelería) w całym kraju działa 101 397 barów, co oznacza, że na 1000 mieszkańców przypadają średnio nieco ponad dwa bary, a w niektórych miastach (powyżej 50 tys. mieszkańców), jak León w północno-zachodniej Hiszpanii, ponad pięć.

Ze wszystkich miejscowości w kraju, bez względu na liczbę mieszkańców, na pierwszym miejscu plasuje się położone w Pirenejach turystyczne miasteczko Sallent de Gállego (Aragonia) – 15,7 baru na 1000 mieszkańców.

Czym jest jednak tak naprawdę hiszpański bar? Nie zawsze ma wiele wspólnego z naszym wyobrażeniem o takim miejscu. Hiszpańskie *bares* bardzo często otwarte są od wczesnych godzin rannych i oferują w zależności od pory dnia wszelkiego rodzaju kawy, alkohole, *tapas*, kanapki, ale także słodkości jak croissanty czy *churros* – smażone w głębokim tłuszczu, niesłodkie ciasto parzone. Bary są nie tylko miejscem porannej kawy, popołudniowej przekąski czy wieczornych, okazjonalnych spotkań, ale także częścią każdego dnia. Każdy Hiszpan wie, który bar jest najlepszy, a jest to oczywiście *bar de toda la vida* (bar na całe życie), czyli najczęściej ten, który znajduje się blisko domu, do którego chodziło się w dzieciństwie z rodzicami na śniadanie, gdzie kawa jest smaczniejsza, jedzenie świeższe, a wino tańsze i lepsze niż gdziekolwiek indziej. *Bar de toda la vida* jest też zawsze pełen znajomych i sąsiadów, a pracownicy to prawie rodzina, dlatego dla kelnerów klienci też mogą być „na całe życie" (*cliente de toda la vida*). Według badań przeprowadzonych przez Coca-Colę więź między klientami a kelnerami jest tak silna, że dwie na trzy osoby wiedzą, jak kelnerzy w ich ulubionych barach mają na imię, a 28% powierzyłoby im klucze od swojego domu na czas wyjazdu.

Idealnie by było, gdyby bar był do tego *cutre*, które to słowo prawie zawsze tłumaczę na polski jako „dziadowy". Dużo ludzi, trochę stare, lepiące się blaty stołów i zatłuszczone serwetki na podłodze to gwarancja jakości. Jeśli bar jest dobry, to przecież nie ma czasu na dokładne sprzątanie. Czysty bar w piątek wieczorem oznacza często, że miejsce jest hipsterskie (*moderno*, które oznacza także „nowoczesny") albo

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 5d1cf814c4

że nie ma kogo obsługiwać, bo coś jest nie tak.

W każdym „prawdziwym" barze musi się też znaleźć *máquina tragaperras* (jednoręki bandyta) czy inna maszyna, do której ostatnimi czasy zbyt wielu Hiszpanów wrzuca swoje monety. Ostatnim elementem niezbędnego wyposażenia jest telewizor, w którym zawsze leci jakiś mecz, program rozrywkowy czy teleturniej. (...)

Chociaż Hiszpania kojarzy się głównie z winem, to jednak w barach króluje złocisty trunek. Według badań Beer Statistics Hiszpanie wypili w 2018 r. średnio 48 litrów piwa na osobę. Nie jest to wynik powalający (ale czy powinien być?) w porównaniu np. z Polską, która uplasowała się na czwartym miejscu, z wynikiem 97 litrów. Rekordy popularności bije oczywiście piwo jasne, nazywane blondynką (*rubia*). Brunetka (*morena* lub *negra*), czyli ciemne piwo, zostaje daleko w tyle, niekoniecznie ze względu na smak, ale na cenę oraz dostępność. Żeby jednak nie odstawać tak bardzo od reszty Europy, Hiszpania za to bardzo dużo piwa produkuje: w 2017 r. 37 621 hektolitrów, tuż za Polską na trzecim miejscu, z wynikiem 40 382 hektolitrów.

Hiszpańskie *bares* często otwarte są od wczesnych godzin rannych i oferują wszelkie kawy, tapas, kanapki i słodkości.

Skąd się bierze aż tak duża popularność barów? Myślę, że ma na to wpływ kilka czynników. Jednym z najważniejszych może być ich liczba, ale także ceny. Aby napić się kawy w Hiszpanii, potrzebujemy ok. 1,5 euro, jeśli dodać do tego stolik na tarasie w słońcu oraz licznych znajomych, których możemy spotkać, wygląda to na idealne rozpoczęcie dnia. (...)

A co się jada w barze? To samo, co w domu. Absolutnym hitem jest *tortilla de patatas*, która jest ulubionym daniem barowym dla 47% Hiszpanów. I choć jest to tortilla, nie ma nic wspólnego z płaskim plackiem znanym z kuchni meksykańskiej i polskich barów szybkiej obsługi. *Tortilla de patatas* jest świętością, a jej składniki mogą nawet budzić kontrowersje. Podstawowy przepis mówi o dwóch: ziemniakach, pokrojonych w zależności od preferencji w kostki, romby lub plastry, i jajkach. I tu pojawiają się dwie sporne kwestie, które podzieliły Hiszpanów na wrogie frakcje. Pierwsza z nich to to, czy do tortilli należy dodawać cebulę, czy też nie. Składnik okazał się na tyle kontrowersyjny, że co jakiś czas w mediach pojawiają się reportaże, ankiety, testy i artykuły mające udowodnić, która wersja jest lepsza. Drugą kwestią są ziemniaki: powinno się je trochę podgotować czy podsmażyć? Bez względu na to, którą opcję się wybierze, do ziemniaków dolewa się jajka (z cebulą lub bez niej), a całą masę wlewa na patelnię. Po kilku minutach przykrywa się patelnię i odwraca do góry dnem, a ziemniaczany omlet zsuwa się z powrotem, aby się przyrumienił. Kawałek *tortilla de patatas* z bagietką jest bardzo popularnym daniem śniadaniowym, ale także wieczornym, jako dodatek do piwa czy wina. W zależności od baru może być ona bardzo cienka lub gruba na kilka centymetrów, a także dość sucha w środku albo bardzo wilgotna, z wylewającymi się, lekko surowymi jajkami.

Drugim popularnym daniem, które wybiera prawie 28% klientów, jest *paella*. Gdy zapytamy przeciętnego Hiszpana, czym jest, zapewne odpowie: *vrròs con cosas* (ryż z różnymi rzeczami). *Paella* przez wiele dekad była potrawą ludzi prostych, którzy po ciężkiej pracy na wolnym powietrzu musieli zjeść coś jednocześnie pożywnego i taniego. Podstawą dania był ryż, do którego dodawano mięso królika, kurczaka oraz warzywa sezonowe, a także szafran i oliwę z oliwek. (...)

Dużo ludzi, trochę stare, lepiące się blaty stołów i zatłuszczone serwetki na podłodze to gwarancja jakości.

Tradycyjna wersja potrawy, czyli *paella valenciana*, oprócz specjalnego ryżu o krótkich ziarenkach (*arròs bomba*) oraz mięsa królika i kurczaka zawiera także warzywa, takie jak zielona fasolka, fasolka półksiężycowata (nazywana po katalońsku *garrofó*), a także szafran, który nadaje daniu charakterystyczny, intensywnie żółty kolor. Kuchnia jednak nie jest statyczna, więc pojawiło się wiele różnych wersji dania, jak *paella marinera*, w której znajdziemy kalmary, krewetki i małże.

Jednak największym fenomenem wśród odwiedzających Hiszpanię zagranicznych turystów jest podejrzanie wyglądająca czarna *paella* (*paella negra* lub *arròs negro*, kat. *arròs negre*). Smolisty, czarny kolor danie zawdzięcza atramentowi mątw, którego dodaje się w trakcie gotowania i dzięki któremu *paella* nabiera morskiego smaku. Inną, równie ciekawą wersją jest *fideuà*, do której przygotowania nie używa się ryżu, ale krótkiego, nitkowatego makaronu, nazywanego w języku katalońskim *fideu*. Historia tej wersji potrawy sięga lat 30. XX w. Kapitan statku „Santa Isabel" lubił dobrze zjeść, dlatego przydzielał załodze mniejsze porcje ryżu, zostawiając dla siebie większość. Jednak kucharz wraz ze swoim pomocnikiem wpadł na pomysł, aby zamienić ryż na makaron i zniechęcić tym kapitana żarłoka do zabierania każdemu części jego przydziału. Niestety, nie udało się, ponieważ nowe danie wszystkim, w tym także kapitanowi, bardzo zasmakowało i z czasem stało się popularne także na lądzie. (...)

Trzecim hitem, który najchętniej wybiera prawie 11% Hiszpanów, gdy przychodzi zjeść poza domem, jest *cocido* (potrawka) – jednogarnkowe danie, którego podstawą są ciecierzyca, mięso wieprzowe i drobiowe, boczek, *chorizo*, *jamón serrano* oraz warzywa takie jak ziemniaki, marchewka, kapusta, cebula i rzepa. I tu znów teorii na temat jego pochodzenia jest wiele. Jedna z nich mówi, że danie to wywodzi się z silnie obecnej do prawie końca XV w. na terenach Półwyspu Iberyjskiego kuchni żydowskiej. Jego pierwowzorem miał być czulent – spożywany w szabat, długo gotowany gulasz z mięsem, warzywami i kaszą. Inna teoria mówi

eprasa.pl 5d1cf814c4

jednak, że bazą *cocido* jest spopularyzowane w XVII w. danie *olla podrida* (dosł. zgniły garnek), którego podstawą było właśnie mięso i warzywa (najczęściej bób). Tak jak *paella*, danie było tanie i łatwe w przygotowaniu.

Wraz z postępem industrializacji do stolicy Hiszpanii napływało wielu mieszkańców wsi, szukających szczęścia i pracy w fabrykach. *Cocido* było najprostszym sposobem, aby ich wszystkich wykarmić. I choć danie na talerzu nie wygląda najapetyczniej na świecie, to jednak jest idealnym sycącym i rozgrzewającym zimowym obiadem.

Latem dla odmiany Hiszpanie chętnie wybierają mające swoje początki w Andaluzji *gazpacho* lub *salmorejo*. Podstawą obu tych zup na zimno są pomidory. Orzeźwiające, chłodne danie pomagało znosić dużą liczbę godzin intensywnego słońca w czasie pracy w polu. Stały się bardzo popularne nie tylko ze względu na swój smak, ale także przez to, że ich przygotowanie jest łatwe i nie wymaga niekończącej się listy składników. W przypadku *gazpacho* wystarczy zmiksować bardzo dojrzałe pomidory, zieloną paprykę, zielony ogórek, czosnek, namoczone wcześniej kawałki chleba, oliwę, ocet i wodę. W zależności od tego, ile dodamy tego ostatniego składnika, *gazpacho* będzie albo gęstsze, albo rzadsze. *Salmorejo* natomiast jest jeszcze prostsze, ponieważ składa się jedynie z pomidorów, czosnku, namoczonego chleba, oliwy z oliwek i soli. Gotową zupę można jeść albo z miski, albo, jeśli jest rzadsza, ze szklanki. (...)

Bary mimo całej swojej szerokiej oferty są najczęściej miejscem na wypicie kieliszka wina lub szklanki piwa. Na stołach często znajdziecie też solone orzeszki albo inne przekąski, które oprócz tego, że idealnie pasują do napojów, wzmagają pragnienie, a pragnienie wzmaga też głód. W wielu barach posypuje się solonymi czipsami prawie wszystkie potrawy, aby goście więcej zamówili. Jeśli postanowicie odwiedzić Hiszpanię, na pewno wielokrotnie natkniecie się na miejsca oferujące *tapas* albo *pinchos*, albo i jedno, i drugie. Nazwy na tyle problematyczne, że od kilkunastu lat trwa dyskusja, co tak naprawdę oznaczają i czym się różnią. Słownik języka hiszpańskiego Hiszpańskiej Akademii Królewskiej definiuje *tapa* jako „małą porcję jedzenia serwowaną do napoju", ale znaczy to także „przykrywka" np. do garnka. *Pincho* (bask. *pintxo*) natomiast opisane jest jako „mała porcja jedzenia konsumowana jako aperitif, często przekłuta wykałaczką". (...)

Pinchos mają początki w Kraju Basków, na północy Hiszpanii. Są to małe porcje jedzenia, składające się z kawałka bagietki, na którym położono inne składniki, jak np. kawałek dorsza, sałatkę z krabów, szynkę czy paprykę. Nazwa *pinchos* wzięła się od czasownika *pinchar*, czyli przekłuwać, ponieważ aby utrzymać całą misterną konstrukcję, często przekłuwa się je wykałaczką. Mówi się, że w latach 30. XX w. do San Sebastián (bask. Donostia), drugiego największego miasta regionu, zaczęli napływać turyści. Bary w centrum miasta, aby zareklamować się wśród spacerowiczów, rozdawały małe porcje jedzenia, mające zachęcić klientów do wejścia do któregoś z lokali gastronomicznych.

W odróżnieniu od *tapas*, *pinchos* są osobnymi, małymi porcjami jedzenia, które można zamówić bez napoju. W wielu barach pinchos wystawione są na ladzie, a klienci mogą wziąć talerz i nałożyć sobie to, na co mają ochotę. Przy płaceniu pokazujemy obsłudze liczbę wykałaczek na talerzu i na tej podstawie obliczają nasz rachunek. Przekąska przekąsce nierówna, dlatego w wielu miejscach zobaczymy różnej długości wykałaczki. Im dłuższa, tym wyższa cena. Kraj Basków na dodatek jest też jednym z najbogatszych, a co za tym idzie, najdroższych miejsc na całym Półwyspie Iberyjskim.

Pewnego wrześniowego popołudnia, gdy przechadzaliśmy się ze znajomym Baskiem uliczkami San Sebastián, stwierdziliśmy, że musimy spróbować kilku *pintxos*, z których słynie to miasto. Weszliśmy do pierwszego lepszego baru, gdzie na długości kilku metrów stała ułożona na tacach w kilkupiętrowe wieżyczki niezliczona ilość tych przekąsek. Zdecydowaliśmy, że obaj wybierzemy po pięć, których chcielibyśmy spróbować. Z *pinchos* rozprawiliśmy się dość szybko, ponieważ większość z nich wystarcza na jeden lub dwa kęsy. Trochę się zdziwiliśmy, gdy na rachunku zobaczyliśmy 50 euro. Cena za jedno *pincho* oscyluje od 1,5 do aż 5 euro, a jednak głodu nie zaspokoją. Z tego powodu są to bardzo zdradliwe przekąski i gdy jesteśmy bardzo głodni, lepiej wcześniej zjeść coś porządnego. Bary, chcąc zwiększyć zyski, w 2003 r. zaczęły organizować *pintxo-pote* (pintxo-napój), czyli w wybrany dzień tygodnia (zazwyczaj czwartek), sprzedawać szklankę lub kieliszek alkoholu z *pincho* w bardzo atrakcyjnej cenie, najczęściej za 1 lub 2 euro. Stało się to na tyle popularne, że chyba na zawsze pozostanie baskijską tradycją. Grupy znajomych nie muszą już nawet potwierdzać godziny ani miejsca rozpoczęcia *pintxo-pote*. Każda ma ulubiony bar, w którym zaczyna czwartkowe popołudnie, a następnie rusza, gdzie nogi poniosą.

Bar jest zawsze pełen znajomych i sąsiadów, a pracownicy to prawie rodzina.

Absolutnym hitem jest *tortilla de patatas*, ulubione danie barowe 47% Hiszpanów.

* Pandemia wywróciła przyzwyczajenia barowe Hiszpanów do góry nogami i z pewnością odciśnie piętno na lokalach. Szacuje się, że 20% z nich nie przetrwa kryzysu, a te, którym się to uda, przez jeszcze długi czas nie będą takie jak przedtem.

Fragmenty książki Mikołaja Buczaka *Sobremesa. Spotkajmy się w Hiszpanii*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

eprasa.pl 5d1cf814c4

PGR w MSZ

Ludzie pracujący w MSZ widzieli różne rzeczy i raczej trudno ich zbulwersować. Ale tym razem granica została przekroczona. Chodzi o głośny, opisywany także przez nas, przypadek byłej już ambasador RP w Pradze Barbary Ćwioro. Była ona „grillowana" przez dyrektora generalnego MSZ Andrzeja Papierza przez rok. Gdy z ambasady przyszła na nią skarga, Papierz skierował do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu mobbingu. A potem, gdy wychodziło na to, że z oskarżenia nic nie będzie, w centrali MSZ powołano komisję, która stwierdziła, że mobbing był, i na tej podstawie Barbarę Ćwioro odwołano.

Innymi słowy, Papierz trzymał ją w niepewności przez wiele miesięcy, ba, nie tylko ją, ale także ludzi na placówce – i to był dopiero mobbing! – a potem odstrzelił.

A jakby mało było jeszcze tego znęcania się, MSZ nie wyraziło zgody, by wróciła do Warszawy samolotem. Oświadczono jej, że Praga jest blisko, więc niech wraca pociągiem. Dlaczego nas to nie dziwi?

Takie działania spowodowały, że wśród ludzi w MSZ sympatia dla pani Ćwioro gwałtownie wzrosła. Bo każdy wie, że nie zasłużyła na takie traktowanie. Po pierwsze, dlatego że ma kwalifikacje, ma opinię osoby pracowitej i całkowicie oddanej służbie. Po drugie, ambasadora tak się nie traktuje. Szefostwo MSZ powinno to wiedzieć i tego dopilnować. Po trzecie, ona jest z MSZ, a Papierz jest tu obcy. Wiadomo, skąd jest. Wiadomo też, że wyszedł z PGR (o czym chętnie opowiada), szkoda tylko, że PGR nie wyszedł z niego. Zresztą takie zachowania w PGR również nie przystoją.

I szkoda, że minister Czaputowicz nie potrafi kompromitującego polską dyplomację dyrektora przywołać do porządku. Bo przecież sprawa pani Ćwioro nie jest pierwszym tego typu jego wyczynem.

Czaputowicz milczy, a zachęcony tym milczeniem Papierz buduje w resorcie własną koterię, ma swoich ludzi i wszyscy wiedzą, że jeśli odstrzelił dwójkę ambasadorów (ten pierwszy był z Japonii), to może odstrzelić kolejnych.

Na przykład – w Brukseli. Andrzej Sadoś, ambasador przy Unii, nie należy do jego faworytów. A zastępca Sadosia, Hubert Czerniuk – jak najbardziej. I chętnie mu tam szepcze. Jak więc będzie? Kto kogo? Czerniuk Sadosia czy Sadoś Czerniuka?

Nawiasem mówiąc, jak zwrócił nam uwagę jeden z doświadczonych dyplomatów (i w dyplomacji, i w rozgrywkach wewnątrz MSZ), siła Papierza może być bardzo iluzoryczna. Daje on do zrozumienia, że jest kolegą Mariusza Kamińskiego, ale przecież Kamiński i paru innych funkcjonariuszy nie będą za niego umierać.

To zresztą widać, jak ludzie wcześniej z nim związani chętnie idą na swoje. Na przykład Bartosz Grodecki, który w MSZ był dyrektorem Departamentu Konsularnego, teraz jest oficjalnie w MSWiA. Jest tam podsekretarzem stanu, nadzoruje działania Departamentu Analiz i Polityki Migracyjnej, Departamentu Obywatelstwa i Repatriacji, Departamentu Spraw Międzynarodowych oraz Departamentu Zezwoleń i Koncesji. Odpowiada także za nadzór nad szefem Urzędu ds. Cudzoziemców.

Wszystko się zgadza, człowiek poszedł do góry, możemy się domyślać, jakie ścieżki go tam prowadziły. Ciekawsze jest coś innego – czy teraz też radośnie śmieje się z kawałów Papierza, czy już patrzy na niego jak wiceminister?

Attaché

Przesiewowe badania temperatury Boliwijek wybierających się na targ w Coacie.

FOT. CARLOS MAMANI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5d1cf814c4

JOLKA

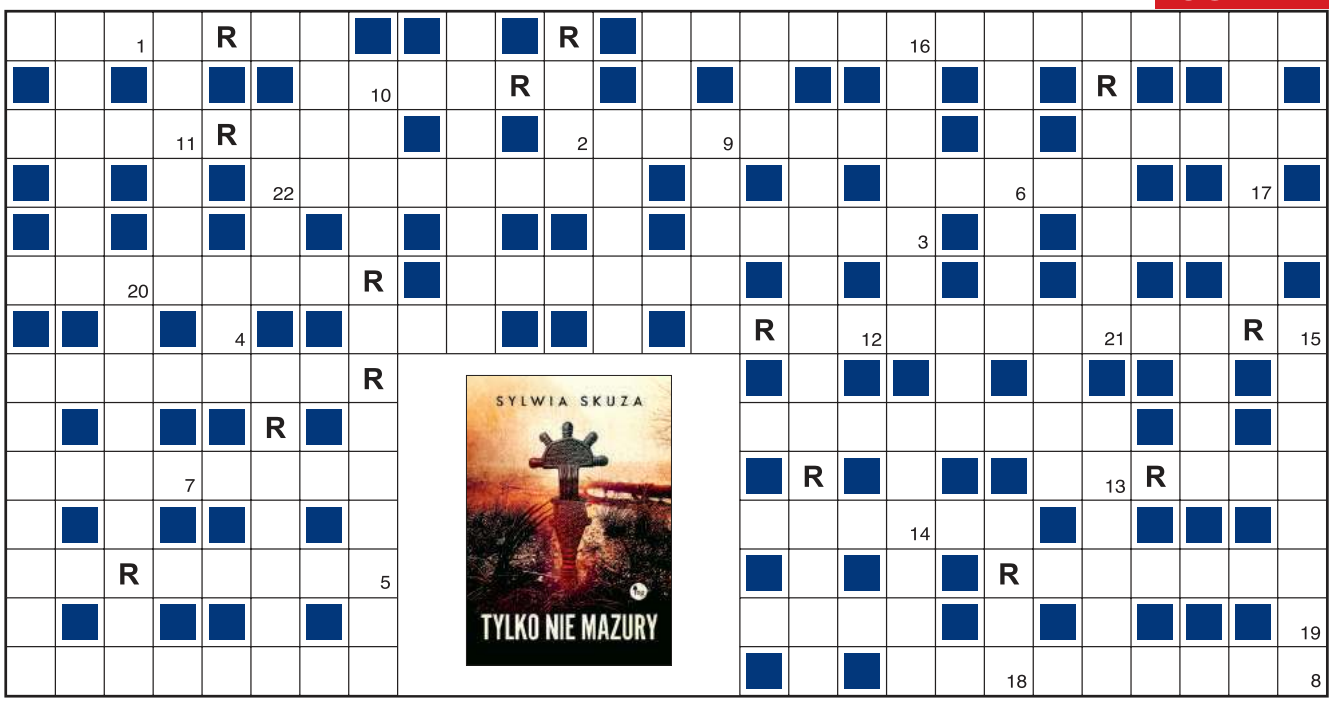

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- ...Smith, uznawany za ojca ekonomii politycznej
- święty, bohater średniowiecznej legendy
- Jorge, autor „Gabrieli" i „Kakao"
- podobieństwo, zgodność pod pewnym względem
- autor baśni „Latający kufer"
- dikdik lub oribi smukłonogi
- bohema
- nad piszczelami na pirackiej banderze
- jedna dziesiąta metra
- Ionesco, Strindberg lub Beckett
- nauka bliska Markowi Belce
- zakaz importu lub eksportu
- legwan zielony
- sposób wykonania utworu muzycznego
- rzeka z powieści Miłosza
- cukier palony
- dowcip lub znaczna część
- lok, pukiel
- naszyty wzdłuż nogawki spodni mundurowych
- kawałek smolnego drewna używany do oświetlania
- w średniowieczu wykładowca nauk wyzwolonych
- córeczka tatusia, a synek jej
- ma pełnomocnictwo do pełnienia funkcji, administrowania terytorium
- potocznie o rzeczach osobistych
- ceremonii lub wielki zakonu
- upamiętniająca rzeźba
- konieczność lub przetarte owoce
- złości albo bandycki
- wróżba, zapowiedź
- pisklę zysa
- podpora krzaku pomidora
- zniesławiający i obelżywy tekst
- np. kluczy na kółku
- niejeden w komputerowym katalogu
- gorące procenty w wazie
- tam podpisane traktaty z 1920 i 1922 r.
- koszyczek ostu pokryty kolcami
- po niej Japończyk na rauszu
- i skarbiec, i nasiona
- jedna dziesiąta tysiąca
- Horeszko zabity przez Jacka Soplicę
- materiał, tworzywo
- i dalszy plan, i podłoże czegoś
- „…Szok" dawniej w TVP
- płócienne buty sportowe
- szlifowanie formy przez sportowców
- dawny banknot z Kopernikiem
- zadecydowała o wyborze prezydenta
- potocznie o gitarze lub dużej łyżce
- kredytowa albo do nauki języków
- obiadowy, narzędzi lub mebli kuchennych

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-969". Do rozlosowania książki „Tylko nie Mazury" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 lipca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-966" z 28 czerwca: *Historia bywa elegancka.* Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Stanisław Burba z Gorzowa Wielkopolskiego, Bolesława Nycz z Tarnobrzega.

eprasa.pl 5d1cf814c4

PENETRACJE

DR MACIEJ GRODZICKI, EKONOMISTA, UJ

Masowe marnotrawstwo zasobów ludzkich i środowiskowych w procesach produkcji mało potrzebnych gadżetów to codzienność kapitalizmu monopolistycznego. Potrzeby społeczne już dawno zostawiono na boku i dziś nikt się nie łudzi, że wzrost gospodarczy służy czemukolwiek poza zyskami biznesu. Począwszy od pierwszego poważnego kryzysu w latach 70. XX w., system toczy się siłą rozpędu, zasysając energię z coraz to nowych źródeł – z natury, z pracowników na globalnym Południu albo z rosnącego zadłużenia gospodarstw domowych i rządów.

ZBIGNIEW NOSOWSKI, REDAKTOR NACZELNY „WIĘZI"

Niewątpliwie tacy biskupi jak Głódź czy Janiak muszą mieć swoich zaufanych ludzi w Watykanie. Składane są na nich skargi, pisane listy do papieża – i nic. Okazuje się, że bez upublicznienia nie ma szans na rozwiązywanie pewnych spraw w Kościele. Przykład reakcji Watykanu z ostatnich dni pokazuje, że takim działaniem można dobrą wolę w tej instytucji obudzić. Poprzez nagłaśnianie kompromitujących działań można sprawić, że osoby uczciwe w tej instytucji się mobilizują. A z drugiej strony ci, którzy by chcieli kręcić i motać, mają bardziej związane ręce.

JANUSZ GAJOS, AKTOR

Na początku lat 80. trafiłem do Teatru Dramatycznego w Warszawie, którego dyrektorem był Gustaw Holoubek. Po jednej z prób zaprosił mnie na rozmowę i dał taką uwagę: „Bardzo ładnie to proponujesz, ale wiesz co – widać, że się bardzo starasz. Gdybyś mógł to staranie trochę zniwelować, to będzie bardzo dobrze". To była najwspanialsza uwaga, jaką słyszałem od doświadczonego aktora. W wielkiej sztuce nie może być widoczny wysiłek, który towarzyszył jej powstawaniu.

MAŁGORZATA TRZASKOWSKA, ŻONA PREZYDENTA WARSZAWY

Hm… zobaczyłam zdjęcia, na których był Rafał. I zapytałam mojego brata, który z nim studiował, kim jest ten chłopak. A potem okazało się, że Rafał widział moje zdjęcia i też zapytał, kim jest ta dziewczyna. Taka historia. A potem spotkaliśmy się na zakończeniu roku akademickiego mojego brata w Kolegium Europejskim w Natolinie. Był błysk w oku i tak się zaczęło. Moi rodzice jednak na początku nie byli zachwyceni „chłopakiem z Warszawy". Bali się, że przez tę znajomość ucierpią moje studia. Rzeczywiście, nie było łatwo – spędziliśmy z Rafałem wiele godzin w pociągach między Katowicami a Warszawą.

Nietypowy plażowicz – w miejscowości Zawóz nad Jeziorem Solińskim zraniony jeleń wbiegł na plażę pełną ludzi.

FOT. WOJCIECH ZATWARNICKI/PAWEŁ LAZAR/REPORTER

Aby język giętki…

PROF. JACEK RACIBORSKI O PODATKACH

PiS zniosło podatek spadkowy, a to ten, który najbardziej dotyka najbogatszych.

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI O KARD. STANISŁAWIE DZIWISZU

Z całkowitą świadomością blokował dostęp informacji do Jana Pawła II.

PROF. JADWIGA STANISZKIS O RAFALE TRZASKOWSKIM

Znam go, był moim studentem, bardzo go lubię i cenię.

MACIEJ STUHR DO JADWIGI EMILEWICZ

Jadziu, na pewno czytałaś „Konrada Wallenroda". Bądź jedynym facetem w tym tałatajstwie.

JERZY URBAN O KOMIZMIE APELI

Do studentów medycyny zaapelował dyrektor Szpitala Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Wołominie. Czyżby zwątpił w patronkę?

JAN NOWICKI O AKTORSTWIE

Osobliwe w tym zawodzie jest to, że uprawiają go często z powodzeniem ludzie bardzo nieciekawi prywatnie, nawet czasem zupełne głupki.

RAFAŁ OLBIŃSKI O KRYTYKACH

Pioruny krytyki zawsze walą w najwyższe drzewa.

ANNA JANKO O FRANCUSKIM DOWCIPIE

Mówi mąż do żony: gdy kiedyś jedno z nas umrze, to się przeprowadzę do naszego domku nad morzem.

MAŁGORZATA SZUMOWSKA O KARIERZE

Położyłam wszystko na szali, żeby stać się autorką filmową rozpoznawalną w Europie. Częściowo się udało.

ANDRZEJ GRABOWSKI O PRZYSZŁOŚCI

Całkiem nieźle gotuję i być może są restauracje, które serwowałyby żurek *à la* Ferdek Kiepski.

DOROTA KĘDZIERZAWSKA O MOTOCYKLU ŻUŻLOWYM

Nie ma hamulców, skręca się kierownicą w prawo, a jedzie w lewo. Im szybciej się jedzie, tym jest bezpieczniej.

ARTUR BARCIŚ O SZKOLE

W szkole była sala z prawdziwą sceną. Poza nią byłem nikim, ale gdy mówiłem wiersz, wszyscy bili mi brawo.

eprasa.pl 5d1cf814c4

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Pan Twardowski się ucieszy

Okrągłą sumkę 20 tys. dol. otrzyma od NASA autor najlepszego projektu „księżycowej toalety". Amerykańska agencja kosmiczna zbiera pomysły na małe, lekkie, energooszczędne i ciche WC, które mogą działać na powierzchni Srebrnego Globu oraz będą dostosowane do potrzeb zarówno astronautów, jak i astronautek. Termin nadsyłania zgłoszeń na Lunar Loo Challenge upływa 17 sierpnia, a o tym, jakie wynalazki zrodzą się z wiadomych potrzeb, przekonamy się 30 września.

Babciu, dlaczego masz takie wielkie oczy?

Policjanci, którzy w ramach działań operacyjnych przeszukali mieszkanie 74-latki z Konstancina-Jeziorny, znaleźli w nim 215 g marihuany, niemal 36 g amfetaminy, 64 g mefedronu oraz 35 tabletek ecstasy. Uwadze funkcjonariuszy nie umknął także kuchenny parapet, na którym kobieta uprawiała konopie indyjskie. Gdy funkcjonariusze wciąż byli na miejscu, w lokum przedsiębiorczej seniorki pojawiła się 27-latka, która twierdziła, że przyszła w odwiedziny. Coś nam mówi, że takich Czerwonych Kapturków może być znacznie więcej.

Gapa na pasażera

Mimo wszystko miał szczęście afrykański nastolatek, choć jego marzenie o emigracji się rozwiało. Do sieci trafiło nagranie, na którym widać mały samolot odrzutowy, z którego silnika wystają nogi w klapkach. Zostały one w porę zauważone, a desperata skutecznie zachęcono do opuszczenia kryjówki, razem z plecakiem mieszczącym jego dobytek. Gdyby nie to, zamiast do lepszego świata pewnikiem trafiłby prosto w zaświaty.

Mariusz, wracaj

Skutecznie odleciał za to Mariusz Max Kolonko, który 4 lipca ogłosił się prezydentem Polski. Dziennikarz tłumaczy, że ogłosił się nim, „przychylając się do petycji narodu polskiego", i zapowiada sprawowanie urzędu „do czasu przeprowadzenia demokratycznych i wolnych od zbiórek podpisów uczciwych wyborów prezydenckich wykonanych w drodze e-votingu". Co równie ważne, dawny korespondent TVP i TVN powołał do życia Stany Zjednoczone Czwartej Republiki Polskiej, złożone z dwóch narodów: Polaków w kraju oraz Polonii. Wiedzieliśmy, że telewizja ogłupia, ale żeby aż tak...

Już można, ale z ostrożna

Holenderskie pracownice i pracownicy seksualni mogą wrócić do wykonywania zawodu, o ile będą przestrzegać rygorystycznych przepisów związanych z trwającą pandemią. Równolegle branżowa organizacja Red Light United opracowała listę dodatkowych zaleceń, do których powinny się stosować osoby sprzedające rozkosz. Odradza się im m.in. jej świadczenie w niektórych pozycjach, całowanie oraz zbliżanie twarzy na odległość, z której można wyczuć oddech klienta. Albowiem po szóste nie cudzołóż, ale po pierwsze – bezpieczeństwo!

MEMY BEZ ŚCIEMY

29-64-65_stopka.indd 64 eprasa.pl/1cf814c4 10.07.2020 19:37:49

Mistrzowie transportu. Rolnicy przewożący ananasy na rynek w mieście Tangail w Bangladeszu i sprzedawca kapeluszy na parkingu obok zoo w Tajpej.

Tego jeszcze nie grali

Trwa internetowy festiwal, w ramach którego można zobaczyć 1,2 tys. najzabawniejszych i najsłodszych filmików z kotami nakręconych podczas kwarantanny. Quarantine Cat Film Fest ma na celu wsparcie niezależnych amerykańskich kin, ciężko doświadczonych epidemią koronawirusa. Wirtualny bilet jest ważny 72 godziny i kosztuje 12 dol., a kupić go można na stronie rowhouse.online. Chętnych podobno nie brakuje, a kiniarze mruczą z zadowolenia.

Nie oceniaj człowieka po mieczu

Młody syberyjski wojownik sprzed 2,6 tys. lat, którego szczątki odkryto w 1988 r., ostatecznie okazał się 13-letnią dziewczynką. Uczeni ulegli stereotypom i w obliczu braku jednoznacznych danych założyli, że osoba pochowana z siekierą, łukiem i kołczanem, a nie koralikami czy lusterkami, musi być mężczyzną. Postęp nauki umożliwił wykonanie szczegółowych testów genetycznych i ustalenie, że nieletni wojownik był w rzeczywistości nieletnią wojowniczką. Odkrywcy mumii skomentowali, że ta informacja otwiera nowy rozdział w badaniach nad historią społeczną Scytów „i mimowolnie przywraca nas do mitu o Amazonkach".

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA(2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, AZIM KHAN RONNIE/ALAMY/BEWPHOTO, SAM YEH/AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 5d1cf814c4

PERCEPCJA KOŁA

Krzysztof Powałka – Biała nić

„Percepcja koła" to kolejny wspólny projekt Małgorzaty i Adama Krużyckich, kolekcjonerów sztuki, i zaproszonych przez nich artystów. Twórcy mieli swobodę w doborze tematu. Jedynym wspólnym odniesieniem, co dało fascynujące rezultaty, była tutaj forma koła – tonda, figury o bogatej tradycji w sztuce europejskiej. Tondo zawdzięcza rozkwit Rafaelowi Santiemu, geniuszowi epoki renesansu. Ta ekspozycja to popis inwencji aż 40 artystów, m.in. Jarosława Jaśnikowskiego, Tomasza Sętowskiego, Daniela Pieluchy, Rocha Urbaniaka, Krzysztofa Powałki, Michała Powałki czy Jana Stokfisza. Ich prace intrygują rozwiązaniami zarówno formalnymi, jak i kompozycyjnymi.

Galeria Sztuki Współczesnej Elektrownia
Czeladź, ul. Dehnelów 45
do 26 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Michał Powałka – Matrice

Tomasz Kopera – H19

Waldemar Marszałek – Odyseusz

Alicja Rekowska – Istnienie

Graszka Paulska – Metamorfoza

eprasa.pl 5d1cf814c4

teatr powszechny
Teatr, który się wtrąca
Dobrobyt
Schilling, Jakab, Zabezsinszkij
Bagiński, Bielawka, Brykalski, Dargay, Ilczuk, Jankowski, Jarmicki, Kołakowski, Leończyk, Loga-Skarczewski, Łągiewczyk, Pieczyński, Rogiński, Skibińska, Warmuz, Zaremba
premiera 10 lipca
kolejne przedstawienia: 3, 4 i 5 września
Historia młodej pary, która otrzymuje zaproszenie na weekendowy pobyt w ekskluzywnym spa. Hotel położony w nadmorskim, zimnym klimacie, otoczony surową przyrodą, to zhierarchizowany system, w którym każdy zna swoje miejsce. Młody mężczyzna szybko dostosowuje się do wewnętrznych zasad hotelu, a obietnica płynących z tego korzyści przesłania jego trzeźwy osąd. Przeciw podporządkowaniu się występuje jednak kobieta – jej opór wywołuje nieoczekiwane następstwa.
Patroni medialni
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
www.powszechny.com

eprasa.pl 5d1cf814c4

KAYAX | STODOŁA

caville

17.07 klub stodoła / warszawa

paula roma

24.07 klub stodoła / warszawa

funkasanki

31.07 klub stodoła / warszawa

verø

7.08 klub stodoła / warszawa

kwiatki

14.08 klub stodoła / warszawa

dünayev//søppel

21.08 klub stodoła / warszawa

sedguy

28.08 klub stodoła / warszawa

nohono

4.09 klub stodoła / warszawa

my name is new my name is new my

wstęp darmowy!

patroni medialni: ZAiKS EXAMPLE.PL Przegląd Rytmy.pl AKTIVIST MUZYKOHOLICY 97,1 FM KAMPUS

eprasa.pl 5d1cf814c4